M.S. im. L.W. w Gdyni

Tym razem w Gdyni

TOMASZ KUBIK

„Pociąg do Hollywood"

Katarzyna Figura predestynowana jest do ról kobiet-zwierzątek, słodkich jak cukierki i zimnych jak lód, a w „Pociągu do Hollywood" potwierdziła swój talent i zademonstrowała wdzięki godne hollywoodzkiej sexbomby, skoro dzwonił nawet Billy Wilder i zaprosił do siebie.

str. 9

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 40 (1540) ROK XXX 3 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Kłopoty papieża Jana Pawła II w USA — str. 2
- Najbardziej zdyscyplinowani buntownicy — str. 3
- *Tragiczny los Aleksandra Fadiejewa* — str. 4
- Akropolu nie da się opisać — str. 13
- Apokaliptyczne rozmiary brakoróbstwa — str. 14

MPK brakuje niewiele: autobusów, tramwajów, zajezdni, motorniczych...

Czym wjedziemy w XXI wiek?

Foto: Grzegorz Galasiński

Czy istnieją łodzianie zadowoleni ze sposobu w jakim funkcjonuje miejska komunikacja? Wątpię. Znamy z gazetowych czy radiowych tłumaczeń stałe kłopoty Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, nawet się z nimi zgadzamy, rozumiemy. Ale krew nas zalewa, gdy autobus się spóźnia, psioczymy na panujący wewnątrz tłok i obłoki spalin, w jakich wóz tonie ruszając z przystanku, do rozpaczy doprowadza nieregularność kursowania i częste awarie tramwajów. Znamy te obrazki z codziennej autopsji, prawda? I jakże często nie zwracamy nawet uwagi na niepunktualność, niezbyt czystą wiatę, kosz pełen śmieci; z niepokojem zerkamy czy w ogóle zza zakrętu ukaże się sylwetka autobusu, niech nawet kopci i niech będzie zatłoczony — byleby był, przyjechał...

I choć nikt nie oczekuje gospodarczego cudu, budowy metra w roku przyszłym czy dostawy 300 Ikarusów ekstra — bulwersują jeszcze niekiedy informacje o planowanych przymiarkach do likwidacji jakichś linii czy skrócenia tras. — „To już naprawdę nie będziemy podróżować w lepszych warunkach jak te obecnie?..." — zastanawiają się wówczas pasażerowie, a i niektórych dziennikarzy nie satysfakcjonują skąpe, a wyraźnie ostatnio nadużywane określenia w rodzaju: „ogólne trudności materiałowe", „braki taboru", „znane kłopoty kadrowe" i tak dalej.

Jakie są realia? Jakie możliwości przeskoczenia owych trudności — często mitycznych? Czy rzeczywiście nawet najwięksi optymiści liczyć się muszą z możliwością regresu, likwidacji niektórych linii tramwajowych w Łodzi? Próbowałem na te i wiele innych pytań nurtujących pasażerów znaleźć odpowiedz w rozmowie z szefami Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Łodzi — dyrektorem naczelnym — CZESŁAWEM RYDECKIM i zastępcą do spraw ruchu — LUCJANEM STRAWĄ.

— Powiem szczerze: nie interesują mnie dziś informacyjne tabliczki czy ich brak na przystankach, nie zamierzam rozwodzić się nad minutowymi spóźnieniami czy jazdą „stadami". Ale czy jesteście panowie w stanie utrzymać godziwą komunikację zbiorową w prawie milionowym mieście?

— Nie sposób na to pytanie odpowiedzieć w jednym zdaniu...

— Mamy czas i miejsce, spróbujmy w kilkudziesięciu choćby... Miasto rozrasta się, „ucieka" wam, nie jesteście w stanie dogonić jego rozwoju — tak to wygląda w oczach pasażerów.

— I jest to ocena, niestety, bliska prawdy. Wiemy doskonale w jaki sposób rozrastają się u nas miasta: przybywa osiedli mieszkaniowych na obrzeżach, to znaczy przybywa bloków. Drogi i cała infrastruktura techniczna są sprawą dla wykonawców (bo nie wierzę, żeby i dla pianistów...) drugorzędną. Ludzie natomiast z chwilą zamieszkania w odległych od centrum czy miejsca pracy rejonach chcą mieć godziwe warunki komunikacji...

— W grę wchodzić może wyłącznie autobus.

— Też nie zawsze. Pierwszy z brzegu przykład: jedno z najmłodszych łódzkich osiedli mieszkaniowych — Radogoszcz. Osiedlowe, waskie uliczki nadają się wyłącznie dla rowerów. Musimy jeździć obrzeżem osiedla, a krańcówkę zlokalizowaliśmy na... parkingu. O normalnym systemie dróg jakby nie pomyślano, a przecież można by i Radogoszcz-Wschód i -Zachód „obsłużyć" znacznie lepiej.

— Zaczęłyby się dopiero wtedy rozmaite naciski w sprawie lokalizacji przystanków choćby...

— O, to osobny rozdział w naszej pracy. Jako piewcy demokracji konsultujemy i negocjujemy dosłownie wszystko, każdy drobiazg. Potworzyły się specyficzne grupy interesu, przy czym tym „interesem" nie zawsze jest nowa linia, czasem gra idzie o przesunięcie przystanku o 100—200 metrów.

— Każda dzielnicowa rada narodowa walczy o komunikację w swojej dzielnicy, widzi ją przez pryzmat swoich włości?

— Też, ale znacznie „ambitniejsze", bardziej uparte są wszelkie rady sołeckie, komitety osiedlowe, samorządy mieszkańców...

— Rozumiem, ale mieliśmy dziś nie o drobiazgach. Mam dziwne wrażenie, może jestem pesymistą, ale wy-

6

Co zrobić, żeby miłośnicy koni mogli spokojnie korzystać z relaksu w siodle

Konflikt w klubie jeździeckim

MAREK KOPROWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Prezes Łódzkiego Klubu Jeździeckiego w Łagiewnikach, ZDZISŁAW JABŁOŃSKI, twierdzi, iż **„nieszczęściem tego klubu jest to, że mało w nim działaczy, a dużo rozrabiaczy".**

Tak elegancko określona została grupa członków Klubu, którym nie podobają się metody działania zarządu, a de facto prezesa, bowiem zarząd jest mu całkowicie oddany (czytaj: uległy), tańczy równo i skocznie w takt prostej melodyjki skomponowanej przez swego zwierzchnika.

Grupa ta (18 podpisów i, jak twierdzą, wielu nie podpisanych, lecz podobnie myślących) skierowała do zarządu Klubu pismo, w którym wyraża swoje zaniepokojenie i wątpliwości niektórymi posunięciami władz ŁKJ, określa swoje stanowisko i artykułuje pewne postulaty. Gdy pismo zostało pominięte całkowitym oficjalnym milczeniem, odpis jego przesłano do redakcji, z prośbą o zajęcie się sprawą.

Zanim wdamy się w szczegóły, kilka informacji wstępnych. Łódzki Klub Jeździecki jest trzecim, obok krakowskiego i lubelskiego klubem miejskim. Liczy sobie 29 lat. Podzielony jest na dwie sekcje: sportowa z 12 zawodnikami i rekreacyjna z około 140 członkami. Sekcja sportowa ma do swej dyspozycji 21 koni, a pozostali członkowie wraz z prowadzonymi przez Klub kursami — 6 koni, w tym część z różnych względów niepełnosprawnych. Ostatnio dokupiono dwa rumaki, ale nie zmienia to widocznych gołym okiem, mocno zwichniętych proporcji między sekcjami, w układzie koń — jeździec. Zawodników szkolą trenerzy, również zawodnicy lub pracownicy etatowi Klubu. W sekcji rekreacyjnej jazdy odbywały się do niedawna pod okiem prowadzącego, czyli osoby doświadczonej, z długoletnim stażem jeździeckim, pracującego społecznie, a wyłonionego spośród członków Klubu. Teraz dawni prowadzący zostali odsunięci od obowiązków, a dlaczego, o tym w dalszej części.

Klub od początku stawiał na rekreację

Forma ta zdała egzamin w ciągu lat jego istnienia, dopiero obecny prezes Jabłoński wyciągnął wyczyn na plan pierwszy i takim posunięciem zachwiał wieloletnią tradycję ŁKJ. Jest to jeden z punktów niezgody między „stronami" konfliktu, bo tak trzeba nazwać obecny stan stosunków klubowych. Jedna strona to prezes i „jego ludzie" czyli zarząd, kadra sekcji sportowej i pracownicy administracji, a druga strona — członkowie sekcji rekreacyjnej.

Dalsze zarzuty:

— niezwołanie w ciągu czteroletniej kadencji ani jednego walnego zgromadzenia, gdy statut mówi o obowiązku corocznego spotkania na tym szczeblu, co świadczy o ignorowaniu członków Klubu, lekceważeniu sprawy informowania społeczności klubowej o pracy zarządu i podejmowanych przezeń decyzjach

— brak jakichkolwiek konsultacji z członkami przy podejmowaniu ważnych dla Klubu decyzji, czyli zerwanie z ugruntowaną niegdyś tradycja demokracji, co prowadzi do niepotrzebnych zadrażnień i rozdźwięków. Takie odcięcie się zarządu od społeczności członkowskiej, to niefrasobliwe roztrwonienie wielkiego potencjału, jakim może być praca społeczna dla Klubu

— zarząd dokooptował do swego składu nowe osoby, nie będące nawet członkami Klubu, co jest jawnie sprzeczne ze statutem i znów dowodzi lekceważenia członków, uprawnionych do takich decyzji jako gremium w czasie walnego zebrania

— protest budzi podział środków na poszczególne sekcje, a cała energia zarządu i wciąż powiększającej się administracji skierowana jest na sprawy wyczynu sportowego

— od lat nie wykazano troski o szkolenie instruktorów — prowadzących grupy rekreacyjne i do prowadzenia kursów jeździeckich; nie dano szans zdobycia uprawnień instruktorskich prowadzącym społecznie grupy jeździeckie,

— od lat nie wymienia się i nie uzupełnia stawki koni i nie

7

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Wjodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3008. H-5.

Przegląd prasy

Papież Jan Paweł II zakończył 10-dniową wizytę w USA. Była to jedna z najtrudniejszych pielgrzymek. Można tak sądzić na podstawie rzeczowych korespondencji w „PRZEGLĄDZIE KATOLICKIM" (nr 37, 38 i 39), które nadesłał Michał Viatteau-Kwiatkowski.

Katolicy stanowią w Stanach Zjednoczonych tylko 22,2 proc. ogółu ludności. Zdecydowanie dominują protestanci. Nie jest też katolikiem prezydent Ronald Reagan, chociaż zalicza się do ludzi wierzących i darzy szacunkiem papieża.

Badania amerykańskiej opinii publicznej wykazują, że znaczna część katolików nie zgadza się z Janem Pawłem II w niektórych ważnych kwestiach. W szczególności nie podziela jego poglądów na temat kontroli urodzeń, sztucznego zapłodnienia i niedopuszczania kobiet do kapłaństwa. Prawie 60 proc. uważa, że współżycie seksualne przed ślubem nie jest grzechem, a 75 proc. nie widzi nic złego w stosowaniu środków antykoncepcyjnych. Jednakże trzy czwarte katolików amerykańkich wysoko ceni papieża jako osobę.

Podczas spotkania z grupą siedmiuset księży z całych Stanów Zjednoczonych, zebranych w Centrum Duszpasterstwa w Miami na Florydzie, krytyczne akcenty pojawiły się w wystąpieniu proboszcza z New Jersey. Widać było, że ojciec Frank McNulty

WYRAZIŁ POGLĄDY WIĘKSZOŚCI.

Papież wysłuchał go z życzliwym uśmiechem. A potem podszedł do mikrofonu i powiedział, że jest taka piosenka *„It's a long way to Tipperary"* (długa jest droga do Tipperary) Księża nagrodzili go za to dłuższymi oklaskami. Dlaczego? Michał Viatteau-Kwiatkowski wyjaśnia:

„Ojciec Święty ujął w żartobliwym skrócie to, czego są wszyscy mniej lub bardziej świadomi: długa droga dzieli ich od punktu, w którym pogodzić będzie można ich niektóre sugestie z nauczaniem Kościoła. Ojciec McNulty uniknął jaskrawych sformułowań. Nie prosił o zniesienie celibatu, tylko o dogłębne «zbadanie» tej «nielatwej» kwestii, nie sugerował dopuszczenia kobiet do kapłaństwa, tylko pogłębienie dialogu z nimi, nie proponował wybierania biskupów w demokratycznych wyborach, ale prosił o głos doradczy dla księży przy ich nominacji. Wreszcie wypowiedział się ogólnikowo za «wolnością poszukiwań» teologicznych, nie wspominając o sankcjach Stolicy Świętej wobec amerykańskiego teologa Charlesa Currana, boleśnie odebranych przez część tutejszego kleru. Papież jest bardziej zaniepokojony innymi zjawiskami. Przestrzega księży przed źle pojętym miłosierdziem czy współczuciem, które prowadzi do akceptacji zachowań niezgodnych ze słowem Bożym. Nie wymienia tych zachowań, lecz wszyscy rozumieją, że chodzi tu o takie zjawiska, jak tolerancja wobec stosunków pozamałżeńskich, rozwodów, przerywania ciąży czy też homoseksualizmu'.

W swoich wystąpieniach Jan Paweł II krytycznie mówił o pozamałżeńskim życiu seksualnym, używaniu środków antykoncepcyjnych, niewierności małżeńskiej, rozwodach. Wszystko to, jego zdaniem, zagraża rodzinie. Prawdziwa miłość polega na czystości, a seks zarezerwowany jest tylko dla małżeństwa.

Na Katolickim Uniwersytecie św. Ksawerego papież spotkał się z amerykańskimi profesorami katolickimi. Powiedział im, że teologia jest nauką specyficzną, w której *„nie istnieje pluralism sam dla siebie"*. Odkrycia w tej dziedzinie wymagają weryfikacji i potwierdzenia ze strony Magisterium Kościoła.

Nie spotkało się to z aplauzem uczonych przybyłych z całego kraju. Amerykanie nie są przyzwyczajeni do autorytarnej podległości. Michał Viatteau-Kwiatkowski stwierdza:

„Słowa Papieża są oklaskiwane, ale tylko przez niewielką część obecnych. Tak jak w wielu poprzednich wystąpieniach, Ojciec Święty mówi o zmianie zachowań opartych na tradycyjnej i czasem przesadnej interpretacji amerykańskiej zasady wolności osobistej".

AMBIWALENTNE ODCZUCIA

na spotkaniu z papieżem mieli też Żydzi amerykańscy. Szczególnie chłodno przyjęli pogląd, że prawo do własnej ojczyzny mają również Palestyńczycy, z których wielu jest bezdomnych i na wychodźstwie. Sprawozdawca katolicki pisze:

„Słowa Papieża przyjęte są w ciszy, bez żadnej widocznej reakcji ze strony 200 rabinów i innych przywódców amerykańskich Żydów. Trochę tak jak z księżmi, dialog jest uprzejmy, ale bez najmniejszych ustępstw. Rabin Mordechaj Waxman, który przywitał Papieża w imieniu najbardziej wpływowej wspólnoty żydowskiej na świecie (liczy ona w USA 7 milionów osób, dwa razy więcej niż ludność Izraela), przypomniał o niezadowoleniu swych współbraci, tak z wizyty Kurta Waldheima u Papieża, jak i z braku pełnych stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Izraelem. Ojciec Święty dał mu jasną odpowiedź. Stolica Święta popiera prawo Żydów do ojczyzny, do bezpieczeństwa i do spokojnego życia, trzeba jednak, aby Żydzi przyznali to samo prawo Palestyńczykom. Rabini przyjęli jednakże oklaskami inny fragment przemówienia, w którym Ojciec Święty powiedział, że Shoah, eksterminacja Żydów, nie może się już nigdy powtórzyć".

Ta sama wizyta papieska inaczej wygląda w relacji Macieja Kozłowskiego na łamach „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" (nr 38). Autor jest zachwycony religijnością i moralnością społeczeństwa amerykańskiego. Stany Zjednoczone jawią mu się jako kraj niewiarygodnie bezpieczny, w którym zagrożenie przestępczością (poza niektórymi dzielnicami kilku wielkich miast) jest znacznie mniejsze niż w innych krajach, takich jak Polska. Ludzie są tam bardzo uprzejmi i życzliwi. masowo uczęszczają do kościołów i żarliwie modlą się. Na zakończenie cotygodniowych przemówień prezydent mówi: *„Niech Was Bóg błogosławi"* — i nie jest to bynajmniej retoryczny ozdobnik...

Maciejowi Kozłowskiemu nie podobają się tylko nadmierne zabezpieczenia porządkowe i jednostronne sprawozdania mass mediów. Ubolewa on:

„Rozbudowane, nieraz do absurdu, środki bezpieczeństwa, nadmiar obaw i ostrożności ze strony organizatorów, względy finansowe, wreszcie przyzwyczajenie do komfortu i strach przed jakimkolwiek wysiłkiem i utrudnieniem w połączeniu ze skutecznie przez prasę rozbudzanymi nastrojami paniki sprawiają, że liczba wiernych, mających bezpośredni kontakt z następcą św. Piotra jest stosunkowo niewielka, większość skazana jest na pośrednictwo dziennikarzy. (...) Media zaś rządzą się własnymi prawami, nijak nie przystającymi do tej rzeczywistości, jaką jest Kościół, wiara czy w ogóle wszelki wymiar transcendentny. Nie mówię tu o świadomej manipulacji, od której także i tutaj część prasy nie jest wolna, lecz o regułach, które w Ameryce w szczególności przestrzegane są z żelazną konsekwencją. (...) Zgodnie ze swą zasadą prasa wychwytywała i wychwytuje to, co jest sensacją, niezwykłością — a więc marginesem — pozostawiając często sprawy istotne w tle. To samo, w szerszej skali dotyczy całości życia amerykańskiego. Prasa jest tu najgorszym z możliwych przewodników".

Z dalekiej Ameryki przenieśmy się do bliższej nam Francji. W tygodniku „FORUM" (nr 38) przedrukowano materiały, których treść zaskakuje polskiego czytelnika. Okazuje się, że przed Francja stoi

WIDMO POWAŻNEGO KRYZYSU.

W prasie i telewizji francuskiej coraz częściej mówi się o schyłku gospodarczym. Zabierają głos eksperci i przedstawiają niepokojące dane statystyczne.

„Wzrost produktu wewnętrznego brutto nie sięga nawet 1 procentu rocznie, bezrobocie wynosi 11 procent, a w przyszłym roku zwiększy się do 12 proc. (3 miliony bezrobotnych), inflacja podskoczyła z 2 do 3 procent, deficyt handlu zagranicznego osiągnął w ciągu 6 miesięcy kwotę przewidywaną na cały 1987 rok. I podczas gdy giełda paryska odczuwa skutki spadku zaufania, trzeszczą także te najsolidniejsze fundamenty, jak na przykład przemysł artykułów luksusowych, którego roczny wskaźnik wzrostu spadł z 20 do 7 procent, sektor mody (import z zagranicy wzrósł o 23 proc.), przemysł będący nośnikiem najnowszych technologii (lotnictwo, zbrojenia, przestrzeń kosmiczna). Nawet ostrygi i szampan, ostrzegają eksperci, będą musiały się dostosować, by nie ulec atakowi konkurencji japońskiej i amerykańskiej. (...) Wielki przemysł jest przestarzały, nie inwestowano w modernizację. Przemysł średni i drobny jest niekonkurencyjny na arenie międzynarodowej, nie przywykł do szybkiego dostosowywania się do zmieniającego się popytu. Gospodarka paralelna nie istnieje w tym kraju przyzwyczajonym do ortodoksji i precyzyjnych reguł, do obawy przed biurokracją i jej kontrolą, do kierowania z góry".

Pisząc w tym numerze „Odgłosów" o Francji i Francuzach, zaniedbałem kwestię stosunku do pracy. Nie wydawała mi się zbyt ważna, tzn. charakterystyczna i wyróżniająca. A tymczasem mówi się dziś o „leniwej" Francji, ponieważ Francuzi krócej pracują od innych narodów (39 godzin tygodniowo), mają długie wakacje i biorą urlopy w dniach między świętami. W dodatku spada wydajność pracy i rosną koszty produkcji.

Wszystko to razem powoduje, że Francja przekształca się z wielkiej potęgi ekonomicznej i politycznej w kraj o mniejszym znaczeniu międzynarodowym. Alain Peyrefitte twierdzi, że *„schyłek daje się wyczuć wszędzie"*.

Najciekawsze i najbardziej zaskakujące jest to, że za przykład pozytywny stawia się Włochy, które są obecnie synonimem sukcesu. Zamęt polityczny nie przeszkodził tam wzrostowi gospodarczemu. Pewien francuski dziennik satyryczny zaproponował nawet, żeby Francja masowo importowała z Włoch polityków, menedżerów, przemysłowców i ludzi kultury.

Nie wszyscy jednak specjaliści są przekonani, że Francja znajduje się na drodze do zmierzchu swej potęgi. Przewodniczący francuskiego zrzeszenia przedsiębiorców, Francois Perigot, mówi: *„Odrzucamy fatalizm schyłku, nie wierzymy w rozkosze dekadencji. Nasz kraj nie jest skazany. A jeśli już, to skazany na sukces".*

Socjolog francuski Yves Guihannec powiada, że myśl o schyłku ma pewien urok i wielu ludzi to wykorzystuje. Nie możemy tego, niestety, powiedzieć

O NASZYM KRYZYSIE.

Nie ma on żadnej urody. Jest ponury i brzydki. Marzymy o wielkości, a przeżywamy tragiczną małość. Nasi reformatorzy dawniej i dziś wskazują Polakom drogę odrodzenia moralnego. Ale czy słusznie? Jan Szczepański na łamach „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (nr 39) pisze, że nie bierzemy pod uwagę *„lekcji historii pokazującej, że wszystkie wielkie państwa i imperia budowano gwałtem, siłą, wyzyskiem, rozbojem, eksterminacją itp."*.

Marzenia o wielkich czynach i wielkich osobowościach występowały w Polsce przed wiekami i trwają do naszych czasów. W Polsce Ludowej zjawiły się wielkie programy, wielkie inwestycje, wielkie przemiany. Mityczna wielkość pojawia się nie tylko w programach partii, lecz również opozycji i emigracji.

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Jaka „tożsamość"?

Czasami dobrze jest wypuścić się za granicę, choćby tylko po to, żeby spojrzeć na kraj i rodaków z dystansu, skonfrontować to co ojczyste, z tym co obce.

Udało mi się ostatnio pobyć poza krajem zaledwie dwa tygodnie — za mało, żeby zrozumieć cudzą mentalność, ale może dość żeby zaobserwować pewne odmienności bycia. Nie będzie więc tutaj mowy o wystawach sklepowych i cenach, żadnych informacji z poradnika domorosłego handlowca, nic co by miało znaczenie praktyczne. Mam bowiem na uwadze pewien krąg ludzi, chyba niemały, którym szczególnie ważne wydaje się to, co utwierdza ich w poczuciu odrębności od ludzi innych nacji.

Otóż podróżowaliśmy sporą gromadką, a do wieczornych posiłków wysłuchiwaliśmy muzyki, co podobno pomaga w trawieniu. Nasi ludzie, wysłuchawszy piątej i dziesiątej melodii, nie kryli swego niedosytu czegoś o bardziej kosmopolitycznym wyrazie, w rodzaju rocka, zamiast ciągle nawracającej melodyki ludowej, którą nasycona jest niezwykle silnie muzyka rozrywkowa wielu krajów — Jugosławii, Bułgarii, Węgier, Słowacji, a także Związku Radzieckiego. Czy to będzie piosenka, czy utwór do tańca, niemal stale przebija się narodowa nuta, zupełnie inaczej niż w Polsce, gdzie żadnych motywów mazowieckich czy kujawskich, podhalańskich czy kurpiowskich człowiek nie uświadczy, a nawet na wiejskim weselu prawie nikt już nie wie, jak wygląda oberek.

No i dobrze, każdy ma przecież prawo wyboru, każdy może i powinien hołdować własnym gustom i wreszcie nic w tym zdrożnego, że narodowi przejadła się rodzima melodyka, a „Mazowsze" i „Śląsk" funkcjonują już niemal wyłącznie jako katalizator emocjonalnych więzi Polonusów ze starym krajem.

Ale jeśli tak jest, to dlaczego ci sami ludzie, których nobilituje we własnych oczach jako „prawdziwych Europejczyków" obcowanie z kosmopolityczną kulturą masową, ubolewają tak często i głośno nad zatracaniem przez Polaków narodowej tożsamości kulturalnej, a władzy tego kraju zarzucają, że za jeden ze swoich celów uznała pozbawienie Polaków ich poczucia tożsamości?

Nie będę tu przypominał wszystkich masowych akcji o charakterze folklorystycznym, podjętych na tak szeroką skalę dopiero w Polsce Ludowej, a także naukowych badań z zakresu etnografii, czy starań o zachowanie historycznej substancji w architekturze, co w sumie daje obraz wielkich i kosztownych przedsięwzięć, służących w ostatecznym rozrachunku właśnie umocnieniu tożsamości, nie zaś jej zniweczeniu.

A jednak wątki zagrożenia owej tożsamości i potrzeby jej ratowania przed niecnymi zakusami ciągle przewijają się w wypowiedziach wielu ludzi, którzy w żadnej postaci narodowego dziedzictwa nie pielęgnują, choćby w postaci upodobań i nawyków życiowych. A przecież od Paryża do Tokio — od starań o zachowanie swoistego charakteru paryskiej piosenki przed tzw. amerykanizacją, po japoński ceremoniał rodzinno-domowy obserwuje się w świecie różne formy dbałości samych społeczeństw o zachowanie narodowego obyczaju przed uniformizującym wpływem współczesnej cywilizacji przemysłowej.

W co więc jest u nas grane? Otóż nie mam wątpliwości, że wielu Rejtanom polskiej narodowej tożsamości, rozdzierającym szaty nad upadkiem starodawnych swojskich tradycji i głoszącym tezę o wyłącznej przynależności polskiej kultury do śródziemnomorskiego nurtu kulturowego chodzi zwyczajnie (może nie zawsze do końca świadomie) o politykę, o ponowne odgrywanie przez Polskę niefortunnej roli „przedmurza" Zachodu, zamiast *łącznika i pośrednika kulturalnego między Wschodem i Zachodem*.

Wydaje mi się, że wielu spośród zagorzałych obrońców rzekomo zagrożonej tożsamości, którzy prywatnie pławią się w kosmopolityzmie (nie mylmy go z internacjonalizmem!), uznałoby się za całkowicie usatysfakcjonowanych dopiero wtedy, gdyby nasze państwo wyrzekło się zasady społecznej własności środków produkcji i zamieniło obecne swoje więzi i sojusze na wprost przeciwne.

Ot, wystarczyłby im taki „drobiazg" i właśnie nieraz w to jest grane.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Opuściłem jej progi dwadzieścia lat temu. Są jednak chwile, kiedy wydaje mi się, że było to zaledwie wczoraj. Czuję nawet jeszcze tak charakterystyczny zapach pasty do podłogi, widzę naszą klasę, słyszę budzące niezmiennie lęk słowa: do tablicy! — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO z najstarszej w dzielnicy Łódź-Górna Szkoły Podstawowej nr 42.

— Grali bardzo dynamicznie i ekspresyjnie: Andrzej Makowiecki jak Wild Bill Dawison, Andrzej Dorawa jak Kid Ory, Zbigniew Wojciechowski jak Edmond Hall — reportaż ANDRZEJA KAROLCZAKA pt. „Ośmiu muzyków w jednej taksówce czyli jak Tiger-Rag wyzwalał diabła".

— Mnie natura wyposażyła jedynie w słuch. Gdy sprawdzano po raz pierwszy mój głos, okazało się, że go prawie nie ma. A więc trzeba przede wszystkim pracować, bo śpiewanie to 30 procent głosu, dużo uporu, trochę talentu i ogromnie dużo pracy — mówi ANDRZEJ HIOLSKI, wybitny artysta, który śpiewał prawie wszędzie w Polsce, Europie i na świecie.

— Na pociąg oczekiwaliśmy ubrani w panterki, w niemieckich hełmach i oczywiście uzbrojeni w karabiny. Oddaliśmy salwę honorową, a przerażony maszynista dodał pary i pociąg pomknął dalej. Na szczęście nasi koledzy nas rozpoznali — wspomnienia ADAMA BIEŃKOWSKIEGO, których bohaterami są znani dziś w kraju ludzie: aktorzy, uczeni, dziennikarze.

— Nieprawdopodobna wprost demoralizacja panowała w Kościele katolickim. Przykład szedł z góry: od papieży, kardynałów, biskupów. Protestantyzm był protestem przeciwko temu złu — obszerny artykuł EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO.

— Ponadto — Dzieci Arbatu" ANATOLIJA RYBAKOWA oraz „Matnia" LEONARDA.

Polacy lubią się porównywać z Francuzami, lecz w istocie naród francuski jest zupełnie inny niż polski.

Najbardziej zdyscyplinowani buntownicy

EDMUND LEWANDOWSKI

Eugène Delacroix — Wolność wiodąca lud na barykady (1830 r.)

Dlaczego reformacja religijna zaczęła się w Niemczech i zwyciężyła wyłącznie w krajach germańskich, a nie przyjęła się u ludów romańskich i słowiańskich? Hegel sądził, że Słowianie nie mogli się za nią opowiedzieć, ponieważ dominowało tam rolnictwo, z którego wynika istnienie stosunku sługi i pana. Narody romańskie zaś nie mogły poprzeć reformacji ze względu na swój charakter narodowy.

„Cóż jednak było tą swoistą cechą ich charakteru, która stanęła na przeszkodzie wolności ducha? — pytał filozof niemiecki i odpowiadał następująco. — *Właściwą glebą dla wyzwolenia ducha była nieskalana uczuciowość wewnętrzna narodu germańskiego. Narody romańskie natomiast w najgłębszych pokładach duszy, w świadomości swego ducha zachowały jakieś r o z d w o j e n i e. Powstały one ze zmieszania krwi rzymskiej z germańską i zachowały w sobie ten heterogeniczny charakter. Żaden Niemiec nie może zaprzeczyć, że Francuzi, Włosi i Hiszpanie mają bardziej stanowczy charakter, że z zupełną świadomością i jak najbardziej skupioną uwagą dążą do określonego celu (chociażby miał to być nawet jakiś urojony twór wyobraźni), że przeprowadzają swe plany z wielkim rozmysłem i w stosunku do określonych celów stosują jak największą stanowczość".*

Zdaniem Hegla, narody romańskie uparcie trzymają się abstrakcji i dlatego brak im głębokiego życia wewnętrznego. Poważne sprawy duchowe pozostawiają Kościołowi, czyli jakby na uboczu, na zewnątrz osobowości. I żyją w przekonaniu, że tę kwestię najbardziej zasadniczą jakoś się załatwi. Życie religijne nie wynika z ich własnej jaźni. Praktyki kościelne realizują w sposób zewnętrzny.

„Oto co jest główną cechą tych narodów — czytamy dalej — *jest nią rozdział zainteresowań religijnych od świeckich, tzn. rozdwojenie w poczuciu własnego j a. Powód tego rozdwojenia tkwi w samym życiu wewnętrznym, które utraciło swą spójność, swą najgłębszą jedność. Religia katolicka nie obciąża w jakiś istotny sposób czynnika świeckiego; religia pozostaje obojętna po jednej stronie, a druga strona jest od niej różna i istnieje sama dla siebie. Kulturalni Francuzi mają przeto niechęć do protestantyzmu, gdyż wydaje im się on czymś pedantycznym, czymś smutnym, moralnie małostkowym. U protestantów bowiem duch i myśl muszą same zajmować się religią, podczas gdy przy mszy świętej i innych obrzędach katolickich nie potrzeba o niej myśleć. Wystarczy uczestniczyć w imponującym, zmysłowym widowisku, przy którym można bez zastanowienia mamrotać modły, by spełnić to, co należy".*

Przytaczam na wstępie dwa obszerne cytaty z książki Hegla „Wykłady z filozofii dziejów", ponieważ zawierają godną uwagi próbę zrozumienia odmienności narodów romańskich: Francuzów, Włochów, Hiszpanów, Portugalczyków. Podstawa wyodrębnienia tej grupy ludów indoeuropejskich są, jak wiadomo, kryteria lingwistyczne. Poszczególne narody ukształtowały się drogą licznych nawarstwień etnicznych i konwergencji różnych kultur.

Z największą mieszaniną etniczną mamy do czynienia na półwyspach Apenińskim oraz Iberyjskim.

Kolebka Francuzów znajduje się w dawnej Galii rzymskiej. W szóstym wieku p.n.e. cały obszar dzisiejszej Francji oraz część Hiszpanii i Wysp Brytyjskich zasiedlili indoeuropejscy Celtowie. W latach 58—51 p.n.e. Galia została podbita przez Cezara i dość szybko uległa romanizacji. W społeczeństwie celtyckim silnie zakorzeniony był podział społeczeństwa na trzy warstwy o różnych funkcjach: kapłanów (druidowie, wieszczowie i bardowie), wojowników i rolników. Analogiczna struktura — występująca również u hinduskich Ariów — odnalazła się później w społeczeństwie feudalnym. W nazwie celtyckiej Irlandii spotykamy składnik „Arias". Celtowie byli ludźmi porywczymi i wojowniczymi. W walce używali — jak Ariowie — dwukonnych rydwanów. Mieli skłonności do samochwalstwa i patetycznego komedianctwa. Wysoką pozycję przyznawali kobiecie. W mowie chętnie operowali przenośniami i aluzjami.

Na przełomie V i VI wieku opanowali Galię germańscy Frankowie. Zlikwidowali oni w tym rejonie inne państwa germańskie (m.in. Burgundów) i stworzyli potężną monarchię wczesnofeudalną. Już w 496 roku król Chlodwig przyjął chrzest w obrządku k a t o l i c k i m (inne plemiona germańskie wyznawały arianizm). Przez to Frankowie od razu stali się chorążymi i szermierzami katolicyzmu. W dobie krucjat Bizantyjczycy nazywali katolików łacinnikami lub Frankami. Pod koniec VII wieku do Kościoła należała co najmniej jedna trzecia ziem frankońskich.

Naród francuski powstał więc w wyniku podboju ludności gallo-rzymskiej przez Franków, którzy jednak ulegli romanizacji. Pozostała po nich współczesna nazwa kraju. W XVIII wieku pojawił się we Francji tzw. problem germańsko-romański. Ideologowie szlacheccy wysunęli tezę, że szlachta ma prawo panować, ponieważ pochodzi od germańskich Franków, którzy ujarzmili przed wiekami Gallo-Rzymian (przodków ludu). W związku z tym bojownik stanu trzeciego Emmanuel Sieyés zapytał w styczniu 1789 roku:

„Czemuż by w istocie nie przesiedlić z powrotem do lasów frankońskich tych wszystkich rodzin, które trzymają się obłąkańczych uroszczeń do praw pierwotnych zdobywców Francji? Naród, po uwolnieniu się od zdobywców, prawdopodobnie jakoś by się pocieszył tym, że musiałby za swych protoplastów uznać wyłącznie Gallów i Rzymian".

Problem germańsko-romański przycichł w okresie Rewolucji i rządów Napoleona, lecz spory wybuchły na nowo w czasie Restauracji (1814—1830). Nawet wybitni historycy, jak Augustin Thierry i Francois Guizot, nie mieli wątpliwości, że od trzynastu stuleci Francja składała się z dwóch ludów: zwycięskich Franków i zwyciężonych Gallo-Rzymian. Toteż przez cały ten czas trwała walka klasowa między seniorami i chłopami, szlachtą i prostym ludem.

W istocie naród francuski jest dziełem przede wszystkim Wielkiej Rewolucji 1789 roku. Ma rację Elias Canetti, że symbolem masy tego narodu jest rewolucja. O święcie obchodzonym corocznie 14 lipca pisze on:

„Ludzie, którzy w inne dni są równie mało wolni, równi i braterscy jak w innych krajach, teraz mogą zachowywać się tak, jak gdyby tacy byli naprawdę. Bastylia zdobyta, a ulice są równie pełne jak wtedy. Tłum, od stuleci ofiara królewskiej sprawiedliwości, sam wymierza sprawiedliwość. Wspomnienie ówczesnych egzekucji, ciągły szereg masowych wstrząsów najróżniejszego rodzaju, jest częścią tego święta w większym stopniu niż to sobie uprzytomniają Francuzi... Żaden hymn, wszystko jedno jakiego narodu, nie ma tego życia w sobie co hymn francuski — Marsylianka wywodzi się właśnie z tamtych czasów".

Organizując drugą w świecie wielką rewolucję w 1917 roku Rosjanie — zdaniem Canettiego — *„nadwerężyli narodowe samopoczucie Francuzów"*. Albowiem dotąd rewolucja była najbardziej swoistą, wyróżniającą cechą narodu francuskiego. Samo słowo „rewolucja" kojarzyło się każdemu z „francuską".

Masowy symbol Francuzów ma charakter dynamiczny, łączy się z ruchem i szturmem. Ale dlaczego tak wielka rewolucja wybuchła właśnie w tym kraju? Hegel uważał, że tego rodzaju przewrót był możliwy i konieczny tylko w kraju, który nie przyjął protestantyzmu. W państwach katolickich wciąż walczą tendencje reakcyjne i rewolucyjne.

„W szczególności — pisał Hegel — *opanował liberalizm wszystkie narody romańskie, tzn. świat rzymsko-katolicki: Francję, Włochy, Hiszpanię. Później jednak wszędzie zbankrutował. Najpierw w swej głównej bazie, to jest we Francji, następnie w Hiszpanii i we Włoszech; i to nawet dwukrotnie w tych państwach, do których wprowadzony został z zewnątrz. (...) W ten sposób abstrakcja liberalizmu zrodzona we Francji obiegła stąd świat romański, ale świat ten, ujarzmiony niewolą religijną pozostał w okowach niewoli politycznej. Błędna to bowiem zasada, że więzy krępujące prawo i wolność mogą być zerwane bez wyzwolenia sumienia, że możliwa jest rewolucja bez reformacji".*

Można by zbagatelizować wywody Hegla, gdyby nie fakt, że przez cały wiek XIX i XX największe wstrząsy społeczne i ruchy rewolucyjne rzeczywiście występowały w krajach katolickich. Odnosi się to nie tylko do Europy, lecz także do Ameryki Południowej i Środkowej. Prawicowy działacz Alain Peyrefitte napisał, że dopiero Sobór Watykański II pozwolił Francji odrzucić pancerz romański i przyśpieszyć rozwój społeczno-gospodarczy. W wywiadzie udzielonym Leszkowi Kołodziejczykowi („Polityka" 1984, nr 10) stwierdza:

„Francja okresowo przeżywa spazmy. Te kryzysy są mniej lub bardziej ostre: na ogół wiążą się one z odosobnioną sytuacją, która staje się wybuchowa i ogarnia ciało całego kraju. W 1830, 1848, w 1870 kwitnąca i pozornie stabilna Francja obala Karola X, Ludwika Filipa i Napoleona III. Tu i tam czar gwałtownie się załamuje, i jest kryzys".

Narody chrześcijańskie zostały ukształtowane na podobieństwo Marty lub Marii — sióstr Łazarza, które odwiedził Jezus. Pierwsza była aktywna, a druga skłonna do kontemplacji. Kraje Marii więc, to wierne Rzymowi narody łacińskie, natomiast córami Marty są narody reformowane.

„Powszechnie wiadomo — kontynuuje Alain Peyrefitte — *że kraje reformacji, pracowite, uprzemysłowione, zawsze przodowały w wymianie handlowej, w innowacjach technicznych, w postępie gospodarczym i w odkrywaniu nowych lądów* (tu się chyba nie zgadza — E. L.), *i że ich polityczna ewolucja w kierunku demokracji przedstawicielskiej i liberalnej dokonała się na ogół bez wstrząsów. Z drugiej strony, narody wierne Rzymowi, bardziej związane z tradycjonalizmem, których ducha integryzmu podtrzymywała kontrreformacja, ruch — mówiąc wprost i bez ogródek — reakcyjny, słowem, bardziej zamknięte w swoich zakazach moralnych i społecznych, dokonywały postępów wyłącznie pod presją. Jeśli nawet zdarzały się u nich jednostki przeniknięte duchem pionierskim, to naród jako całość okazywał się bardziej oporny na postęp. (...) Jeszcze dzisiaj, w cztery wieki po tych dwóch wspaniałych rewolucjach kulturalnych, jakimi były reformacja i kontrreformacja, rolę napędową w ewolucji tej planety odgrywają wyrośli w kulturze protestanckiej Anglosasi. Nie można tego powiedzieć o «rzymianach». A mówię o tym tym szczerzej, że boleję, iż biorąc rzecz z tego punktu widzenia, Francja, mimo bardzo wyraźnej dechrystianizacji, pozostała głęboko «rzymska»".*

Alain Peyrefitte był wielokrotnie ministrem za rządów generała de Gaulle'a i deputowanym do parlamentu francuskiego. Przez pewien czas piastował funkcję sekretarza generalnego partii gaullistowskiej. Jego książka „Le mal francais" o krajach katolickich i protestanckich (wydana w 1976 roku) wzbudziła ogromne poruszenie i została przełożona na 12 języków. W sumie nakład jej przekroczył 1 mln 200 tys. egzemplarzy.

W opinii własnej i cudzej Francuzi są indywidualistami i nie cierpią dyscypliny.

Ale równocześnie przywiązani są do prawa i porządku Alain Duhamel doszedł do paradoksalnego wniosku, że są to najbardziej zdyscyplinowani buntownicy.

W charakterze Francuzów uderzają liczne sprzeczności. Przy każdej okazji stawiają opór władzy, lecz szanują potęgę państwa. Kpią sobie z protokołu, lecz lubią republikański ceremoniał. W odstępach mniej więcej 10-letnich wybuchają (1936—1946—1956—1968—1981) i zwracają się ku lewicy, lecz naprawdę są konserwatystami. Twardo egzekwują wszystkie należności od państwa, lecz są niedobrymi płatnikami podatków. *„Cała Francja* — pisze A. Duhamel — *żywi się tymi sprzecznościami, które nie są wcale tak bardzo ze sobą nie do pogodzenia, jak wydaje się to na pozór".*

Witold Hensel wysuwa przypuszczenie, że o indywidualizmie Francuzów i Polaków zadecydowała dawna mozaika etniczno-kulturowa. Struktura psychiczna narodów europejskich zależy być może od dawnych krzyżówek etnicznych. Nie da się chyba tego jednak udowodnić. W każdym razie już Alfred Fouillée zakładał, że we Francji niestałość i lekkomyślność galijska przeszła we francuską. Lecz geniusz celtycki i śródziemnomorski miał pozytywny wpływ na język francuski, który w przeciwieństwie do zwięzłego i sztywnego niemieckiego, odznacza się giętkością, miękkością, żywym wdziękiem i lekkością.

Historyk zachodnioniemiecki Rudolf von Thadden powiedział w rozmowie z Adamem Krzemińskim dla „Polityki" (nr 9 z 1985 r.), że Francuzi nie znają *„samosterujących sił społecznych. Potrzebują państwa, ale niestety, ze względu na swą mentalność nie potrafią go zorganizować tak dobrze jak Niemcy. Dlatego też państwo francuskie nie funkcjonuje tak dobrze — na przykład administracja".*

Porównując Anglików z Francuzami stwierdza on, że odmiennie pojmują wolność: pierwsi jako udział we władzy, drudzy jako dystans wobec państwa. Bardzo ciekawie też wypowiada się na temat stosunku Polaków do Francuzów i Niemców:

„Polska, jak wiadomo, żywi dawną sentymentalną miłość do Francji, ale ta miłość wciąż jest rozczarowywana; jest to jak miłość do pięknej kobiety, bez wzajemności. I choć to może brzmi szalenie — Polska jest o wiele bliższa Niemiec".

Polacy zapominają — zdaniem von Thaddena — że warunki nad Wisłą są podobniejsze do tych nad Łabą, niż nad Tybrem czy Sekwaną. Dlatego wydaje im się, że znajdują się w ścisłym towarzystwie z katolickimi Włochami i Francją. A w innym miejscu autor niemiecki zauważa, że niemiłe realia Francuzi *„spychają do podświadomości, Polacy je mistyfikują, rozpinają nad nimi aureolę. Niemcy podchodzą do sprawy zbyt bezpośrednio i parzą sobie palce".*

Francuzów porównywał z Polakami również duński filozof i historyk literatury Georg Brandes. Po pierwszych odwiedzinach naszego kraju w 1885 roku zanotował:

„Nieliczne rysy podobne, które znajdujemy tak u Polaków, jak i u Francuzów polegają na łatwości, z jaką jedni i drudzy prędko się zapalają do czegoś i równie prędko doznają rozczarowania, w pogoni za silnymi wrażeniami i miłości blasku sławy. Ale te punkty styczne nie wykluczają zasadniczych różnic. Racjonalizmu, skłonności do rezonowania, będących jednym z zasadniczych rysów charakteru francuskiego, Polakom brak całkowicie. Nie ma tu również zupełnie owego arytmetyczno-algebraicznego sposobu myślenia, w którym celują Francuzi. Francuz jest — w szlachetnym tego słowa znaczeniu — wielkim prozaikiem, Polak — poetą...".

Hiszpański badacz kultur narodów europejskich Salvador de Madariaga w słynnej niegdyś książce „Anglais, francais, espagnols" uznał za personifikację charakteru narodowego Francuzów osobowość Woltera — głównie człowieka intelektu, racjonalistę. Czysty intelekt i wiedzę traktują Francuzi, jego zdaniem, jako wartość samą w sobie. Nieprzypadkowo podczas Wielkiej Rewolucji 1789 roku stawiali pomniki Rozumowi i przekształcali kościoły katolickie w świątynie Rozumu. Francuzi zawsze dbają o jasność, ład i kompozycję. Względy logiczne przeważają u nich nad uczuciami i nawet nad praktycznością.

Francuzi są dumni ze swojej ojczyzny i kultury, lecz ich patriotyzm przede wszystkim jest ideą intelektualną, czymś co „zachwyca myśl" (Victor Hugo). Brak im poza tym umiejętności spontanicznego organizowania się i współdziałania; dlatego dużą rolę musi odgrywać państwo i prawo. Stąd życie zbiorowe we Francji jest formalistyczne.

Socjolog amerykański Edward T. Hall wyróżnia dwa typy kultur: wysokiego kontekstu, w których ludzie głęboko angażują się w sprawy bliźnich, i niskiego kontekstu, w których nie ma miejsca na głębokie angażowanie się w sprawy innych. Do pierwszego typu zalicza kultury arabską, japońską, indiańską i hispanoamerykańską, do drugiej — szwajcarską, niemiecką i amerykańską. Natomiast Francuzi, według niego, różnią się od mieszkańców Europy Północnej, Anglików i Amerykanów, ponieważ ich kultura jest mieszaniną kontekstów wysokiego i niskiego. We Francji ludzie bardziej interesują się sprawami innych niż w Stanach Zjednoczonych.

„Francuzi — czytamy — *są bardzo ze sobą związani zmysłowo. Rozkład ich biur, mieszkań, miast, centrów i wiosek jest tego rodzaju, że podtrzymuje owo wzajemne sprzężenie".* Przestrzeń organizują według systemu promienistej gwiazdy. Jest to wzór *„dospołeczny"*. Dużo tu jednak indywidualizmu.

Najkrócej osobowość typowego Francuza można scharakteryzować następująco. Jest to racjonalista i indywidualista, z temperamentu ruchliwy i wytworny. W uczuciach patetyczny, do świata odnosi się z dużą dozą sceptycyzmu. Szanuje państwo i porządek prawny, lecz okresowo podnosi bunt. Jest elegancki, dowcipny, wesoły, dość często lekkomyślny i beztroski.

Na zakończenie przytoczę jeszcze dwie charakterystyczne opinie, w których porównuje się Francuzów i Polaków. Autor francuski Paul Cazin, na podstawie twórczości naszych moralistów poprzedzających Ignacego Krasickiego, pisze, że w duchu polskim jest mniej niż we francuskim logiki. Pojęcie dobra jest tu silniejszym motorem od prawdy. Stąd wynikała niespotykana gdzie indziej tolerancja polityczna i religijna, lecz również niestałość w postępowaniu.

Autorką drugiej opinii jest Alina Witkowska. W rozmowie ze Zbysławem Rykowskim i Wiesławem Władyką dla „Tu i Teraz" (nr 3 z 1983 r.) powiedziała:

„Kultura polska nie jest ukształtowana przez racjonalizm. Tak ukształtowana jest kultura francuska. Jest to jej dominanta. Natomiast dominanty polskie są inne. W sferze wartości będzie to np. ofiarność, heroizm, emocjonalne przeżycie wspólnoty losu, wyższość racji etycznych nad innymi racjami. Ale nie nazywałabym tego walką rozumu z sercem. Bo wygląda to tak, jakby serce było głupie, a rozum strasznie mądry. Romantycy w cudowny sposób demaskowali rozum, pokazywali, że każdej nieprawości dostarczy argumentów, że jest kłamcą i szachrajem. Dlatego zwrócili się ku sercu, instynktowi moralnemu i prawu etycznemu człowieka".

Jego niespokojne sumienie zmuszało go do walki o prawdę.

Co było przyczyną śmierci Aleksandra Fadiejewa?

W radzieckim tygodniku „Ogoniok" w numerach 30 i 31 ukazał się obszerny artykuł o losach i śmierci Aleksandra Fadiejewa pióra I. Żukowa. Publikujemy obszerne omówienie tego artykułu.

Luty 1956 roku. W Moskwie odbywa się XX Zjazd KPZR. Idee jego porównane zostaną później z oczyszczającym szkwałem, który z nadzieją pozwala patrzeć w przyszłość. Aleksander Fadiejew został wybrany delegatem na zjazd, ale z powodu choroby nie mógł wziąć w nim udziału. Całą prawie zimę przeleżał w szpitalu. Materiały zjazdu czytał uważnie, ciesząc się i smucąc. Żył życiem partii. W młodości nawet przypuścić nie mógł, że droga do dojrzałości, na którą on — i tak jak on, tysiące innych — wstąpi bez obaw i wątpliwości, okaże się tak okrutną i bolesną. We wszystkie te dni i noce (śpi po dwie — trzy godziny na dobę) nie daje mu spokoju wers z poezji Nikołaja Tichonowa:

„Nieprawda jadła i piła z nami".

W obronie syna Anny Achmatowej.

W szpitalu przekazano mu list Anny Achmatowej, z prośbą o *„przyspieszenie rozpatrzenia sprawy jej syna"* i o pomoc w *„przywróceniu sprawiedliwości"*. Poetka zwracała się do Aleksandra Fadiejewa jako *„wielkiego pisarza i dobrego człowieka"*. W tym czasie Fadiejew nie kieruje Związkiem Pisarzy ZSRR, co dla Anny Achmatowej nie ma znaczenia. Zna ona wagę słowa Fadiejewa.

W 1953 roku właśnie on dał pozytywną recenzję jej poetyckiego rękopisu, przygotowanego dla wydawnictwa „Sowietskij pisatiel". Gdyby nie było tej recenzji, żaden wydawca nie zdecydowałby się chyba na wydanie wierszy Anny Achmatowej. Po uchwale KC partii z 14 sierpnia 1946 roku umocniła się opinia o Annie Achmatowej jako o *„wyrafinowanej poetce świata odchodzącego"*.

Podobnie, jak współcześni jemu pisarze Aleksander Fadiejew również mówił, iż ważny jest ten partyjny dokument, skierowany — jak wtedy sądzono — przeciw *„schyłkowości"* *„dekadentyzmowi"*, *„przyziemności"* w literaturze. W odróżnieniu jednak od swoich kolegów z aparatu Związku Pisarzy ZSRR wobec M. Zoszczenki, A. Achmatowej, okazał on maksimum człowieczeństwa i przyzwoitości. Nie zmieniał się jego pełen szacunku stosunek do ich pisarskich losów i myślał przede wszystkim o tym, aby przywrócić im poprzednią wiarę w możliwości twórcze.

W połowie lat pięćdziesiątych Anna Achmatowa bardzo intensywnie pracowała. Wiele tłumaczyła. Męczył ją ciężki los syna — Lwa Gumilowa („Polityka" niedawno opublikowała wywiad z tym wybitnym uczonym — przyp. red.), który od wielu lat siedział. Miał niewątpliwie zdolności naukowe — świadczyły o tym opinie naukowców badających kulturę wschodu. Los matki, a tym bardziej ojca — poety Nikołaja Gumilowa, którego, jak się wtedy wydawało, na wieki umieszczono w spisie ludzi „obcych", w znacznej mierze określiły złożoną biografię syna. Aleksander Fadiejew od razu to zrozumiał. W liście do Naczelnej Prokuratury Wojskowej z 2 marca 1956 roku pisarz uznał za konieczne podkreślenie tej właśnie okoliczności:

„Przy rozpatrywaniu sprawy L. Gumilowa konieczne jest również uwzględnienie tego, że Lew Gumilow, jako syn N. Gumilowa i A. Achmatowej, zawsze mógł stanowić „wygodny" materiał dla wszystkich elementów karierowiczowskich i wrogich do rzucania na niego wszelkich oskarżeń (mimo, że miał on zaledwie 9 lat), gdy ojca — N. Gumilowa — zabrakło".

Wkrótce Lew Gumilow został zwolniony.

Ta krytyka zabolała.

Wystąpienie Michaiła Szołochowa na XX Zjeździe KPZR wywołało u Fadiejewa mieszane uczucia. Zgadzał się z krytyką współczesnej literatury dokonaną przez Szołochowa. Ze wściekłością i bólem, jeszcze wiosną 1953 roku pisał do Aleksandra Surkowa:

„Literatura piękna upadła tak nisko, jak nigdy jeszcze za władzy radzieckiej. Pisane są powieści bez duszy, bez myśli, tak nudne, że szczęki z zawiasów wyskakują...".

Boleśnie odebrał jednak krytykę własnej pracy, jako kierownika związku twórczego. Michaił Szołochow zarzucił mu, że dobrowolnie oddał się w niewolę funkcji administracyjnej. A było przecież inaczej. Aleksander Fadiejew nie miał wyboru. Odpowiedzialne polecenie partyjne — tak to wtedy traktowano. A na plenum Związku Pisarzy wybrano go jednomyślnie. Jego prostotę i uczciwość ocenili zarówno przyjaciele jak i przeciwnicy. Nigdy nie unikał odpowiedzialności.

Był człowiekiem odważnym. Konstanty Simonow opowiadał kiedyś o tym, jak Józef Stalin zaproponował podwyższenie stopnia nagrody dla pewnej modnej w tym czasie pisarki. Nagrody literackie miały wtedy trzy stopnie. Pierwszy był najbardziej prestiżowy. Proponowano dać jej nagrodę stopnia trzeciego. Stalin nalegał na drugi. Fadiejew oponował z maksymalnie w tej specyficznej sytuacji możliwą wytrwałością. Stalin powtórzył swoje uzasadnienie i spytał:

— *Jaką więc damy nagrodę?*

— *Zadecydujecie wy, towarzyszu sekretarzu* — ponuro odpowiedział Fadiejew — *ale ona źle pisze.*

Michaił Szołochow uniknął funkcji szefa Związku Pisarzy. Gdy Aleksander Fadiejew pisał „Młodą Gwardię", wezwano Szołochowa do KC WKP(b), do Andrieja Żdanowa, który według słów pisarza tak powiedział:

— *Mamy do was, towarzyszu Michaile, poważną prośbę. Fadiejew pisze powieść, wszystko wskazuje na to, że mu dobrze idzie. Czy nie moglibyście choć na krótko pokierować Związkiem Pisarzy?".*

Mimo że Szołochow nie był człowiekiem nieśmiałym, na chwilę stracił rezon. Pomogło mu poczucie humoru. Powiedział:

— *Dziękuję za propozycję, ale mam kłopot. Za trzy godziny odjeżdża pociąg do Rostowa, a bilet już wykupiłem.*

Pochmurny Andriej Żdanow nie wytrzymał, zaśmiał się i machnął ręką:

— *Sprawa jasna. Zrozumiałem wasz fortel. Skoro macie już bilet — jedźcie.*

Z Aleksandrem Fadiejewem rozmawiali twardo.

Zanim nadszedł rok 1956.

W jednym z listów Fadiejew pisał tak:

„Myślę, że określone braki współczesnej literatury wynikają z innych, niż to przedstawił Szołochow, przyczyn. Ostatnie dwa—trzy lata naszego życia są latami tak głębokich przemian, że od razu nie jest możliwe odzwierciedlenie i artystyczne ujęcie tego wszystkiego. A i w życiu przecież jeszcze nie wszystko się „unormowało". Potrzebny jest czas, aby znowu pojawiły się książki o dniu dzisiejszym. Jestem przekonany, że będą jeszcze lepsze od poprzednich".

Fadiejew nieraz prosił KC KPZR, Józefa Stalina, Związek Pisarzy o zwolnienie z obowiązków, gdyż chciał pisać. W marcu 1931 pisze do Stalina, że mając wiele nowych idei, pomysłów na powieść, opowiadania, nie ma czasu na ich urzeczywistnienie.

„Wypełniają mnie one i we mnie, nie zrealizowane umierają. Mogę jedynie opowiadać swoje pomysły przyjaciołom, przekształcając się z pisarza w akyna lub szuga...".

Po XX Zjeździe KPZR jego błagania usłyszano i umożliwiono mu taką zmianę charakteru pracy, aby nie wiązała się z obowiązkowymi godzinami w Związku Pisarzy i z częstymi wyjazdami. Lecz jego niespokojne, reagujące na ludzkie nieszczęścia, sumienie, zmusza go do walki o prawdę. Do różnych instancji — do Prezydium Rady Najwyższej, do Naczelnej Prokuratury Wojskowej — wysyłał listy z precyzyjnymi, głęboko uargumentowanymi opiniami o różnych ludziach — pisarzach, uczonych, swoich towarzyszach walki, ludziach, którzy ucierpieli w czasie jeżowszczyzny i beriowszczyzny. Upadek Ławrientija Berii latem w roku 1953 skomentował następująco:

— *Nareszcie! Jaka szkoda, że droga do prawdy jest tak długa i ciężka.*

Na biurku Aleksandra Fadiejewa znalazł się list do Lidii Sidorenko, wdowy po Wanii Apriatkinie, z którym Fadiejew w młodości studiował w Akademii Hutniczej. Lidia Sidorenko prosiła o pomoc w rehabilitacji męża, którego w 1937 roku dosięgnął los tysięcy innych ludzi, ofiar oszczerstw i donosów. Wania Apriatkin został aresztowany jako „wróg narodu" i wkrótce rozstrzelany... Trzeba powiedzieć, że Fadiejew miał dość przesłanek po temu, aby nie wtrącać się do tej sprawy. Jest wszak przecież rok 1953. Dopiero opublikowano komunikat o przestępczej działalności Ławrientija Berii. Powszechne jest w społeczeństwie uczucie radości, wolności, moralnej i duchowej odwilży. Lecz niemało jest jeszcze ludzi, również w kręgach twórczych, żyjących według starych zasad. Nie byli oni związani z maszyną zła w okresie samowoli. Ale nie mieli też odwagi, aby wystąpić w obronie poniżanego, znieważonego honoru swoich towarzyszy. Dzięki wstawiennictwu Aleksandra Fadiejewa Iwan Apriatkin został pośmiertnie zrehabilitowany.

Aleksander Fadiejew osobiście znał wielu ludzi, bohaterów wojny domowej, „architektów" pięciolatek, polityków. Niejednokrotnie mówił, że na czele partii stoją ludzie najlepsi, „kwiat narodu". Cierpiał, gdy się dowiadywał, że wcale nie zawsze tak było. Cierpiał nie dlatego, że został zdemaskowany ten lub inny działacz, który umacniał swoją pozycję samowolą i gwałtem, lecz dlatego, że tak czy inaczej, ilu byśmy w tej mierze nie czynili zastrzeżeń, rzucało to cień na te rzeczywiście ogólnoludzkie (Fadiejew tak właśnie mówił: *„ogólnoludzkie")* idee, które mają pełne prawo do miana leninowskich.

Będąc kiedyś u Stalina, Fadiejew powiedział o niesprawiedliwych działaniach Ławrientija Berii, o jego nieludzkich czynach. Świadkowie piszą o tym następująco:

„Korzyści to nie przyniosło, a Beria o rozmowie się dowiedział i już ponad dziesięć lat szuka okazji do zemsty, prowokuje jego i innego świadka tej rozmowy, usiłuje oczerniać ich wobec Stalina".

W obronie poezji Nikołaja Zabołockiego.

Gdy pisarz uwierzył w człowieka, niemożliwa była zmiana jego postawy. Jesienią 1945 roku z zesłania wrócił do Moskwy poeta Nikołaj Zabołockij. Jego żona i dzieci pozostali w Karagandzie, do której przyjechali, gdy poetę wypuszczono z obozu i zezwolono na życie w Kazachstanie. W tym okresie człowiek uznany za „wroga narodu", który jednak wrócił z obozu do domu, był niebezpieczną rzadkością. Z Aleksandrem Fadiejewem się nie znali, ale jakoś odszukał Nikołaja Zabołockiego. Poprosił go o przeczytanie wierszy. Spodobały się one Fadiejewowi. Zaczął pytać o życie. Nikołaj Zabołockij odpowiadał skąpo, na nic się nie skarżył i o nic nie prosił. Fadiejew zaproponował Zabołockiemu wydanie tomu jego poezji i zgodził się być recenzentem. Tomik wyszedł w roku 1948.

Dzisiaj zapewne dziwnym się może wydawać określenie tej decyzji autora „Młodej Gwardii", jako bardzo odważnej. Czyż potrzebna jest odwaga, aby występować w obronie twórczości o tak dużych walorach poetyckich? Co jednak dzisiaj jest bezdyskusyjne, wczoraj było negowane lub podawane w wątpliwość. Poezja Nikołaja Zabołockiego otoczona była uprzedzeniami, obrzucana zniewagami. A dodać trzeba, że na Nikołaju Zabołockim leżał cień „politycznych" podejrzeń, które postawiły go nieomal w sytuacji bez wyjścia. Poeta wrócił z zesłania, ale wyrok nie uległ zatarciu. W czym tkwiła istota oskarżeń, czy były one słuszne, wielu ludzi nie wiedziało...

Wiersze Nikołaja Zabołockiego zostały w prasie skrytykowane, jako coś obcego... Aleksander Fadiejew walczy jednak o pełne przywrócenie praw Nikołajowi Zabołockiemu i w końcu — 26 listopada 1951 roku dostał list od poety, w którym ten z radością go poinformował, że wyrok anulowano i że ma to na piśmie:

„Raz jeszcze serdecznie panu dziękuję za wstawienie się w mojej sprawie. W życiu moim jest to wielkie i ważne wydarzenie. Pełen szacunku — N. Zabołockij".

Walka Aleksandra Fadiejewa o przywrócenie praw i godności pisarzom, a szerzej — autentycznego oblicza literaturze radzieckiej, porównywalna była w latach 1953—33 chyba tylko z działalnością jakiegoś instytutu lub specjalnego urzędu, w którym leczą przy pomocy prawdy.

„Drogi Klimencie Jefremowiczu! — tak się zaczyna list pisarza do Przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR, K. Woroszyłowa — *Proszę Was, abyście dali polecenie rozpatrzenia istoty charakteru przestępstwa Leonida Sołowjowa, aresztowanego 5 września roku 1946 i aby zbadano również, czy nie jest możliwe ułaskawienie L. Sołowjowa, uwzględniając, że jest to człowiek prawdziwie utalentowany... Deputowany Rady Najwyższej ZSRR, A. Fadiejew".*

W tym przypadku pisarz działał wbrew „zdrowej" logice. Później stało się wiadomym, że w 1937 roku do Związku Pisarzy wpłynęły cztery listy, w których oskarżono go o związki z trockistami, o przyjaźń z „wrogami narodu". Te same oskarżenia rzucił Aleksandrowi Fadiejewowi w twarz na jednym z zebrań również Leonid Sołowjow — człowiek dobry, wesoły. Fadiejewem to wstrząsnęło.

Miesiąc później — kolejny wstrząs. O szpiegostwo oskarżono sławnych dowódców: Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza... Czy Fadiejew w to uwierzył? Wtedy tak. W spisie sędziów zobaczył nazwisko Pawła Dybienki i Wasilija Blüchera. Z Dubienką szturmował zbuntowany Kronsztadt, a z Blücherem zostali wybrani delegatami na XVII Zjazd partii. Upłynie niewiele czasu i z piętnem „wrogów narodu" zginą Paweł Dybienko i Wasilij Blücher, i wielu, wielu innych...

Rozczarowanie i załamanie

W powieści „Młoda Gwardia" usiłuje Fadiejew zdemaskować zdradę jako zjawisko, znaleźć jego źródła i korzenie.

„Był z gatunku tych młodych ludzi, którzy obracając się od najmłodszych lat w pobliżu wybitnych jednostek stają się nieco zepsuci przez pewne czysto zewnętrzne przejawy ich władzy. W tej fazie swego życia nie mógł jeszcze zrozumieć istotnego sensu i celu władzy ludowej, jak i tego, że prawo do tej władzy osiąga się drogą trudów, jak i pracy nad własnym charakterem.

Jako zdolny chłopak, któremu wszystko przychodziło z łatwością, zwrócił na siebie uwagę wybitnych obywateli miasta już za czasów szkolnych, może dlatego, że bracia jego, członkowie partii, również zajmowali wysokie stanowiska. Obcując z tymi ludźmi od dzieciństwa, przyzwyczaił się mówić o nich w środowisku swoich rówieśników jak o równych sobie. Był powierzchownie oczytany i obdarzony zdolnością łatwego formułowania myśli w mowie i piśmie — nie własnych myśli oczywiście, gdyż tych nie miał jeszcze czasu w sobie wypracować, lecz cudzych, zasłyszanych od otoczenia. Mimo że niczego dotychczas w życiu nie dokonał, był uważany wśród działaczy komitetu rejonowego Komsomołu za aktywistę. A szeregowi komsomolcy, którzy nie znali go osobiście, widząc go na zebraniach zawsze w prezydium lub na mównicy, uważali go za działacza rejonowego, a nawet obwodowego.

Nie rozumiejąc istotnego sensu działania ludzi, pośród których się obracał, orientował się jednak doskonale w ich stosunkach osobistych i służbowych, wiedział kto z kim rywalizuje, kto kogo popiera i zaczął wierzyć, że sztuka rządzenia polega nie na służeniu narodowi, lecz na umiejętnym wygrywaniu wpływów jednych przeciwko innym i na zdobywaniu w ten sposób możliwie najsilniejszego poparcia".

Postać ta potrzebna była Aleksandrowi Fadiejewowi do zastanowienia się nad problemem egoizmu, do stworzenia kolejnego „modelu" samoluba, wynoszącego własne życie nad inne, „zwyczajne" losy. Gdy dowiedział się pełnej prawdy o Józefie Stalinie, o jego despotyzmie i samowoli, odebrał to jak tragedię, jak najokrutniejszy błąd w swoim życiu. W czasie żałoby, gdy Józefa Stalina chowano Aleksander Fadiejew, podobnie jak wszyscy, również pisze o wielkości człowieka, który odszedł, a nawet o jego... humanizmie. Uważał przecież, że zarówno Jeżow jak i Beria działali skrycie, w tajemnicy przed Stalinem. W jednym z jego listów jest sformułowana taka właśnie wersja. Dla Fadiejewa było jasne: Beria *„nie był zainteresowany naprawą wrogich działań („jeżowszczyzny") skierowanych przeciwko uczciwym ludziom".* Ale w lipcu 1953 roku Fadiejew ciągle jeszcze był przekonany, że za Stalina *„były po temu wszelkie możliwości".* Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, kto był głównym przywódcą w tym *„strasznym okresie".* I wtedy żelazna wola Fadiejewa, której nie były w stanie złamać ani wrzaski kulą, ani rany — zaczęła gasnąć, tając jak świeca.

Nie było łatwo Aleksandrowi Fadiejewowi znaleźć wspólny język z Nikitą Chruszczowem. Nie podobało mu się jego grubiaństwo, poufałość i bezceremonialność. Żadnej samokrytyki. Jakby w swoim czasie nie Nikita Chruszczow właśnie należał do najbardziej entuzjastycznych „rzeźbiarzy" pomnika Stalina. Jeszcze za jego życia. Podczas jednej z rozmów w KC KPZR w połowie lat pięćdziesiątych powie Fadiejew, że Stalin miał zły gust, ale smuciło go również to, że z gustem Nikity Chruszczowa nie było dużo lepiej, o ile nie jeszcze gorzej.

Aleksander Fadiejew nie przyjął propozycji Nikity Chruszczowa objęcia stanowiska szefa Związku Pisarzy ZSRR. Powrót do pracy w aparacie oznaczałby ponowną zależność od kaprysów ludzi niekompetentnych, od koniunktury, od nadmiernych pretensji tego lub innego wysokiego funkcjonariusza do bezbłędności ocen. Zbyt wiele ucierpiał z tego powodu. W 1940 roku, w liście do Eleny Bułhakowej obiecał, że nie oceniony godnie za życia talent jej męża Michaiła, stanie się dobrem ogólnonarodowym, i że użyje wszystkich sił, aby to się stało. W 1945 roku Aleksander Fadiejew sporządza listę najlepszych dzieł literatury radzieckiej. Znalazła się wśród nich „Biała gwardia" Michaiła Bułhakowa. Któż jednak poza nim, Walentinem Kawierinem i jeszcze dwoma- trzema literatami podzielał taką ocenę? Dla wielu pisarzy, w tym i dla *„żywych klasyków"*, Michaił Bułhakow był odległy, niezrozumiały jak tajemnicza Atlantyda. A ile jeszcze takich *„nieporozumień"* w swoim życiu Aleksander Fadiejew przeżył?

Zimą 1956 roku, w szpitalu, pisarz przygotowuje kolejne wydanie „Młodej Gwardii". Gdy wyszedł ze szpitala, wyglądał świeżo, zdrowo. Nie pił i powziął twardą decyzję, że nie będzie pić. Przyglądając się jemu z boku, można było sądzić, że odzyskiwał równowagę duchową. Ale to tylko tak się wydawało. Gdy po raz kolejny zasiadał do kontynuowania powieści „Hutnictwo" („Czionaja mietałurgia"), okazywało się, że nie mógł myśli swej (elastycznej, śmiałej) dać właściwego wyrazu. Fadiejew mówił, że dla niego nieukończenie tej powieści znaczy *„to samo, co powstrzymywanie przemocą porodu. Zginę wtedy jako człowiek i jako pisarz, tak samo, jakby w analogicznych warunkach zginęła położnica".* I tak się stało.

13 maja 1956 roku Aleksander Fadiejew zastrzelił się z nagana.

Opracował:
HENRYK B. TYMIŃSKI

Foto: Włodzimierz Kałczak

Niewesołe impresje - po Jesieni '87

TERESA JERZYKOWSKA

Tym razem Poznańskie Targi Krajowe Jesień '87 odbyły się w nieco wcześniejszym niż zazwyczaj terminie, zaledwie w tydzień po zakończeniu wakacji. Być może to właśnie było przyczyną, że nastrój panował jeszcze trochę letni, pogodniejszy niż na targach wiosennych, atmosfera rozmów była również swobodniejsza.

Do Poznania przybyło tym razem 1700 uczestników imprezy targowej — w tym 1400 wystawców, prezentujących swoje towary przeznaczone przede wszystkim na zaopatrzenie rynku w I półroczu następnego roku.

Zwiedzać więc było co — choć szczególnego natłoku gości, którzy zdecydowali się wydać 200 zł na bilet tylko po to, aby obejrzeć atrakcje, jakie oferują polscy producenci towarów rynkowych raczej się nie zauważało, mniej również niż w latach ubiegłych przybyło do Poznania zorganizowanych grup zwiedzających z różnych przedsiębiorstw i instytucji. Po terenie kręcili się przede wszystkim ci, którzy przybyli tu w celach służbowych, choć i ich było jakby mniej.

Zrezygnowało z udziału w targach jesiennych kilka znanych, od wielu lat związanych z tą największą krajową imprezą handlową producentów z branży przemysłu lekkiego (dotyczy to zwłaszcza zakładów kluczowych, bowiem rzemiosło i drobna wytwórczość dopisują z roku na rok liczniej), mniej było również przedstawicieli handlu, którzy widać doszli do wniosku, że przyjazd do Poznania i tak nie uwolni ich od konieczności licznych wyjazdów „w Polskę" w poszukiwaniu towarów. W sposób zupełnie wyjątkowy dopisali natomiast dziennikarze — było ich dwukrotnie więcej niż zwykle, co niekoniecznie świadczy o rosnącej roli targów.

POOGLĄDAĆ BYŁO CO — a także kogo! Przyjazd na targi dla wielu osób reprezentujących handel, przemysł, projektantów i innych, którzy z racji obowiązków być tu powinni to z pewnością dość ciężka praca — ale z drugiej strony również oderwanie się od codziennych obowiązków i swego rodzaju rozrywka, wymagająca (zwłaszcza zdaniem damskiej połowy przybyłych) odpowiedniej oprawy. Panie prezentowały się więc atrakcyjnie — choć nieco ponuro. Zarówno projektantki jak i przedstawicielki handlu a także pism poświęconych modzie przyodziane były przeważnie w stroje czarne często z tkanin, które jeszcze kilka lat temu uznawane były za wybitnie wieczorowe do tego od rana do wieczora biegały w bucikach na bardzo wysokich obcasach, ewentualnie, mimo ciepłej pogody, w wysokich skórzanych botach.

Niezbyt to zapewne wygodne — ale moda zobowiązuje. Należałoby oczekiwać, że takie same lub zbliżone stroje pojawią się w gablotach zakładów dziewiarskich i konfekcyjnych i staną się przedmiotem kontraktacji — a wkrótce potem w sklepach i na ulicach. Niestety...

EKSPOZYCJA FIRM ODZIEŻOWYCH — zarówno kluczowych, jak i spółdzielczych (przy czym trzeba dodać, że od kilku lat obserwuje się zjawisko wyrównywania poziomu wzornictwa między państwowymi gigantami a mniejszymi zakładami spółdzielczymi) była — jako całość — dość nijaka i bez wyrazu. Trudno byłoby na tej podstawie orientować się, jakie linie i kolory będą dominować w modzie za parę miesięcy. Być może jest to wynikiem nękających wszystkie zakłady trudności materiałowo-surowcowych, a może również nadmiarem bardzo różnorodnych propozycji, napływających z zachodnich centrów dyspozycyjnych światowej mody.

Nic więc dziwnego, że przed kilkoma ekspozycjami, na których zaprezentowano odzież nieco ciekawszą gromadziły się spore grupy ludzi. Dotyczy to zwłaszcza zakładów Polo z Kalisza (uhonorowanych zresztą Złotą Różą za najciekawsze wzornictwo), które przygotowały niezwykle udaną kolekcję bluzek w stylu romantyczno-hiszpańsko-westernowym, na dodatek po umiarkowanych cenach, około 3 tys. zł, a także zakładów Polanex i Romeo — producentów koszul męskich, które zaprezentowały koszule z bardzo interesujących tkanin bawełnianych, przypominających jedwab, zakładów Bytom pokazujących garnitury, które nareszcie nie są bure, nijakie i ponadczasowe, zakładów Bobo, wytwarzających odzież dla najmłodszych, zwaną sportową, ale praktycznie chętnie widzianą zarówno przez dzieci jak i rodziców na wszelkie nie tylko sportowe okazje i kilku jeszcze producentów.

Jak na 69 wystawców z przemysłu kluczowego i blisko 100 wystawców tej branży z pozostałych sektorów jest to doprawdy niewiele. Trzeba przy tym zauważyć, że bez względu na to, jak mocno w wypowiedziach oficjalnych podkreśla się roboczy charakter Targów Poznańskich są one zawsze — a w tym roku bardziej jeszcze niż w latach poprzednich — w pewnej części tylko wystawą atrakcji i prezentacją tego, co przemysł robić mógłby, ale czego bynajmniej robić nie będzie, a przynajmniej nie w ilościach zauważalnych na rynku.

Praktycznie więc można na podstawie tegorocznej ekspozycji przemysłu odzieżowego wysnuć wniosek, że zaopatrzenie sklepów konfekcyjnych wiosną i latem roku przyszłego nie będzie ciekawsze, niż w roku bieżącym, a co gorsza — może być uboższe ilościowo. Co prawda wielkość oferty jest tylko niewiele niższa, niż kontraktacja na I półrocze roku bieżącego, ale... to, co powinno znaleźć się w sklepach najpóźniej do końca czerwca bieżącego roku nie zostanie w pełni zrealizowane nawet do końca III kwartału. Tak też — jeśli nie gorzej — wyglądać będzie realizacja umów w roku przyszłym.

DZIEWIARSTWO JEST UBRANIOWĄ PRZYSZŁOŚCIĄ — tak wynika przynajmniej z obecnych trendów na całym świecie. Z dzianin szyje się już dosłownie wszystko — od bardzo ciepłych okryć wierzchnich aż po najdelikatniejszą, cieniutką bieliznę. Maszynowe dzianiny przypominają niekiedy artystyczne rękodzieła, w innych przypadkach doskonale imitują tkaniny wełniane czy jedwabne, posiadając wyższe od nich walory użytkowe. U nas, niestety, taką inwazję dzianin dostrzec trudno, również tegoroczne targi nie zapowiadają szczególnej ofensywy przemysłu dziewiarskiego, ani też, prezentowanego w tym samym pawilonie, pończoszniczego.

Co prawda, jeśli oceniać wyłącznie walory estetyczne i wzornictwo wyrobów dziewiarskich było ono znacznie wyższe niż odzieżowych. Niemal wszystkie zakłady pokazały bardzo atrakcyjne wzory swetrów, garsonek, wdzianek, bielizny dziennej i nocnej itp. wyrobów, opatrując je ponadto przystępnymi cenami. Na szczególną uwagę zasługiwały modele wystawione przez (podobnie jak w odzieży) zakłady Polo, bardzo udaną kolekcję znanych już — zwłaszcza na rynku łódzkim — cienkich dzianin wełnianych przygotowały zakłady „Iwona" (oczywiście fasony są inne od dotychczas sprzedawanych, zmienia się także na bardziej pastelową gama kolorów), podziw budziły „komputerowe" swetry z „Jarlanu", wszyscy chętnie kupiliby reprezentujące dobry standard wyroby z „Olimpii". Cóż z tego jednak, jeśli w tej branży zaopatrzenie rynku jest jeszcze większą niewiadomą niż w przypadku odzieży i bielizny z tkanin.

Branża dziewiarska boryka się z bardzo poważnymi trudnościami zaopatrzeniowymi, w większości zakładów stare już wyposażenie coraz bardziej oddala się od średniej światowej.

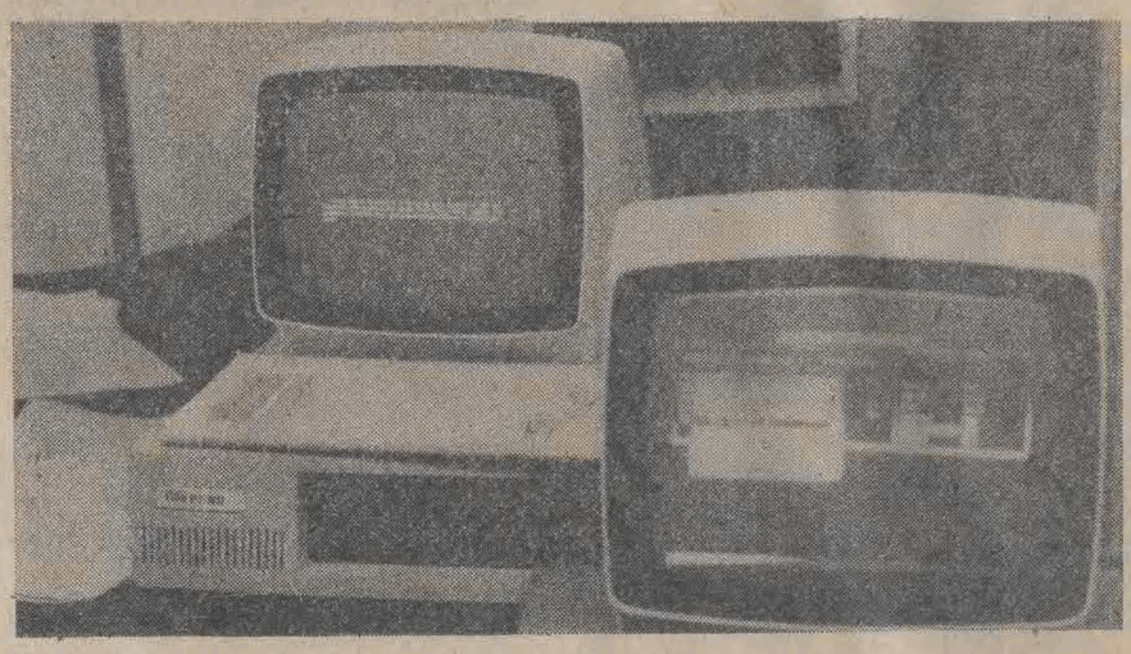

Foto: Grzegorz Gałasiński

Jest to ponadto branża dosyć importochłonna — zwłaszcza jeśli ma produkować towary ładne i dobre, a przynajmniej średnie.

Nic więc dziwnego, że zakłady dziewiarskie starają się rozwinąć eksport — jedyne źródło niezbędnych dewiz. Pod kątem dostosowania się do potrzeb i gustów ewentualnych nabywców zachodnich w większości zakładów przygotowane zostały kolekcje na targi krajowe. I teraz w dużej mierze od central handlu zagranicznego zależy, co znajdzie się w naszych sklepach z dziewiarstwem: jeśli uda się zawrzeć korzystne umowy z zagranicą — do polskich sklepów trafią wydłużenia serii eksportowych w ilościach na pewno za małych w stosunku do potrzeb, ale jednak takich, które będzie można kupić od czasu do czasu nie tylko spod lady. Jeśli natomiast eksport nie rozwinie się w sposób pożądany i planowany — na naszych półkach będzie co prawda towaru nieco więcej, ale będzie to głównie dziewiarstwo starego typu — anilanowe, grube, bure, nijakie. A więc tak źle — i tak nie najlepiej. W każdym przypadku dobrego rynku wyrobów dziewiarskich w przyszłym roku (i w kilku, jeśli nie kilkunastu latach następnych) spodziewać się nie możemy.

Podobnie nieciekawie zapowiada się sytuacja w branży pończoszniczej. Co prawda ilościowo cienkich pończoch i rajstop powinno być prawie pod dostatkiem — ale asortymentowo przemysł z pewnością nie zadowoli rynku. Z męskimi i chłopięcymi skarpetkami, a także z damskimi rajstopami grubymi obok asortymentowych spodziewać się należy także ilościowych kłopotów.

Od paru lat przemysł pończoszniczy występuje na targach z bardzo atrakcyjną ofertą, pokazując śliczne, kolorowe skarpetki z dzianin wełnianych i bawełnianych z dodatkiem syntetyków, rajtuzy w interesujących kolorach i wzorach, ale różnica między wystawą a sklepową rzeczywistością jest taka sama, że równie dobrze można by mówić o zaopatrzeniu polskich sklepów na podstawie oglądania amerykańskich magazynów ilustrowanych. Tak też będzie i w roku przyszłym, z tym, że większe niż w roku bieżącym mogą okazać się kłopoty ilościowe.

ZAGRANICZNA OFERTA NA KRAJOWYCH TARGACH — to nowość z którą zetknęliśmy się w tym roku po raz pierwszy, ale ma wejść na stałe do targowej praktyki. Towarzystwo Handlu Zagranicznego Torimex przygotowało ekspozycję, na której zakupów dokonywać mogły (lub oferować na wymianę polskie towary) wszystkie organizacje handlu wewnętrznego, a która obejmowała towary importowane z Nikaragui i Wietnamu. Pokazano m.in. piękną wietnamską biżuterię, meble bambusowe, wyplatane ze słomy (chyba ryżowej?) drobiazgi do wyposażenia kuchni, wyroby ze skóry. Z Nikaragui przyjadą do nas haftowane obrusy, wyroby ceramiczne i pamiątkarskie, hamaki, wyroby ze skór krokodylich i wężowych.

Wszystkie pokazane przedmioty były ładne, atrakcyjne, a jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że skromne środki, jakie możemy przeznaczyć na import towarów konsumpcyjnych mogą być zużyte lepiej niż na zakup portfeli z krokodylej skóry czy słomianych koszyczków.

KUCHNIA DLA CIEBIE — taki tytuł nosiła wystawa przygotowana przez Zrzeszenie Predom. Pokazano tu kompletne wyposażenia typowych dla współczesnego budownictwa kuchni w trzech wariantach — dla mieszkań M-1, M-3 i M-5. Można tu było obejrzeć nowe, bardzo udane zmechanizowane sprzęty gospodarstwa domowego jak malaksery, roboty kuchenne, odkurzacze, kuchenki gazowe, piękne, kolorowe garnki, sztućce i inne urządzenia i drobiazgi, o których marzy każda kobieta, nawet jeśli nie lubi gotować.

W wypowiedziach pań oglądających ekspozycję można było usłyszeć nie tylko zachwyt, ale i... chęć podłożenia bomby pod pawilon. Prezentacja udanych nowości w sytuacji, gdy nie tylko malaksera, ale nawet zwykłego odkurzacza starego typu kupić nie można musi wywoływać irytację. Co prawda zaopatrzenie rynku powinno, zgodnie z zapowiedziami, nieco się poprawić (tylko nieco) ale nie wiadomo, czy zapowiedzi te się sprawdzą, skoro poniektórzy producenci pralek, chłodziarek itp. nieśmiało występują z propozycjami, aby część wsadu dewizowego niezbędnego przy produkcji tych urządzeń, pokrywali konsumenci. W praktyce oznaczałoby to, że kupując np. lodówkę musielibyśmy zapłacić kilkanaście tysięcy zł i kilka dolarów. Jeśli w dolarach dostawać będziemy część pensji, to właściwie nie ma przeszkód, aby na takie propozycje wyrazić zgodę.

W TARGI DROBNEJ WYTWÓRCZOŚCI przekształcają się Poznańskie Targi Krajowe. Coraz więcej powierzchni zajmują w Poznaniu rzemieślnicy — oferując z roku na rok bardziej potrzebne towary, lepszej jakości i, wbrew ciągle jeszcze pokutującej opinii, po cenach rosnących nie szybciej — a w wielu przypadkach wolniej — niż w sektorze państwowym. Ubywa artykułów tzw. pamiątkarsko-dekoracyjnych na rzecz poszukiwanych elementów wyposażenia mieszkań, konfekcji, zwłaszcza dziecięcej, artykułów motoryzacyjnych i szkolnych. Niestety, ciągle bardzo niewłaściwa jest ekspozycja rzemiosła — w małych kramikach prezentowane jest wszystko naraz, od plastykowych grzebieni po części zamienne, co i handlowcom, i zwiedzającym bardzo utrudnia rozeznanie w faktycznych możliwościach tego sektora gospodarki.

Mimo tych trudności — pawilony rzemieślnicze to jedno z nielicznych miejsc na targach, gdzie odbywa się faktyczne handlowanie z wszystkimi jego atrybutami, takimi jak negocjowanie cen, terminów dostaw — które są później przestrzegane, uważnym słuchaniem sugestii handlu odnośnie zmian poszczególnych wzorów czy asortymentów.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Drugim takim miejscem są pawilony, w których pod szyldem Inter-Polcomu mieszczą się Zagraniczne Przedsiębiorstwa Drobnej Wytwórczości, popularnie zwane przedsiębiorstwami polonijnymi. Tu zwykle, w boksach producentów, zobaczyć można najładniej ubrane dziewczyny — a na ekspozycji wiele atrakcyjnych towarów różnych branż, od kosmetyków po skomplikowaną aparaturę elektroniczną. Podobnie, ale dużo skromniej było i tym razem. Do Poznania przyjechało mniej „polonusów" a ich oferta była, w porównaniu z rokiem ubiegłym, o 6 mld zł mniejsza. Jeśli uwzględnić dość spory przyrost cen — oferta ilościowa była dużo niższa niż w latach poprzednich. W tym sektorze dotkliwie daje się odczuć brak stabilności polityki ekonomiczno-finansowej, co doprowadza do upadku wielu firm, w tym także jedynych producentów wielu potrzebnych towarów i znakomicie studzi chęć do inwestowania i otwierania nowych przedsiębiorstw.

TARGI SĄ POCZĄTKIEM A NIE KOŃCEM KONTRAKTACJI! To stwierdzenie, wygłoszone w czasie konferencji prasowej przez min. handlu wewnętrznego i usług Jerzego Jóźwiaka miało uspokoić jej uczestników, zaniepokojonych prognozami zaopatrzenia rynku w roku przyszłym, jakie można wysnuć na podstawie tego, co na Targach Jesień '87 można było zobaczyć i usłyszeć od producentów i handlowców. I jest to oczywiście prawda. Nie oznacza to jednak, że rysujące się tu, dość smutne perspektywy, zmienią się radykalnie na giełdach branżowych lub w czasie bilateralnych spotkań handlowców z wytwórcami.

Rok przyszły na rynku zapowiada się bardzo trudny i nawet w tych sektorach, gdzie osiągnięta została już cząstkowa równowaga — może ona ulec ponownemu zachwianiu, na co wskazują np. wyniki za ostatnie 7 miesięcy. W tym okresie znacznie wzrosły napięcia w zakresie równowagi towarowo-pieniężnej. Dostawy na rynek były niższe od założeń CPR, zwłaszcza w branżach odzieżowej, dziewiarskiej, elektromaszynowej, środków utrzymania czystości.

Źle przedstawia się nawet realizacja zamówień rządowych, które miały przecież gwarantować odpowiedni poziom zaopatrzenia rynku w najbardziej podstawowe towary. Na przykład w przemyśle chemicznym i lekkim na 14 grup zamówionych towarów realizacja 7 jest opóźniona. Podobnie dzieje się w innych branżach. Przyczyną opóźnień są przede wszystkim braki surowcowe oraz nierytmiczna realizacja środków dewizowych.

Nie została osiągnięta planowana dynamika wzrostu dostaw towarów rynkowych, a ponadto — co jeszcze bardziej grozi pogłębieniem nierównowagi rynkowej — dynamika wzrostu dochodów ludności okazała się o kilka punktów wyższa od założeń.

Na okres jesienno-zimowy handel dysponuje zapasami większymi niż w roku ubiegłym, jednak wiosną i jesienią wszystkie wymienione czynniki, grożące destabilizacją rynku mogą ujawnić się w ostrej formie. Nie osiągniemy jeszcze co prawda stanu, w którym sklepy świecić będą pustymi półkami, ale trudności z nabyciem niespożywczych towarów konsumpcyjnych odczuwać będziemy jednak dotkliwiej, niż w roku bieżącym.

ze str. 1

daje mi się, że niedługo nie będziecie dyskutowali o lokalizacji przystanku, tylko zastanawiali się co na tę trasę skierować i czy w ogóle skierować...

— Może dojść i do takiej sytuacji, bowiem przedsiębiorstwo znalazło się rzeczywiście na groźnym wirażu...

— Zawsze narzekaliście: brakowało zajezdni, pojazdów, motorniczych, opon, akumulatorów, śrubek, drutu, farb...

— Nie demonizujmy. Te wszystkie kłopoty w większym lub mniejszym stopniu występują cały czas, raz lepiej raz gorzej dajemy sobie z nimi radę. Ale doszliśmy obecnie do pewnego progu w usługowych możliwościach przedsiębiorstwa i boimy się, że bez radykalnych zmian w ciągu najbliższych lat poziom świadczonych przez nas usług zacznie spadać...

— Oczami wyobraźni widzę już zatłoczone do granic przystanki, przez które przewinie się raz na godzinę jakiś rozsypujący się wagon tramwajowy lub autobus.

— Może nie co godzinę, ale jeśli będziemy zmuszeni wydłużać trasy, a to się stanie wraz z rozwojem miasta — zmniejszy się częstotliwość kursowania, czyli zmniejszy komfort jazdy.

— No, dość tych teoretycznych rozważań. Zacznijmy może najpierw od autobusów, one docierają tam, gdzie jeszcze nie ma tramwajowych szlaków. Nieco danych — czym jeździmy, czego się można spodziewać, czyli — teraźniejszość i dzień jutrzejszy. A propos: czy autobusy przewożą już więcej pasażerów niż tramwaje?

— Oczywiście, „przegoniły" tramwaje ponad trzy lata temu. Z przyczyn, które już zasygnalizowaliśmy: nie nadążamy z rozbudową tramwajowych tras. Parę danych o autobusach, proszę bardzo. Eksploatujemy nieco ponad 640 wozów, w większości są to węgierskie Ikarusy, naszych Berlietów, w dwóch wersjach, mamy raptem około 80 sztuk.

— Nie są to zapewne wozy stare...

— Różne, są i roczne, są i takie, które jeżdżą nieprzerwanie od 1980 roku...

— Były lata, że 100 i 120 sztuk nowych autobusów co roku otrzymywaliście...

— Tak jest. I teraz tyleż samo — jeśli dotrwały — trzeba co roku remontować. Siedem lat to kres życia dla autobusu miejskiego. Wcześniej — po 4—5 latach — musi iść do remontu kapitalnego a tabor firmy powinny zasilić nowe wozy. I pierwsze pytanie: co robić, jeśli nowych dostajemy o połowę mniej, a starych nie ma kto remontować?

— A „Kapena" w Słupsku, a nowoczesny zakład remontu na Śląsku?...

— Myśli pan o Mikołowie? Kolos na glinianych nogach, z trudem wykorzystują połowę swoich mocy przerobowych. No, ale to ich kłopot, dość, że w sumie te dwie firmy po długich dyskusjach, naszych prośbach, monitach być może wyremontują nam 40—45 autobusów.

— Czyli...

— Czyli połowę tych, które naprawdę muszą iść do remontu...

— Reszta?

— Nie wiem, będziemy stawali na głowie, by przedłużyć ich „życie", wiem też że nie unikniemy przeprowadzania tych skomplikowanych przecież prac remontowych w naszym zakładzie przy ulicy Zgierskiej, obok zajezdni „Helenówek".

— Brawo, a może zaczęlibyście własnym sumptem budować nowe autobusy?! Prawdziwe „złote rączki", a zaczynaliście skromnie — od regeneracji części, bieżnikowania opon...

— Niech pan nie kpi. Bieżnikujemy nadal, choć dziś już to nieco przestarzała technologia, regenerujemy też coraz więcej części — życie nas do tego zmusiło. We wspomnianym zakładzie odnawiamy całe podzespoły, a teraz okazuje się, że nie będzie innego wyjścia i zmuszeni będziemy do kapitalnych remontów. Też nie wiem jak sobie z tym damy radę, wozy trzeba będzie rozpinać — myślę o przegubowcach — bo cały się nie zmieści, takie tam „duże" pomieszczenia.

— Może już dość o remontach? Helenówek to nie taka znów stara zajezdnia?...

— Uruchomiono ją w 1968 roku, starsza od niej, z autobusowych, jest ta przy Kraszewskiego. Czyli niby niezbyt wiekowa, ale pozbawiona jest pary technologicznej, energii cieplnej, nie ma też kanalizacji.

— Ładny wynik! Kto to projektował? Jakiś wybitny fachowiec...

— O, Helenówek nie jest specjalnym wyjątkiem. Chocianowice też pracują bez pary, ciepła i kanalizacji, a Brus — ma tylko energię elektryczną...

— No tak, ale obie powstały w pierwszych latach naszego wieku...

— ...i praktycznie nie były rozbudowywane. Efekt jest taki, że nowe wozy nawet w bramę się nie mieszczą, bo są o 20 centymetrów za szerokie. Nie mówię już o niezbędnej modernizacji stanowisk naprawczych, wyposażeniu. Brus zresztą kwalifikuje się już tylko na muzeum... Ale wróćmy na razie do autobusów.

— Właśnie, słyszałem, że autobusów też nie macie już gdzie stawiać?

— To fakt. Zajezdnie są strasznie przepełnione. Dość powiedzieć, że zajezdnia przy ulicy Limanowskiego przewidziana na maksymalnie 150 jednostek pomieścić musi — 200. Musimy ją przebudować. Podobnie Nowe Sady, która to zajezdnia najlepiej na dzień dzisiejszy przystosowana jest do taboru przegubowego. Jak najszybciej trzeba je modernizować, tym bardziej, że zapowiedziane są dostawy długich, bo ponad 18-metrowych, przegubowych „Ikarusów".

— A ile nowych wozów przybędzie MPK w tym roku?

— Przybędzie? Nic nie przybędzie, a musimy wręcz na głowie stanąć by jak najmniej ubyło. Prawda jest taka, że potrzebujemy minimum 85 nowych autobusów, by tyleż samo skasować tych wyeksploatowanych. Przyznano nam czterdzieści...

— Rozumiem, teraz dzięki samozaparciu, poświęceniu i „stając na głowie" wyremontujecie część we własnym zakresie, przedłużycie „życie" wielu staruszkom, byle tylko utrzymać w miarę możliwości stan posiadania?

— Wszystko na to wskazuje...

— Ależ one będą i tak najczęściej zjeżdżać ze względu na awarie, pomijam już względy bezpieczeństwa...

— One oczywiście muszą być w pełni sprawne, by pojawić się w mieście, ale — fakt: musimy się liczyć z częstymi zjazdami, częstszymi niż obecnie...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czym wjedziemy w XXI wiek?

— Jeśli tak mało przybywa rocznie nowych wozów, a biorąc pod uwagę konieczne kasacje — wcale nie przybywa, to po cóż ta walka o pilne dokończenie budowy zajezdni przy ulicy Granicznej?

— Ona musi być gotowa najdalej za dwa lata, jeśli chcemy myśleć o minimalnej choć poprawie (niezależnie od taboru) warunków komunikacji w południowej części miasta. Musimy odciążyć też inne, przeładowane do granic wytrzymałości zajezdnie. Wreszcie, powiedzmy to sobie wyraźnie: MPK musi w 1995 roku posiadać minimum 900 autobusów i 865 wozów tramwajowych, jeśli w ogóle chcemy zapewnić funkcjonowanie komunikacji miejskiej. Choćby w takiej jak dziś formie...

— Formie nie rewelacyjnej, delikatnie mówiąc...

— Zgadzam się, to prawda. Ale dojdą nam osiedla przypominające wielkością niektóre miasta: Janów, Henryków, Olechów, może Wiączyń, a na pewno Józefów, jeszcze Stoki — Sikawa — tam wszędzie trzeba będzie dojechać, tam wszędzie trzeba będzie dowieźć ludzi.

— Pierwsi mieszkańcy Józefowa będą chcieli dojechać do centrum ponoć już na początku lat dziewięćdziesiątych?...

— Wiemy. Oblicza się też, że za te osiem lat, w 1995 roku, za wiaduktem przy ulicy Rokicińskiej będzie mieszkało minimum 150—180 tysięcy łodzian... Ja nie wspomnę już o rozwoju Zgierza, Pabianic...

— Czyli znaleźliście się w paradoksalnej sytuacji, to znaczy — MPK, ale i pasażerowie. Zachowanie stylu działania znanego nam z dnia dzisiejszego, za lat, powiedzmy siedem, osiem — będzie sukcesem?

— Tak, utrzymanie podobnego standardu obsługi, obecnego poziomu — to wszystko co możemy zapewnić, o co będziemy walczyć. A wspomniał pan o zajezdni: po 1995 roku będzie już potrzebna następna, właśnie w tak zwanym paśmie wschodnim miasta.

— Zgoda, teraz słów parę o tramwajach. Ile też mknie po szynach czerwonych wozów w naszym mieście?

— Jeszcze w latach siedemdziesiątych obsługiwało pasażerów 390 pociągów. Dziś — a tras przybyło i ich łączna długość wynosi ponad 167 kilometrów — jesteśmy w stanie wysłać „w miasto" zaledwie 312 pociągów.

— Dlaczego? Stare się rozsypały? Poszły na złom i...?

— Zadecydowała zmiana struktury taboru; gdy dwadzieścia lat temu (a to wiek dla naszych wagonów bardzo przyzwoity...) dominowały wozy typu 5-N, krótkie, z doczepkami, nie za bardzo pojemne choć... zajmujące mniej miejsca w zajezdniach, dziś zastąpione zostały niemal całkowicie przez „przeguby" (typ 803) a przede wszystkim nowoczesne, funkcjonalne 805. Szybkie, pojemne, wyposażone często w efektowne przyciemniane szyby. Komfort jazdy wzrósł, ale — jakby nie patrzeć — mniej pociągów da się z nich sformować.

— Skoro takie pojemne, to puszczajmy je na trasy pojedynczo...

— Nie można, brak motorniczych.

— Pamiętam, były ogłoszenia w gazetach, były zachęcające reklamy na szybach tramwajów...

— Nie na wiele się w sumie zdały; gdy przed pięciu laty mieliśmy 900 motorniczych, dziś dysponujemy grupą o wiele mniejszą — jest ich o ponad 100 mniej. Nie chcą po prostu pracować w tak ciężkich warunkach, za niezbyt duże pieniądze. Te stresy mają w pewnym sensie swoje uzasadnienie: to zawód zamknięty, motorniczy nigdzie indziej nie znajdzie zatrudnienia.

— Tramwaj stał się mniej atrakcyjny: dłużej się jedzie, za długo na przystankach czeka...

— Choć te 312 pociągów przewozi tyle samo pasażerów co wspomniane dawniej 390 — zmniejszyła się częstotliwość, bo miasto się rozrosło i przybyło nowych tras. Dołączyły niekorzystne zmiany w organizacji ruchu, a priorytet komunikacji zbiorowej wciąż istnieje wyłącznie na papierze. Wynik? Chęć przesiadki na autobusy...

— Tramwaje wytrzymują jednak dłużej niż siedem lat?

— Oczywiście, ale też je kiedyś trzeba wymieniać na nowe, a stare kasować. Do 1990 roku powinny zniknąć wozy typu 5-N, z których większość zaliczyła już u nas trzydziestoletni staż pracy. To znów będzie ciężki okres. Ale nie koniec na tym: w pierwszych latach po 1990 roku będziemy zmuszeni wycofywać „przegubowce", a za każdy z nich trzeba by podstawić dwa typy 805, by przewieźć tę samą ilość pasażerów.

— Istnieje groźba dalszego zmniejszenia ilości taboru?

— Właśnie i to o około 70 pociągów...

— Ileż na ten rok macie przydzielonych nowych?

— 34 jednostki — to przydział. Czynimy starania by otrzymać jeszcze chociaż 10 sztuk — oczywiście wyłącznie typ 805 wchodzi w rachubę.

— Ale gdyby stał się cud i spadło wam raptem niczym manna — powiedzmy 100 nowych wozów...

— Bylibyśmy w wielkim kłopocie, bo nie mamy miejsca na ich parkowanie.

— Racja! Mówiliśmy, nawet w niektórych zajezdniach w bramę się nie mieszczą...

— Przy istniejących zajezdni tramwajowych trzeszczy w szwach, musimy błyskawicznie budować kolejną. Wystąpiliśmy już do Urzędu Miasta o przydział lokalizacji.

— Gdzież ona by się mieściła?

— Na Smulsku, między Grupową Oczyszczalnią Ścieków a Retkinią.

— Wróćmy na chwilę do taboru. Z nowymi tramwajami — krucho, czy znów będziecie własnym sumptem?...

— Nie będzie innego wyjścia. Perspektywy bowiem nie są zbyt różowe. Chorzowski „Konstal" nie ma tak dziś ważnych gwarancji materiałowych, bowiem tramwaj nie znalazł się w grupie zamówień rządowych. A poza tym nasze wagony stanowią u nich raptem około 10 procent produkcji. Mają z nimi same kłopoty, wielu kooperantów. Ile wynosi — jak pan myśli — wsad dewizowy do jednego elektrycznego wozu?

— Myślę, że nie powinno być go wcale, ale skoro już, to chyba nie więcej jak parę dolarów?...

— Około 200 dolarów. To między innymi farby elektroizolacyjne, przewody, niektóre łożyska... A remonty generalne znów będziemy musieli robić we własnym zakresie. Ewenement — nikt tego w kraju nie robi, ale musimy remontować „przeguby", mamy ich jeszcze ponad 140 i trzeba przedłużyć im żywot.

— Jeszcze trochę i zaczniecie produkować nowe...

— Tramwaju pewnie by się nie udało, chociaż... Zbudowaliśmy — bo też nie było chętnych — specjalistyczny samochód wieżowy do napraw sieci trakcyjnej, robimy tramwajowe odśnieżarki, wiele specjalistycznych urządzeń — jak choćby do czyszczenia zwrotnic. Jak byśmy się uparli, mamy nawet własną odlewnię, no, nie — brakuje walcowni...

— Ponoć macie kilkadziesiąt hektarów terenów zielonych?

— Około 70 hektarów...

— To jakiś ośrodek wypoczynkowy?

— Nie, to suma tych skrawków zieleni między torami, na pętlach i krańcówkach. Musimy o nie dbać, mamy „na stanie" kosiarki rotacyjne, a jakże. W Łodzi jest to postawione na głowie: kto inny opróżnia kosze w parku, a kto inny pod wiatą autobusową na skraju tegoż parku.

— *Ach, ten precyzyjny podział odpowiedzialności*... Uwielbiamy sobie życie komplikować!

— No właśnie, przecież to absurd. W stolicy, a to będzie chyba dobry przykład „z góry", za koszenie trawy wszędzie w mieście odpowiada przedsiębiorstwo ogrodnicze, za kosze, czyli utrzymanie czystości — warszawskie MPO.

— To na zakończenie z innej beczki: ile do was dokładamy, my — miasto? Chyba to nie tajemnica?

— Nie, możemy podać. Dotacje miasta sięgają 6,8 miliarda złotych rocznie — tylko do eksploatacji. Dostajemy jeszcze około 200 milionów na inwestycje.

— A ileż „wyciskacie" z biletów i kar za przejazdy bez nich?

— Mówmy o biletach, bo ta druga pozycja to praktycznie się nie liczy. Same bilety — około 3,3 miliarda złotych.

— Bilety do tanich nie należą, ciekawe więc jaki procent kosztów eksploatacji pokrywają pasażerowie MPK.

— Niewiele ponad 30 procent.

— Tylko?

— Tylko. A dla przykładu mogę podać podobne dane z wielu miast świata. Aleksandria — 66 proc., Charleroi (Belgia) — 82 proc. Essen — 60 proc. San Diego — 90 proc., a Belgrad — nawet 95 proc. My mamy jeden z najniższych wskaźników procentowej odpłatności. Mniej o kilka procent mają tylko Amsterdam i Cleviand, tyleż samo Frankfurt i Antwerpia. A przoduje Budapeszt ze swymi 15 procentami.

— Widać wyraźnie zdrowy rozsądek Węgrów i efekty „gospodarczej zapaści" Jugosłowian, którzy koszty finansowania komunikacji przerzucić chcą na.. pasażerów. To jeden z nielicznych w naszej rozmowie jasnych punktów, bowiem widzę, że władza, czyli minister komunikacji nie zamierza stosować — mimo wszystko — podobnych praktyk...

— Tak zwane samofinansowanie się w przypadku komunikacji zbiorowej to przecież w naszych warunkach utopia.

— Czego panom życzyć? Gdy brakuje i ludzi, i taboru, a zajezdni mało i ciasne — nie wiadomo od czego zacząć...

— Obyśmy tylko w takiej samej a nie gorszej kondycji wjechali w lata dziewięćdziesiąte i dwudziesty pierwszy wiek...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

■

ze str. 1

utrzymuje rzędów w należytym stanie. Dodać należy, iż w przeszłości — w innej atmosferze — zdarzały się przypadki, gdy członkowie grup rekreacyjnych kupowali rzędy z własnych pieniędzy

— ostatnia decyzja zarządu, wprowadzona w życie w zaskakującym tempie, bez uprzedzenia, a odsuwająca doświadczonych, długoletnich członków Klubu od prowadzenia jazd rekreacyjnych bije w środowisko jeździeckie i powoduje rozgoryczenie i jeszcze gorszą atmosferę w Klubie. Zatrudnienie etatowego instruktora pociąga za sobą spore koszty (choć pisze się stale o biedzie i braku pieniędzy) i nie gwarantuje ciągłości zajęć, bo instruktor (jako zwykły człowiek) może zachorować, będzie korzystał z urlopu, lub zwyczajnie nie zawsze będzie do dyspozycji. Wtedy pozostaje klubowiczom monotonna jazda w kółko na ujeżdżalni w tumanach kurzu i pyłu, co jest sprzeczne z założeniami i zasadami rekreacji jeździeckiej

stawić J. Zienkę za „działalność na szkodę Klubu". Wniosek taki wysunęła dwójka opozycyjnych członków Komisji Rewizyjnej, których zadaniem powinna być (między innymi) dbałość o przestrzeganie przepisów statutowych i w ogólności prawidłowego funkcjonowania przepisów.

Mając wątpliwości, jak w takiej sytuacji postąpić, Janusz Zienko wraz z przewodniczącą Komisji Rewizyjnej poszli do Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UMŁ. Zostali przyjęci przez z-cę dyr. p. Nowakowskiego i prowadzącego sprawy statutowe p. Konopko.

W trakcie rozmowy ustalono, że statut będący w posiadaniu władzy rejestracyjnej mówi o 2-letniej kadencji zarządu. Wyjaśniono również, że uczestnictwo we władzach nie może chronić przed skreśleniem z listy członków za niepłacenie składek. Żeby być członkiem władz, trzeba być pełnoprawnym członkiem organizacji. Poradzono również, by zainteresować tymi faktami KD PZPR Łódź-Bałuty. Dwojgu przedstawicielom Komisji Rewizyjnej

świadomość, że takie decyzje może podejmować jedynie walne zgromadzenie członków Klubu i to przepisową większością głosów. I za wymienienie tej nieprawidłowości oberwało się niesfornym przedstawicielom Komisji Rewizyjnej. Usłyszeli, że obrazili dokooptowanych panów, podając w wątpliwość możliwość ich dokooptowania i że „jak można od TAKICH osób żądać deklaracji i składek członkowskich". Janusz Zienko twierdzi, że osobiście nie ma nic przeciwko tym panom choćby dlatego, że nie są mu znani z terenu Klubu.

W rozmowie ze mną prezes wyjaśnił, że panowie ci mogą wiele dobrego zrobić dla Klubu z racji zajmowanych stanowisk, a to: zapewnić właściwy transport koni na zawody, zapewnić fachową opiekę weterynaryjną, czy choćby ułatwić zdobycie po niższej cenie paszy dla koni, co w trudnej sytuacji finansowej Klubu jest niebagatelne.

I dobrze. Lecz czy nie można było załatwić sprawy inaczej? Poinformować gremium o korzyściach, jakich przysporzą Klubowi — jestem pewny, że wszy-

z tym, by wszystkimi końmi zawładnęła grupa młodych zawodników, bo im, ludziom starszym, też coś się jeszcze od życia należy. Niech sobie sekcja sportowa istnieje, byle ich traktować równoprawnie, a nie jako niezbędną formalnie otoczkę dla grupki zawodników i pracowników Klubu. I na nic zdadzą się wykrętne tłumaczenia, że koni nie można męczyć kilkukilometrowymi spacerami po lesie, gdy na świecie (w Polsce również) rozwija się uprawianie tzw. rajdów długodystansowych, wielokilometrowych, niekiedy kilkudniowych i konie świetnie się w nich czują. Bo koń musi wybiegać dzienną porcję kilometrów i to wcale nie w nużącym, kieratowym chodzeniu po ujeżdżalni wśród kłębów kurzu i pyłu.

Niedobra atmosfera w Klubie sprawiła, że wielu członków, choć z żalem, przestało traktować jego teren jako miejsce spotkań towarzyskich, czy nawet jako drugi dom — tak, jak to było kiedyś. Zburzono przyjacielską, prawie rodzinną atmosferę. Miejsca niegdyś lubiane, do których nieprzeparcie ciągnęło nawet w dni wolne od jazdy konnej, stały się teraz obce, nieprzyjemne, w których powietrze do oddychania zamieniło się w lepką chmurę wyrzutów, pretensji i nieukrywanej wrogości. Oczyszczenie atmosfery jest konieczne, inaczej wszystko się zawali i rozwali, bo już niektórzy członkowie zaczęli szukać sobie miejsca gdzie indziej.

Żeby mieć pełniejszy ogląd sprawy, odwiedzam prezesa ŁKJ, Zdzisława Jabłońskiego, w jego prokuratorskim gabinecie w Prokuraturze Rejonowej Łódź-Polesie. Jest mocno zdenerwowany i rozgoryczony. Wtedy to właśnie mówi o przewadze ilościowej rozrabiaczy nad działaczami. Przyczynę złego upatruje między innymi w statucie: „ŁKJ jest jedynym w Polsce, w którym ludzie z rekreacji są członkami Klubu. ŁKJ jest klubem sportowym i nacisk kładziemy na sprawy sportu, a nie rekreacji. Rekreacja przynosi dochody niezbędne dla istnienia sekcji, ale nie jest najważniejsza".

Mówi: „Inne kluby istnieją przy stadninach i dzięki temu zawodnicy mają np. po cztery konie. A u nas zawodnik ma jednego. Trener, będący jednocześnie najlepszym zawodnikiem, dysponuje czterema końmi, z czego dwa szkoli dla młodzieży".

Powiada: „Tyle trąbią o poświęcaniu się dla Klubu, a gdy miały być zawody, międzynarodowe, i apelowałem do nich, by pomogli w organizacji prawidłowego ich przebiegu, to niech pan zgadnie, ilu przyszło? No? Nikt! proszę pana".

„A to, że odwołaliśmy społecznych prowadzących? To dlatego, że do tej pory działaliśmy niezgodnie z przepisami. Ostatnie dwa śmiertelne wypadki w innych klubach zmusiły nas do tej decyzji. Żaden z nich nie ma wymaganych przepisami uprawnień. Nie on odpowiadałby więc za ewentualny wypadek, a etatowy pracownik Klubu, który w danym dniu dyżuruje i zezwala zwyczajowo na wyprowadzenie koni".

Na koniec mówi: „Siedem lat życia poświęciłem temu Klubowi, choć sam na koniu nie jeżdżę. Robiłem wszystko, żeby było w nim jak najlepiej. Przejąłem od poprzednika ruinę, a nie Klub. Teraz, gdy nie ulegnę i oddam prezesurę, jestem pewny, że za pół roku Klub wróci do dawnego stanu — do ruiny".

Umawiamy się za trzy dni w Łagiewnikach, w siedzibie Klubu. Niestety, prezesa zmogła choroba serca, na dłuższy czas wyłączony jest z działania. Oglądam więc czysty dziedziniec, porządnie utrzymane stajnie, malownicze budynki, wreszcie trening grupy młodych zawodników pod okiem krzykliwej trenerki.

Tak niewiele trzeba, wydaje mi się, bo tylko odrobiny dobrej woli (a może to za wiele?) i stonowania emocji, by grupa starszych miłośników koni w wieku pozasportowym, mogła spokojnie korzystać z relaksu w siodle, w niczym nie zakłócając szkolenia i rozwoju młodych jeźdźców, na chwałę obrosłego w tradycje i legendy koniarstwa polskiego.

MAREK KOPROWSKI

Konflikt w klubie jeździeckim

w terenie. Jazdy na ujeżdżalni dobre są dla początkujących.

Takie i podobne decyzje doprowadziły do zatracenia dotychczasowego charakteru Klubu i powstaje obawa, że czynne jeździectwo sprowadzi się do kilkunastu zawodników, a działalność rekreacyjna przemieni się w prowadzenie godzinnych spacerów dla klientów.

Sygnatariusze pisma zapewniają, iż nie negują pozytywnych osiągnięć i doceniają je. Rozumieją również, że zarząd napotyka na olbrzymie przeszkody, przede wszystkim finansowe. W tych warunkach już samo utrzymanie Klubu jest dużym osiągnięciem (!)

Janusz Zienko, członek Komisji Rewizyjnej ŁKJ, sypie szczegółowymi przykładami, ilustrującymi powyższe zarzuty, jak z pękniętego worka trocin. Poinformował zresztą o wszystkim dyrektora Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UMŁ, gdy inne próby dogadania się zostały odrzucone bądź zignorowane.

Oto np., przy sprawdzaniu składek członkowskich okazało się, że sporo osób ma wieloletnie zaległości, w tym niektórzy członkowie zarządu na czele z prezesem (7 lat zaległości). Inni członkowie Komisji Rewizyjnej, będący w opozycji do Janusza Zienki i jego „wścibstwa" również nie płacą składek od kilku lat, co tłumaczy ich niechęć do kolegi, ale w niczym nie usprawiedliwia. Sięgnięto do statutu. Mówi on o konieczności skreślenia z listy członków osób nie płacących składek powyżej 1 roku. Przy okazji zauważono, że w statucie jedynie długopisem poprawiono z 2 na 4 lata okres kadencji władz Klubu. Brak jest również ustalenia, że Sąd Koleżeński jest władzą Klubu, a przed tym właśnie Sądem zamierzano po-

nie zależało jednak wtedy na rozdmuchiwaniu sprawy, chcieli tylko wyjaśnić wątpliwości.

Gdy protokół z kontroli dotarł do prezesa, ten oburzył się i to wszystko. Nie podjął żadnych działań „uzdrawiających". Przesłano więc odpis protokołu do WKFSiT. Teraz był skutek. Piorunem zwołali zebranie zarządu, na którym drastycznie ograniczono jazdy rekreacyjne i pozbawiono prawa prowadzenia jazd dotychczasowych wieloletnich prowadzących (Janusz Zienko był jednym z nich), co ma wyraźnie charakter represji, tyle że

ofiarą padli wszyscy społecznicy.

Zarząd walnął na odlew, po oczach, bez wybierania: „winny — niewinny.

Janusza Zienkę i przewodniczącą Komisji wezwano na spotkanie z zarządem. Tam zjawił się inny członek Komisji, Marek N., który od 1983 r. (a zdarzenia dzieją się w 1987 r.) ani razu nie wziął udziału w jej pracach. Nagle się odnalazł, gdy nikt dotąd nie wiedział, co się z nim dzieje. Obrugano dwoje dociekliwych, powiedziano im, że działają na szkodę Klubu, dla którego prezes jest mężem opatrznościowym, ponieważ buduje krytą ujeżdżalnię. Kol. Marek N. przeprosił prezesa za działalność „frakcji" i obiecał, że teraz on się włączy i będzie już zupełnie inaczej. Wyraził również nadzieję, że prezes się nie obrazi i będzie kontynuował pracę nad budową krytej ujeżdżalni.

Inna sprawa: propozycje prezesa, by uzupełnić zarząd czterema osobami, tenże zarząd przyjmuje (jak zwykle) jednogłośnie, choć musiano mieć

scy przyklasnęliby takim kandydaturom. A tak, nie wiedząc kto zacz i dlaczego ma znaleźć się w zarządzie nie będąc członkiem Klubu — poczuli się zlekceważeni i dotknięci. W końcu wielu z nich należy do Klubu od początku istnienia, a na konia wsiadali po raz pierwszy jeszcze przed wojną.

W związku z przytoczonymi faktami same cisną się następujące pytania: czy władze ŁKJ są jeszcze władzami? Bo raz: niepłacenie składek, a dwa: w świetle aktualnie obowiązującego statutu kadencja zakończyła się w czerwcu 1985 r. Czy opłacenie składek po kilkuletnim zaleganiu przywraca wszelkie prawa członkowskie?

A gdy zwyczajowo Komisja Rewizyjna wnioskować będzie o udzielenie ustępującemu zarządowi absolutorium, może powstać i takie pytanie: KTO będzie wnioskował i w stosunku do KOGO?

Mimo pikanterii niektórych szczegółów

nie one są najważniejsze dla większości członków Klubu, tych z sekcji jazd rekreacyjnych. Im chodzi przede wszystkim o to, by móc dosiąść konia i legalnie, zgodnie z prawem i przepisami pojeździć po okolicy, tak, jak to było dotychczas. Oderwać się od szarpiącej nerwy rzeczywistości, od problemów pracy i domu, odpocząć — bo ten sposób spędzania wolnego czasu ukochali, oddali mu się dobrowolnie płacą i chcą z tego korzystać. Nie chcą natomiast, by urażone ambicje, honorowe obrażanie się, zawiści, złośliwości, czy jakieś niezrozumiałe niechęci miały im w tym przeszkodzić. Nie godzą się również

Foto: Grzegorz Galasiński

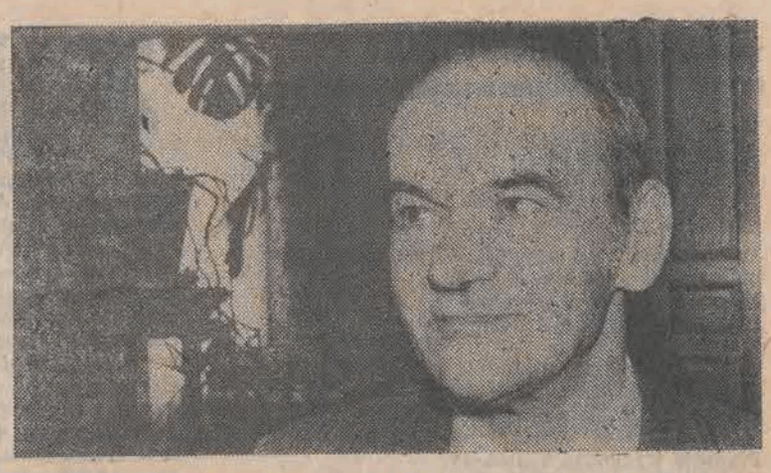

Mówi: Jacek Zaorski

— Co to znaczy być dyrektorem oficyny wydawniczej?

— Myślę, że jest to jeden z najtwardszych kawałków chleba. A dlatego, że książka jest rzeczą niezwykle potrzebną dla edukacji młodego pokolenia i w kształceniu naszej świadomości. Na książkę oczekują olbrzymie kręgi społeczne: z jednej strony te oczekiwania wydawca nie zawsze może spełnić, gdyż żyjemy w trudnych czasach, kiedy brakuje nam papieru i tzw. mocy przerobowych, czyli po prostu możliwości produkowania, zaś z drugiej strony nie spełniamy, jako wydawca, oczekiwań środowisk twórczych. Te środowiska mają prawo domagać się, by stworzone przez nich dzieło szybko znalazło się na półkach księgarskich. Tak więc tych wszystkich oczekiwań nie możemy spełnić ani w odpowiednim czasie, ani w odpowiednich ilościach.

— Ile lat jesteś dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego?

— Ponad dwanaście.

— Czy czujesz satysfakcję z tego tytułu?

— Tak. Sądzę, że podobnie jak byłem zadowolony z mojej poprzedniej pracy, tej na Uniwersytecie Łódzkim, tak i tu mogę realizować swój program pracy zawodowej.

— Co to za program?

— Uważam, że wydawca jest kronikarzem współczesności, to znaczy daje do rąk czytelnika zapis napisany przez twórców, ale upowszechniony przez niego. A więc wpisuje się na trwałe w dzieje polskiej kultury.

— Czy masz tego rodzaju sukcesy?

— Jeśli mogę stwierdzić, że oficyna, którą mam zaszczyt kierować ponad 12 lat, wydawała milion egzemplarzy książek, a dziś wydaje 4 miliony, jeśli mogę stwierdzić, że co sześćdziesiąta książka znajdująca się w polskich księgarniach nosi znaczek WŁ — to mówiąc żartobliwie, mogę powiedzieć, że kształtuję świadomość Polaków w jednej sześćdziesiątej.

— A co uważasz za sukces Wydawnictwa?

— Przede wszystkim to, że wpisaliśmy się w ogólnopolski ruch wydawniczy całym szeregiem cykli i serii. Są to: „Biblioteka poetycka" założona przez Stanisława Czernika, a więc mająca już 30 lat; jej boczne linie to „Biblioteka Świętokrzyska" i „Biblioteka Debiutów Poetyckich", seria „Wiersze polskie", „Człowiek i jego cywilizacja", „Biografie niezwykłe" czy wreszcie „Biblioteka jugosłowiańska" i oczywiście, unikalna seria w skali światowej, seria „Poezja narodów Związku Radzieckiego"...

— Co uważasz za porażkę?

— Nie udało mi się stworzyć koncepcji biblioteki wznowień, czego oczekiwali od nas literaci i naukowcy. To znaczy przypomnienia ich najwybitniejszych osiągnięć. Również za porażkę uważam przedłużający się cykl wydawniczy książek. Przed laty obiecywałem łódzkiemu środowisku literackiemu, że każdą nową książkę jestem w stanie wydać w ciągu jednego roku. Dziś tamte słowa muszę uznać za kłamstwo.

— Polska książka przeżywa trudności, w księgarniach leżą nawet dzieła uznanych autorów...

— Będę z tobą na ten temat polemizował. Otóż przyzwyczailiśmy się do tego, że książka ma być sprzedawana jak masło czy rzodkiewka, a więc w ciągu 2—3 dni. Jeśli leży kilka czy kilkanaście tygodni, to zdaniem dziennikarzy, jest bublem. W moim przekonaniu książka winna istnieć w takim nakładzie, by istniała na rynku czytelniczym przynajmniej rok. A książka naukowa? Jej obecność w księgarni winna wynosić 3 do 5 lat.

— O czym marzy dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego?

— Pierwszym marzeniem jest faktyczne zrealizowanie tzw. planów — marzeń. Co roku budujemy sobie taki plan. A więc poszczególne redakcje proponują do planu wydawniczego to, co chcieliby wydać. Okazuje się, że stać nas, by razem ze wznowieniami wydawać około 120 tytułów rocznie. I to są także realne potrzeby łódzkich środowisk twórczych. Innym marzeniem jest, abym każdą nową książkę mógł wydawać w formie „jaskółki", tzn. niewielkim, 5—10-tysięcznym nakładzie. I móc ją natychmiast wznowić w nakładzie oczekiwanym przez czytelników, a więc wznowić w ciągu miesiąca, dwóch lub trzech.

— Wydawnictwo Łódzkie obchodzi jubileusz 30-lecia. Powiedz, ile książek w ciągu tych lat opuściło łódzką oficynę?

— Rozpoczęliśmy w 1957 r. od 7 tytułów o łącznym nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Dziś wydajemy 4 mln egzemplarzy i prawie 90 tytułów rocznie. Do dnia dzisiejszego wydaliśmy 1.680 tytułów. Tak więc nie jest to mało i może stanowić powód do zadowolenia.

— Po jaką książkę w najbliższym czasie trzeba będzie ustawiać się w kolejkę przed ladą księgarską?

— Myślę, że po wybór pism Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, pisarza, którego należy przypomnieć ze względu na jego poczytność i na to, że nie jest to zła literatura. Jest to literatura stanowiąca wyraźne świadectwo pewnej epoki. Wydaliśmy „Profesora Wilczura" i „Znachora", teraz chcemy wydać to w edycji popularno-krytycznej. A więc chcemy zrobić karierę na „Karierze Nikodema Dyzmy". Wydamy także w wydaniu krytycznym „Motory" Emila Zegadłowicza i kolejne tomy wyboru jego pism.

— A dla dzieci? Przecież to najważniejszy czytelnik.

— Zamknęliśmy cykl „Legendy polskie" i tworzymy nowy „Legendy o powstaniu miast polskich". Rozpoczynamy od Warszawy, a potem będą legendy o powstaniu Łodzi, Poznania, Piotrkowa, Gniezna, Krakowa, czyli o tym, jak powstawały miasta, które wpisały się w dzieje naszej historii.

— Czy będą bestsellery z przekładów?

— Oczywiście, chociażby poszukiwana w Polsce „Ilustrowana historia świata", której ukaże się tom drugi. Negocjujemy z wydawcą angielskim wydanie tomu trzeciego, czyli całości. Przy okazji chcę powiedzieć, że w przyszłym roku pojawi się „Encyklopedia cywilizacji starożytnych". Po tę książkę, jestem pewny, będą kolejki przed ladami księgarskimi.

— Czym jeszcze chciałbyś się pochwalić?

— Myślę, że źle jest czytany w Polsce markiz de Sade. Szuka się w jego twórczość sensacji erotycznych, a nie zwraca się uwagi na problematykę XVIII-wiecznego libertynizmu. A przecież sceny erotyczne u de Sade'a są świadomie doprowadzone do absurdu. Ten szczyt absurdu osiągnął on w książce, która ukaże się po raz pierwszy w Polsce i to w naszej oficynie, a nosi ona tytuł „Filozofia w buduarze". Będzie to wydanie w formie miniaturowej i chcąc je przeczytać trzeba będzie zaopatrzyć się w szkło powiększające.

— Dziękując za rozmowę, powiedz: jakie ma pragnienie dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego?

— Chciałbym, by za kolejne 30 lat oficyna, którą dziś kieruję, była dwukrotnie większa i stała twórczością całego środowiska łódzkiej kultury i nauki.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Edward Pałczyński

Pytania

Pod moskitierą południków i równoleżników
ćmy wrogów i ich przyjaciół
którzy są naszymi wrogami
i wrogami przyjaciół naszych.

A gdzie ukrywają się ludzie
o gołębich sercach?
Chciałbym ich korowód zobaczyć!

Pigmeje wychodzą z puszczy.
Kogo będą nienawidzić Pigmeje
gdy nauczą się alfabetu bomb?

Grabarz

Kiedy ziemia uśmiechnęła się życiem
szóstego dnia
Bóg stworzył grabarza.

Grabarz wynalazł
ściek
smog
superbombę
i zapowiada
że Czas Zagłady
będzie o wiele krótszy
od Czasu Tworzenia.

Grabarz
podobno upora się za światem
w sześć minut!

Zapis śmierci

Nikt nie poniósł łez
w śmiertelne całuny
nikt nie okadził modlitwą
progów żałobą dotkniętych.
Umierali nadzy jak białe kolumny
krzycząc: Jahwe — ratuj!
O Jahwe — bądź przeklęty!

Nie ma po nich głazów nagrobnych
imion, dat, rytualnych znaków.
Kalendarzowy kurz zasypuje w pamięci
twarze cieni pędzonych pejczem do Itaki.
— Narosną plastry wieków.
Jakiś etnograf odkryje ludowy epos
zapisany człowieczym dymem.

Oświęcimskie zaduszki

Rozewrzyjmy tę monstrualną bramę na oścież
wzdłuż wszystkich równoleżników!
Niech ci co przez ludzi spłodzeni
wszelakiej karnacji i wiary
spod wszystkich znaków zodiaku
wejdą przez nią, oczy mając otwarte.

— Oto jest miejsce na ziemi
gdzie płacze kamień.
— Oto zwierciadło prawdy
w którym przejrzał się człowiek.
Ze zbrodni i jadu ulepiony — człowiek.
Z gwiezdnej rosy świetlistej zrodzony —
człowiek.

Weźcie znicze do rąk
modlitwą otulcie od wiatru
i ogień ofiarny rozniećcie.
Niech stanie jako słup gorejący
pod czarnym plafonem nieba
urbi et orbi wołając:

Jam jest świadek ludzkiego obnażenia!
Jam jest ostatnia przestroga!

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Warszawa 1944

ALFREDA JASKUŁOWSKA

Po ataku, który był przed kwadransem, ten spokój był niepokojący.

— Czyżby oddział opuścił dół politechniki? A nam nie dano znać? To niemożliwe! Mamy najlepszy punkt do odparcia i tyle ich nawaliłem — myślał z satysfakcją. Ta cisza, od której już dawno się odzwyczaił — dzwoniła mu w uszach. Ogarniała go całego i czuł, że za chwilę jeśli coś się nie zdarzy, opanuje go strach i zadławi serce.

— Al... — wykrztusił przez zaciśnięte gardło. — Al, wyjrzyj na dziedziniec. Zobacz, co się tam dzieje.

Siedemnastoletni chłopak, ubrany w niemiecką panterkę, poprawił za pasem granat, zarzucił ociężale KB i wyszedł z pokoju.

Chłopcy poprawili się na

swoich miejscach przy oknie. Marcin wytarł dłonią leżący przed nim RKM. Strzepnął ręką o spodnie i sięgnął do kieszeni. Kieszeń była pusta. Zajrzał do magazynka — miał siedem naboi.

— Tylko siedem... no i dwa granaty — dodał w myśli.

— Heniek! Ile masz jeszcze pestek? — zwrócił się do towarzysza.

— Jedenaście i trzy granaty — dobiegł go szept.

— Czarny, a ty?

— Tylko dwa granaty.

Marcin zaklął przez zaciśnięte zęby. Spojrzał w dół na ulicę. Ogarnął go chłód. Powietrze było przesycone spalenizną. Drzewa z połamanymi ramionami wyglądały żałośnie. Kikuty sterczały ku niebu wołając o pomstę, a liście pokryte grubą warstwą drobnego tynku, tuliły się do ziemi, jakby chciały się zapaść w jej wnętrzu. Wśród tej ciszy uchwycił odgłosy życia po drugiej stronie ulicy, za barykadą. Tam byli swoi. Gdzieś blisko zaterkotał karabin maszynowy i ciężkie kroki zadudniły na parterze.

— Czemu ten Al nie wraca — denerwował się. — Jeśli to Niemcy, zginęliśmy.

Na samą myśl dostał mdłości. Widział siebie leżącego w kałuży krwi, zdeptanego żołdackimi butami. Brr... wzdrygnął się. **Był jak wyżęta szmata, niezdolny w tej chwili do żadnego czynu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli zaraz, w tej chwili, nie zacznie czegoś robić, to załamie się całkowicie.**

— Czarny... związ wszystkie granaty, to jest jedyny nasz ratunek. Wyjął ładownicę. Dygocącą ręką sięgnął po nabój.

— To dla ciebie, Czarny. Gdybyś wpadł — powiedział jeszcze drżącym głosem.

— A teraz, chłopaki, musimy przedrzeć się do swoich. Innego wyjścia nie ma.

Czarny i Heniek stali bladzi. Ich młode twarze drgały nerwowo, a oczy pełne niedowierzania latały po wszystkich kątach. Marcin zastanawiał się nad sytuacją.

— Tylko spokój, spokój może nas uratować — mówił do siebie.

Skradając się cicho wyszli na korytarz. Dochodząc do galerii usłyszeli głosy Niemców. Dół był zajęty. Marcin wychylił głowę za róg i zobaczył o kilka kroków od siebie leżącego Ala.

— Chłopaki! Ala rąbnęli — wyszeptał białymi wargami. Położył się na brzuchu, podciągnął **do przodu i chwycił za nogę Ala.**

— Ciągnijcie — wyszeptał. Nie wiedział, czy usłyszeli, ale poczuł, że chwytają go za nogi. Po chwili zza węgła wysunęło się ciało Ala. Wciągnęli go w korytarz. Chłopak był przecięty przez piersi serią pocisków. Dygocące ręce puściły ciało towarzysza. Osunęło się miękko, nie wydając żadnego dźwięku. Tylko KB stuknęło o podłogę w zaciśniętych dłoniach. Zdziwiona twarz, zastygła wiecznym spokojem. Heniek wodził nieprzytomnymi oczyma. Czarny dostał histerycznych drgawek i zaczął się dusić.

— Cicho do cholery... — zasyczał Marcin.

Oczy Czarnego były dzikie, nieprzytomne. Marcin chwycił go za brzeg kurtki i z całej siły rozwartą dłonią trzepnął w twarz. Na bladym policzku Czarnego wystąpiły czerwone ślady palców i zlały się w jedną łunę. Chłopak jęknął i przytomniej spojrzał w oczy podchorążego. Marcin przycisnął go do ściany i wycedził.

— Jeśli piśniesz, uduszę. Chcesz nas wpakować tam gdzie jest Al. — Chłopak patrzył przytomnie.

— Co robimy — wykrztusił.

Widział, jak Marcin odpina granat Alego i daje mu do ręki. Lepki granat przylgnął do dłoni. Zdawało mu się, że rozrasta się w coś, co za chwilę ogarnie go i pochłonie, a lepka ciecz stygnącej krwi zadławi go w spaźmie strachu. Czuł, że za wszelką cenę musi go odrzucić od siebie, bo strach sięga piersi i po chwili straci świadomość. Marcin z Henkiem szukali naboi w kieszeniach Alego. Nie było ich wiele, ale zawsze coś. To coś stanowiło dziesięć sztuk. Marcin chciał wręczyć je Czarnemu i wtedy zobaczył, co się z nim dzieje. W ostatniej chwili złapał z otwartej dłoni granat.

— Ach, ty gówniarzu! Dla ciebie korkowiec w sam raz.

Henryk zasłonił piersią chłopaka.

— Panie podchorąży, Al był jego kumplem, więc on dlatego taki. **To mu przejdzie za chwilę.**

Marcin poczuł się stary wśród chłopaków.

— Muszę się stąd wydostać — postanowił. — Choćby dlatego, żeby tego gówniarza oddać matce.

Zrobiło mu się żal chłopca o czarnych oczach. Był przecież dobrym strzelcem, sam go niedawno podziwiał, a teraz takie hece wyprawia. Dał znak ręką, że ruszają. Stąpając ostrożnie między stertami książek i papieru, przytuleni do ściany, zeszli na pierwsze piętro. Na dole w bramie stała gromada Niemców i własowców. Marcin wziął w rękę wiązkę granatów i powiedział szeptem.

— Gdy wybuchnie, krzyczymy „hurra". Dużo razy, żeby myśleli, że nas jest więcej i biegniemy do okopu. Sidolkę Alego włożył do kieszeni, granaty postawił między nogami i przeżegnał się.

— A teraz każdy za swoje zawleczki — rozkaz.

Trzy głowy zderzyły się.

Szybko odskoczyły od siebie. Marcin zamachnął się ramieniem, odchylił do tyłu i rzucił za barierę z całej siły. Wrośnięci w ścianę słyszeli bicie własnych serc. Wstrzymując oddech prężyli mięśnie do skoku. Huk, który się odbił od ścian bramy i wyleciał na dziedziniec, ogłuszył ich także. Z krzykiem — hurra!!! — wypadli do bramy, gdzie tuman kurzu pochłonął ich całkowicie. Potykając się o ciała Niemców dobiegli do podkopu, który kilka dni temu wykopali pod jezdnią na drugą stronę ulicy.

— Jezu! — krzyknął Henryk — Nasi zawalili.

Rzucili się do bramy, ale brama, zagwożdżona na wieki — nie drgnęła. Wiedzieli, że każda chwila jest droga. Kurz był coraz rzadszy i w każdym momencie mogli zaatakować Niemcy. Henryk przypomniał sobie, że tu gdzieś przy bramie jest wyrwa w ścianie i pociągnął ich za sobą. Marcin *dopadł ją pierwszy. Przesadził* już nogę, kiedy spostrzegł stojącego „tygrysa". Stał bokiem do barykady, do której chcieli się dostać.

— Cholera! Do barykady jest dziesięć kroków — ocenił. — Barykada pusta, wycofali się. Nie ma co kombinować. Za barykadą jest życie, a tu śmierć — myślał błyskawicznie. — Tylko jak przeskoczyć te druty... Cofnął się. Zdecydował.

— Najpierw Czarny... Heniek, szybciej!

Rozbijając kolana przy wyrwie cegieł prześliznął się na ulicę. Kątem oka zobaczył ginącego za barykadą Czarnego, dobiegającego Henka i skręcającą wieżyczkę „tygrysa" w ich stronę. Marcin nie pamięta, jak przebył ten odcinek, jak przefrunął druty. Kiedy spadł na ziemię, uczuł jej drżenie. Było czarno i duszno. Ostatkiem sił czołgał się do przeciwległej bramy. Chłopcy już tam na niego czekali, przejście było zamknięte. Brama nie ustępowała, rzucili się na nią z pięściami. Kurz opadał. Marcin obejrzał się za siebie i zobaczył wynurzający się czołg z wycelowaną wieżyczką.

— Chłopcy, padnij! — krzyknął.

Lecące drzazgi i deski przysypały leżących. Leżeli cicho. Każdy z nich myślał tylko o sobie i o swoim szczęściu, że jest cały. Pierwszy stęknął Czarny.

— Trzeba wiać — powiedział głośno — „Tygrys" odjeżdża.

Seria strzałów świsnęła nad ich głowami.

— Nie strzelać! — krzyknął Marcin — Swoi!

— Skurczysyny, gdzie się wałęsacie! Jaki batalion?

— Szturmowy.

— Kompania?

— Odwet!!

Skrzypnęły drzwi przy klatce schodowej. Kilka postaci spojrzało w stronę ulicy.

Autorka brała udział w Powstaniu Warszawskim, jako żołnierz Kompanii „Odwet" (Batalion Szturmowy).

Z półki recenzenta

KIRCHOLM 1605

W stosunkach polsko-szwedzkich Kircholm, a właściwie bitwa stoczona tuż pod miastem pomiędzy wojskami Karola IX króla Szwecji a polsko-litewskim zaciągiem dowodzonym przez hetmana Jana Karola Chodkiewicza, nadal wywołuje zainteresowanie historyków. Henryk Wisner w swojej książce „Kircholm 1605" stara się przybliżyć współczesnemu czytelnikowi owe — przecież nie tak znów zamierzchłe — wydarzenia. Autor nie ogranicza się do relacji samych zmagań wojennych w ówczesnych Inflantach, lecz rzetelnie, a zarazem w bardzo przystępnej formie przedstawia tło polityczne poprzedzające wstąpienie na tron Polski Zygmunta III Wazy, który, mówiąc językiem dzisiejszym, **nie miał początkowo „łatwego życia" w Rzeczypospolitej.**

A sama bitwa? Jeśli wierzyć kronikom, sprzymierzone wojska polsko-litewskie w sile 3.700 ludzi w ciągu zaledwie kilku minut zmusiły do rejterady ponad 14-tysięczną armię szwedzką. Jak później napisano „Bardziej się temu zwycięstwu potomne wieki dziwować zniżeli wierzyć będą".

Henryk Wisner: Kircholm 1605. MON 1987. Str. 152. Cena 250 zł.

JAŚNIEPANICZ GOMBROWICZ

W przedmowie do tej książki, jej autorka Joanna Siedlecka, napisała: „Cel mojej — podkreślam — reporterskiej książki, to przede wszystkim „drugi plan" — relacja osób, które nie chwyciłyby nigdy za pióro. Ich wspomnienia o Gombrowiczu przepadłyby bezpowrotnie". Tak więc, otrzymaliśmy dość niecodzienną relację o życiu i twórczości autora „Pornografii", bo będącą kompilacją wspomnień o nim tych, którzy osobiście stykali się z tym niezwykłym człowiekiem. Kto wie, czy właśnie taki portret — właściwie mozaika złożona z okruchów — nie jest prawdziwszy od naukowej powagi, koturnowości i dywagacji.

Książka Joanny Siedleckiej została poszerzona fotografiami, będącymi uzupełnieniem a jednocześnie ilustracją opowiadanych zdarzeń i przytoczonych — nieraz zaskakujących — faktów.

Joanna Siedlecka: Jaśniepanicz. WL 1987. Str. 348. Cena 390 zł.

LUCJUSZ ANNEUSZ SENEKA

Wydawnictwo Literackie przygotowało dla zbieraczy tzw. „złotych myśli" wspaniały podarunek: wydało dwujęzyczny (łaciński i polski) wybór co celniejszych powiedzeń głośnego filozofa starożytności Lucjusza Anneusza Seneki. Urodzony za czasów boskiego Augusta przeżył kilku cesarzy, by umrzeć z woli swojego ucznia i wychowanka Nerona.

A teraz kilka słów o książce. Na dobrą sprawę, jest to zbiór cytatów zawierających jakieś ogólne prawdy, przemyślenia, rady i wskazówki, które nic nie straciły ze swojej świeżości i aktualności do dzisiaj. Oto niektóre z nich: „Wszelkie zbrodnie zostają spełnione już nawet przed dokonaniem samego czynu, jeśli jest dostatecznie zbrodnicza intencja". „Namiętność prędko wygasa, rozum jest równomierny", „Jeśli chcemy być sprawiedliwymi sędziami wszystkich spraw, to bądźmy przede wszystkim przekonani o tym, że nikt z nas nie jest bez winy".

Wybór i przekład Stanisława Stabryły.

L. A. Seneka: Myśli. WL 1987. Str. 670. Cena 580 zł.

TWÓRCA NASZEGO HYMNU

Ukazało się już drugie, poprawione, wydanie opowieści o Józefie Wybickim pióra Stefana Majchrowskiego. Nie jest to nudny traktat, lecz zbeletryzowana historia człowieka, który na trwałe wpisał się w dzieje naszej ojczyzny. A był to wybitny, utalentowany, wielki patriota i rzecznik odrodzenia niepodległej Polski. Na dobrą sprawę twórca naszego hymnu narodowego zajmował się wszystkim, co przynosiło pożytek krajowi. Był ekonomistą, dyplomatą, generałem, posłem na Sejm, poetą, administratorem, senatorem, muzykiem, a także emigrantem politycznym, współtwórcą Legionów Polskich, które miały przynieść wolność jego ojczyźnie. Sądzę, że oceniając Józefa Wybickiego z dzisiejszego punktu widzenia, należy stwierdzić, iż był on po prostu płomiennym patriotą i politykiem, któremu wypadło żyć i działać w tamtych, jakże tragicznych dla Rzeczypospolitej, czasach.

Stefan Majchrowski: Opowieść o Józefie Wybickim. MON 1987. Str. 256. Cena 230 zł.

Oprac.: E.Iw.

XII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych '87 (1)

„Nieproszony gość" — reż. Feliks Falk

Tym razem w Gdyni

TOMASZ KUBIK

Już w hotelu „Gdynia", który był ośrodkiem dyslokacji zaproszonych na XII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych gości, a następnie punktem zaopatrzenia w festiwalowe materiały, a więc program, zdjęcia, festiwalową gazetkę etc., otarłem się o kilku tuzów prasy i filmu.

Na przykład fosforyzował Zdzisław Pietrasik, który stał o kilkanaście kroków z tyłu, a dostrzegłem go dzięki szeptowi dwóch dziennikarek za mną. Z szeptu wynikało, że Zdzisio (cytat) znowu będzie się ciskał, co zdawało się potwierdzać moje wrażenia z jego telewizyjnych występów, w których w istocie prezentuje nerwowy styl i zdarza mu się gubić końcówki. Ale nic podobnego. Zdzisław Pietrasik miał niezmącone oblicze, a na konferencjach prasowych, na których bywał cały pierwszy dzień i pół drugiego, zachowywał kamienną twarz Montezumy.

Rozglądałem się z lubością po sali recepcyjnej i sądziłem, że przez tydzień dane mi będzie być Europejczykiem. Starczyć tego miało na pół godziny, gdyż przydzielono mnie do hotelu o dumnej skądinąd nazwie „Bristol". Już w drzwiach zorientowałem się, że nie będzie w nim sauny, a recepcjonistka poinformowała mnie, że łazienka jest jedna na piętro i klucz u niej osobiście. Pokój o dość wysokim standardzie — szafa, stół, krzesło, łóżko, na którym koc obleczony w prześcieradło nie pozwalał przegrzać się nad ranem i żarówka o napięciu 60 W — skłonił mnie do egzystencjalnej refleksji i wyrwał z ust kilka równie egzystencjalnych sformułowań.

Do konferencji prasowej na otwarcie festiwalu było jeszcze około godziny, a że podróż zakurzyła mnie nieco, postanowiłem wziąć prysznic i tym samym zainaugurowałem codzienny jogging na trasie pokój—recepcja. Miałem znaczny kłopot z otwarciem łazienki, ale od środka drzwi zamknęły się nadzwyczaj gładko. Wszedłem do wanny i znużonym ruchem Humphreya Bogarta sięgnąłem po prysznic. Prysznica nie było. Złodziejstwo się szerzy — pomyślałem i czym prędzej pospieszyłem poinformować o tym obsługę hotelu, a trwało to mniej więcej półtorej godziny, gdyż drzwi zatrzasnęły się i na nieszczęście otwierały się do środka. Wreszcie sprzątaczka uwolniła mnie i wyjaśniła, że pryszniców nie ma, bo goście zalewali podłogę. Uznałem ten argument za wystarczający i czym prędzej pogoniłem do Teatru Muzycznego, który lokował się vis a vis hotelu „Gdynia", na uroczyste otwarcie festiwalu.

Festiwal otwierała Joanna Śledzicka, roztaczająca wokół siebie jaśniejące piękno, a towarzyszył jej Janusz Świerczyński, przy niej szary, ale o charyzmatycznej dykcji. Przemawiał wiceminister kultury i sztuki Jerzy Bajdor, który w trakcie festiwalu objął stanowisko Przewodniczącego Komitetu Kinematografii.

Następnie zaczął się festiwalowy przegląd i wielu dziennikarzy dostało zadyszki, a i mnie, prawdę mówiąc, któregoś dnia zaczęło dopadać szaleństwo, a mózg zadrżał.

Program wyglądał następująco: codziennie wyświetlano cztery filmy, mniej więcej co trzy godziny, zaś po każdym z nich w sali kameralnej Teatru odbywała się konferencja prasowa z udziałem reżysera, aktorów i innych współtwórców.

Oprócz tego w luksusowym kinie „Warszawa" równolegle odbywały się projekcje filmów w ramach tak zwanej sekcji informacyjnej, a więc filmów, które nie zostały dopuszczone do konkursu. Dla porządku wymienię: „Szkoła kochanków" Krzysztofa Tchórzewskiego, „Pan Samochodzik i niesamowity dwór" Janusza Kidawy, „Biały smok" Jerzego Domaradzkiego, „Czarne stopy" Waldemara Podgórskiego, „Nikt nie jest winien" Ryszarda Zatorskiego, „Komedianci z wczorajszej ulicy" Janusza Kidawy, „Opowieść Harleya" Wiesława Helaka, „Misja specjalna" Janusza Rzeszewskiego, „Pięć kobiet na tle morza" Władysława Ikonomowa, „Koniec sezonu na lody" Sylwestra Szyszki, „Trzy kroki od miłości" Ryszarda Rydzewskiego, „ESD" Anny Sokołowskiej, „Sonata Marymoncka" Jerzego Ridana i „Mewy" Jerzego Passendorfera.

Również w kinie „Warszawa" miał miejsce przegląd filmów nagrodzonych na narodowych festiwalach krajów socjalistycznych. Niestety projekcje te pokrywały się w czasie i udało mi się obejrzeć jedynie „Pokutę", o czym później.

Plakaty w cenie 40, 60 i 80 złotych sprzedawano w kinie „Warszawa", natomiast co do zakupów polskich filmów przez dystrybutorów zagranicznych pełnej informacji nie było, a dyrektor festiwalu Jerzy Martyś na konferencji prasowej po uroczystym zakończeniu podał jedynie, że „Matka Królów" cieszy się sporym zainteresowaniem.

Aktorstwa kręciło się tyle, że już na drugi dzień moje oczy nie płonęły na ich widok i nawet zrobiłem kilka wywiadów.

Konferencji prasowych na festiwalu w żaden sposób nie można porównać do konferencji Jerzego Urbana, gdyż tylko z rzadka padało pytanie do twórców, a więc osób, które najwięcej miałyby do powiedzenia na temat filmu, i najczęściej była to oracja, zwłaszcza przedstawicieli DKF-ów — nieco przeintelektualizowanych maniaków filmu.

W czwarty dzień festiwalu odbyło się seminarium pod tytułem „Film a współczesność" zorganizowane przez Klub Krytyki Filmowej Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Kilku luminarzy naszej krytyki filmowej odczytało długie i mądre referaty, ale jedyną chyba świeżą myśl sformułowała w toku dość niemrawej dyskusji Małgorzata Karbowiak, która zaproponowała, aby zerwać z tradycyjnym podziałem na komercję i film ambitny i połączyć obie te konwencje.

Festiwal tegoroczny miał dość szczególny charakter, ponieważ wzięły w nim udział filmy wyprodukowane kilka lat wcześniej i obecnie zdjęte z półek.

Były to: „Przypadek" Kieślowskiego, „Wolny strzelec" Saniewskiego, „Matka Królów" Zaorskiego, „Wierna rzeka" Chmielewskiego, „Niedzielne igraszki" Glińskiego.

Stąd niektórzy dyskutanci na seminarium, a i na konferencjach często poruszali ten problem, choć w moim odczuciu nieco go demonizując, ale może przez to wylewając żal i zabliźniając rany, gdyż obecnie polityka kulturalna pod rządami takiego liberała, jakim niewątpliwie jest profesor Krawczuk, jest otwarta coraz bardziej i coraz więcej tematów i dzieł może znaleźć ujście w oficjalnym obiegu.

Jurorzy są tylko ludźmi i tak jak wszyscy z nas przeżywają rzeczywistość i nie do końca jeszcze stabilną sytuację, a więc rozdział nagród, częściowo przynajmniej, był tym podyktowany, a względy artystyczne odegrały jakby również pierwszorzędną rolę. Na szczęście jury zachowało konieczne quantum rozsądku i doceniło „Magnata" Bajona, który dostał nagrodę specjalną — moim zdaniem najlepszy obok „Maskarady" Kijowskiego film festiwalu.

Zwykle w relacjach z festiwali ocenia się filmy i doszukuje głębin i płycizn, mniej doceniając wysiłek aktorów, a więc tych współtwórców, którzy najbardziej oddziałują na wizerunek filmu i nieraz wątły pod względem dramaturgicznym scenariusz są w stanie podnieść do rangi dzieła, a nieraz utopić najlepszy, jak to się w tym roku stało z „Nieproszonym gościem" Falka, gdzie sympatyczny Andrzej Frycz gra groźnego bandziora.

„Brązowe lwy" za pierwszoplanową rolę kobiecą otrzymała Magda Teresa Wójcik i, jak sądzę, jest to jedyna nagroda, która nie wywołała żadnych kontrowersji i związanych z nimi emocji. Łucja Król w jej wykonaniu to kobieta doświadczana przez los, która przechowuje swoje człowieczeństwo — miłość, dobroć, umiar i skromność — i otacza synów matczyną czułością.

Bogusław Linda w moim odczuciu zdobył nagrodę raczej za ilość i być może w ramach rekompensaty za to, iż filmy z jego udziałem („Przypadek", „Wolny strzelec" i „Matka Królów") kilka lat leżały na półkach.

Zresztą kręcił się po kuluarach jakby przygaszony i chyba do końca nie wierzył, że otrzyma tę nagrodę, skoro na uroczystości wręczania pojawił się w jeansach i podkoszulku.

Obecnie jest to polski aktor o najwyższym wskaźniku śmiertelności: dwukrotnie został zakatowany w areszcie śledczym (w „Matce Królów" i „Magnacie"), a w „Maskaradzie" poderżnął sobie gardło. W „Wolnym strzelcu" gra deliryzującego fotografa, a w „Przypadku" na koniec eksploduje w samolocie.

Jego tragicznie smutna twarz skłania zapewne reżyserów do obsadzania go w rolach postaci wzniosłych i bezkompromisowych, ale mało plastycznych i zwykle niszczonych przez okoliczności, czym robi mu się wielką krzywdę, gdyż może go to zaszufladkować w wąskim emploi. A aktor ten ma spore możliwości, co udowodnił choćby w „Maskaradzie", gdzie mimo że również nie przeżył i egzystencjalizował na smutno, to chyba jednak grał na pogodniejszej strunie.

Z niezrozumiałych dla mnie względów nie doceniono Wojciecha Wysockiego, który miał do zagrania trzy różne role i z każdej wywiązał się znakomicie. W „Życiu wewnętrznym" — smutno-śmiesznej wizycie we wnętrzu każdego z nas — stworzył w pełni wiarygodną postać obywatela, który posiada oziębłą żonę i ucieka w erotyczne wizje, co ma być odtrutką nie tylko na żonę, ale i na beznadziejność egzystencji w wielopiętrowym i wieloklatkowym bloku. W „Śmierci Johna L." wtopił się w starzejącego się idola młodzieży i przekonująco ukazał miałkość i oderwanie się od życia środowiska muzyków młodzieżowych. Te dwie role wskazują na spory talent komediowy Wysockiego. Również major Wiesnicyn w jego wykonaniu w „Wiernej rzece" to postać z krwi i kości i, co chyba jest ewenementem w polskim filmie, autentyczny Rosjanin. Na pewno spora w tym zasługa Żeromskiego, ale należało też tę rosyjską duszę odtworzyć.

W epizodach najczęściej grywał Henryk Bista, ale Jerzy Stuhr przebił go znakomitą rolą rozkapryszonego i zdziecinniałego reżysera w „Pociągu do Hollywood".

„Brązowe lwy" za drugoplanową rolę kobiecą otrzymała Joanna Szczepkowska, która w „Matce Królów" przekonująco ukazała odmóżdżoną stalinistkę.

Rozwinęło albo dopiero ukazało swoje talenty kilka młodych aktorek. Przy czym, jeśli chodzi o polskie aktorki, zwłaszcza młode, nie wyzwoliły się one jeszcze z pewnego rodzaju komfortu czy lenistwa, na jakie składa się angażowanie swojej osobowości do danej roli i nic ponadto, żadnego zaskoczenia. Na przykład Małgorzata Pieczyńska — znakomita w „Wiernej rzece" — praktycznie powtórzyła się w „Komediantce", choć była to rola o mniejszej dramaturgii i angażować musiała się mniej. Ale być może na tym polega specyfika kobiecego aktorstwa i zależy to częściowo od konstrukcji psychicznej, skoro największe gwiazdy jak na przykład Greta Garbo czy Marylin Monroe reprezentowały stale jeden typ postaci.

Katarzyna Figura predestynowana jest do ról kobiet-zwierzątek, słodkich jak cukierki i zimnych jak lód, a w „Pociągu do Hollywood" potwierdziła swój talent i zademonstrowała wdzięki godne hollywoodzkiej sexbomby, skoro dzwonił nawet Billy Wilder i zapraszał do siebie.

Ciepło, liryzm i serce ukazuje Ewa Sałacka w „Drugiej stronie słońca" i pozwala odzyskać zachwianą pewność, że kobieta to jednak człowiek.

Grażyna Trela, która występuje w „Łuku Erosa" i ma najwięcej nudystycznych scen, to najbardziej demoniczna młoda aktorka, ale jest to demonizm jawny, nie ma w nim tajemnicy Szapołowskiej; odnosi się wrażenie, że wtapia się w postać bohaterki całkowicie, nie zostawiając sobie ani kawałka azylu.

Słówko jeszcze o Katarzynie Gniewkowskiej, która w „Między ustami a brzegiem pucharu" podbija szlachetnością i czystym uczuciem, co w zestawieniu z błyskotliwymi wygłupami Jacka Chmielnika dało dobry kontrast.

Średnie pokolenie aktorów prezentuje stale rzetelny poziom i warto tu zwrócić uwagę na kreację Krystyny Sienkiewicz w „Życiu wewnętrznym", która zagrała kobietę oziębłą fizjologicznie, ale pełną czułości i wyrozumiałości, dla swego męża-dzieciaka.

Jan Englert kontynuując swoje doświadczenia z „Barytona" staje się ostatnio głównym specjalistą od perwersji w filmie polskim.

Jeśli chodzi o nagrodę dziennikarzy, to „Matka Królów" uzyskała ją nieznaczną większością głosów przed „Niedzielnymi igraszkami" debiutanta, Roberta Glińskiego. Trochę szkoda, że w tym roku nie stać było nas na własny osąd i nie przyznaliśmy nagrody na przykład „Maskaradzie" — wybitnemu filmowi, ale z uwagi na temat, tj. satyryczną penetrację świata filmowego i teatralnego, siłą rzeczy nie uwzględnionego w werdykcie jury.

Po wręczeniu nagród i ostatniej konferencji prasowej z laureatem, Januszem Zaorskim i organizatorami festiwalu odbył się uroczysty bankiet w hotelu „Gdynia", na którym rzuciłem się na zakąski i wypiłem sporo dobrej gorzałki.

Skutki festiwalu odczułem dopiero w domu, gdy zapragnąłem obejrzeć film pod tytułem „Bullitt". Już podczas napisów początkowych szarpnęły mną mdłości i musiałem odbyć długi spacer nocną porą. Na koniec tej pierwszej części festiwalowej relacji — jak obiecałem — parę uwag o „Pokucie". Film ten to ostrożna jeszcze krytyka Stalina, ale Stalin w filmie to nie Stalin, lecz burmistrz miasta, Warłam Arawidze. Stąd może, jakby powiedział wyczerpany i zużyty krytyk, film jest uniwersalną i ponadczasową analizą władzy totalitarnej — jej narodzin, trwania i trudności wynikłych z udaniem się dyktatora na spoczynek wieczny.

Na szczęście Tengiz Abuładze, twórca filmu, to człowiek nie tylko o wielkim talencie, ale i obdarzony wielką inteligencją, skoro stać go było na dystans, na który w tym wypadku składa się ironia i umiejętność w miarę rzetelnego umiejscowienia człowieka w konkretnych realiach społecznych i historycznych.

Treść to wspomnienia bohaterki oskarżonej o profanację zwłok Warłama — odkopuje trupa i ustawia na podwórku syna; na procesie zapowiada, że będzie robić to bez końca (w domyśle: aby chociaż jako nieboszczyk kojarzył się z błędami i wypaczeniami).

Początkowo Warłam to sympatyczny człowiek i nawet wykazuje anielski spokój, gdy podczas uroczystej inauguracji jego urzędu pęka instalacja wodna i w piękny słoneczny dzień strumienie wody zalewają kluczowe miejsce uroczystości, czyli mównicę wraz z wszystkimi mówcami. Warłamem i stenotypistką, a mimo to wszystko trwa dalej i tylko bledni hydraulicy bezskutecznie walczą z instalacją.

Warłam to dość ograniczony człowiek, który nie mając zalet męża stanu, stosuje represje i zmusza swoje najbliższe otoczenie do rozgrywek personalnych, aby władzę utrzymać i ustawić się ponad zasięgiem wszystkich.

Jednym z ulubionych autorów Warłama jest, jak sądzę, Machiavelli, tyle że uczeń nie rozumie mistrza i wykorzystuje jego rady wyłącznie do własnych socjotechnicznych celów, nie myśląc o rzeczywistym celu przemyśleń genialnego Włocha, jakim jest dobro ogółu.

Bohaterka jest córką malarza cerkiewnego, spokrewnionego z Warłamem, który jest prześladowany z przyczyn nawet chyba dla Warłama niejasnych.

„Pokuta" to nie tylko wnikliwe studium wyradzania się władzy, ale również protest przeciwko brutalnemu odrywaniu narodu od jego korzeni.

„Maskarada" — reż. Janusz Kijowski

Jakże więc po takim czymś można mówić, że stare zostały tylko stare rewolucyjne tradycje! To otwarta obrona leningradzkich opozycjonistów — jawnych i ukrytych, zdemaskowanych i zakonspirowanych, to schlebianie robotniczemu mieszczaństwu, pragnienie zdobycia jeszcze większej popularności, chęć wykazania, że broni ich przed Stalinem, to próba zachowania dla siebie leningradzkiej reduty. Tak jak i Sergo Kirow przygotowuje przeciwwagę dla n i e g o. Wspólna taktyka — wspólna polityka. Chcą oszukać Stalina! Nie uda im się oszukać Stalina! Niech go wychwalają, niech kłaniają się jego imieniem — nie oszukają.

W zeszłym roku spędził tydzień w towarzystwie Kirowa. Był z nimi i Woroszyłow. Wizytowali Kanał Białomorski, oglądali porty w Soroce, Murmańsku i Leningradzie. Wyczuł wtedy w Kirowie pewną powściągliwość w ocenie Kanału. A przecież Północna Droga Morska — to wyjście na Pacyfik, na tyły Japonii. W tej strategicznej kwestii Kirow zajmuje odmienne stanowisko niż o n, orientuje się na Zachód, a nie na Wschód — to też przejął od tych petersburskich, uważają się przecież za Europejczyków. Wyznaje ten sam pogląd co i Budiagin. Nic dziwnego, że Budiagin przyszedł z konkretnym ostrzeżeniem, a nie tylko z ostrzeżeniem w o g ó l e.

Kirow umie udawać zachwyt, a jednak na Kanale nie udawał, nawet nie uznał za stosowne udawać. Milczał. Ale i tak nie wytrzymał. Kiedy naczelnik portu w Murmańsku demonstrował im nowy żuraw portowy, Kirow próbował poprawiać jego wyjaśnienia, chciał wykazać swoją wyższość. No pewnie! Uczył się przecież w szkole technicznej, nie w seminarium, ma tytuł mechanika. Dziwne tylko, że przez te dwadzieścia lat towarzysz Kirow nie przepracował jako mechanik ani jednego dnia. O tak, praca w gazecie „Terek" była zapewne czystsza i atrakcyjniejsza. Nic nie zostało z jego ś r e d n i e g o wykształcenia technicznego, i nie ma co popisywać się swoją przestarzałą i dawno zapomnianą wiedzą. Przywódca nie posiadający wykształcenia technicznego próbuje zorientować się, zrozumieć: przywódca, który liznął trochę techniki mądrzy się, usiłuje pouczać innych. K o g o chce pouczać?

W t e d y, w t a m t e m wieczór Nadia krzyczała do n i e g o: „Oni myślą, że na ciebie można wywrzeć pozytywny wpływ... Naiwni ludzie! Na ciebie nie można wpływać, z tobą nic się już nie da zrobić!"

ONI — to jej najbliżsi przyjaciele, Kirow i Ordżonikidze. To oni ją doprowadzili! Oni! Oni! Chcieli poprzez nią wpływać na n i e g o, sprawili, że przestała mu ufać. Wykorzystali politycznie ograniczoną kobietę, pozbawili go nawet tego oparcia, pozbawili domu, żony, rodziny, zaszli od tyłu, zadali cios w plecy. Tego nigdy im nie zapomni. A ona też dobra! Jej śmierć — to również wyzwanie dla n i e g o. Nadia także pochodziła z tego przeklętego miasta, wyrosła tam, na wskroś petersburska, wszystko w niej było przeciwko n i e m u, a ci dwaj dołożyli jeszcze swoje. Nikomu nie można wierzyć — nawet żonie. Chcą, żeby o n został sam. Nie szkodzi! Jego jednego i tak wystarczy na nich wszystkich.

W p ł y w a ć! Sergo też chce wpływać... Wpływać na n i e g o! Zarozumiali głupcy!

Kirow — półinteligent z awansu, demagog. Na Siedemnastym Zjeździe — owacje. Mityng na Placu Czerwonym dla uczczenia Zjazdu — owacje. A przecież przed mieszkańcami Moskwy powinien wystąpić członek Biura Politycznego, reprezentujący CAŁĄ partię, nie tylko leningradzką organizację obwodową. Nie odmówił. Wystąpił. Nie ufać!

Kirowa trzeba przenieść do Moskwy. Tu będzie się go miało na oku, tu się wszystko wyjaśni. Dość już tej drugiej stolicy.

Też mieli kogo nasłać — Wanię Budiagina! Mądrzejszego nie znaleźli. O n przyłapał go już na pierwszym pytaniu. „Piatakow wysłał tam komisję..." Wykręcił się od odpowiedzi. A przecież Riazanow zamknął komisję w areszcie domowym, odesłał z powrotem do Moskwy. Dlaczego ukrywają to przed n i m? Chcą zataić swoje niesnaski, zademonstrować zwartość i monolityczność aparatu. Sekretarzem rajkomu u Riazanowa jest Łominadze, chcą ukryć i jego rolę. Ukryć przed n i m, przez n i m, który zna każdy ich krok, każdy ich zamiar.

Areszt i odesłanie komisji to zdarzenie wyjątkowe. Riazanow musi za to odpowiedzieć. Zdarzenie to świadczy jednak o poważnych procesach w otoczeniu Ordżonikidze. To policzek dla Ordżonikidze, choć komisję powoływał Piatakow.

Chcieli zataić przed nim to wszystko po to, żeby wyciszyć konflikt we własnym zakresie. Są w błędzie. O n sam to rozwikła.

Stalin odszedł od okna, podniósł słuchawkę telefonu i polecił Poskrebyszewowi pilnie wezwać do Moskwy Riazanowa.

25.

Riazanow oczekiwał wezwania: dostawszy je, wyjechał tego samego dnia.

Rozumiał, czym może się to skończyć: zdejmą ze stanowiska, wykluczą z partii. Był gotów odpowiedzieć na wszystko i za wszystko.

Oprócz osiedla mieszkaniowego Mark Aleksandrowicz rzeczywiście zaczął budować kinoteatr, klub Osoawiachimu, obóz pionierski, przedszkole i kompleks leczniczy obok gorącego źródła siarkowodorowego, zwanego „Uralską Macestą". Bez normalnych warunków bytowych nie da się zapewnić kombinatowi stabilnej i wykwalifikowanej siły roboczej. Mark Aleksandrowicz jak nikt inny wiedział, że krajowi potrzebna jest stal, i że on tę stal daje. Wiedział też jednak, że nie chodzi o samą stal. Kraj potrzebuje przemysłu. Przyszłość — to nie azjatycka Rosja z kilkoma fabrykami, fabrykę można zbudować nawet w Kongo, lecz Rosja europejska, industrialna, socjalistyczna. Do realizacji tego celu niezbędne są kadry robotnicze o wysokiej kulturze technicznej, umiejące korzystać z osiągnięć współczesnej cywilizacji, a nie chłopi, pospiesznie i byle jak przyuczeni do pracy przy maszynie. Poziom życia — to jeden z elementów kultury produkcji. W purdze, w buranie można zbudować fabrykę, ale nowoczesnego przemysłu w taki sposób stworzyć się nie da.

Jeden kinoteatr, jeden klub, przedszkole, jeden budynek uzdrowiska — to całkiem niewiele. Wszyscy jednak rozumieli, że to dopiero początek. Ludzie pracowali wieczorami i w dni wolne z takim samym entuzjazmem, z jakim przedtem stawiali piece. A Moskwie doniesiono, jakoby Riazanow rozpoczął pozaplanowe inwestycje kosztem kombinatu, że zmusza ludzi do pracy bez wynagrodzenia.

Piatakow przysłał komisję. Na jej czele stał wybitny ongiś, lecz ograniczony spec od gospodarki, wiedzący tylko jedno: stal przede wszystkim. Myślałby kto — baraki! Podczas wojny domowej ludzie na śniegu sypiali! Głównym ekspertem komisji został znany ekonomista ze szkoły Bucharina. Pod koniec lat dwudziestych twierdził, że Ural nie ma perspektyw, że przemysł należy kierować na Syberię, gdzie są bogate złoża węgla, ropy, a przede wszystkim zasoby wody, umożliwiające — jego zdaniem — elektryfikację. Od początku było jasne, że komisja nie poprze socjalnobytowego programu Riazanowa i poda w wątpliwość perspektywy rozwoju kombinatu. Wpuścić taką komisję na teren huty, pozwolić jej na wyciągnięcie wniosków oznaczało — zdemoralizować kolektyw.

Na polecenie Marka Aleksandrowicza szanowną komisję umieszczono w Domu Podmiejskim — taką nazwę nosiła rezydencja dla członków rządu, dysponująca specjalnym zaopatrzeniem i specjalną obsługą, położona w malowniczej miejscowości o dwadzieścia kilometrów od miasta. Komisja byłaby całkiem zadowolona, gdyby nie jedna okoliczność: nie przysłano samochodu, a bez samochodu nie sposób było dotrzeć do kombinatu. Członków komisji karmiono obficie trzy razy dziennie, ale nie łączono telefonicznie ani z Riazanowem, ani z Moskwą. Pierwszego dnia najedzeni inspektorzy pokpiwali sobie z Riazanowa, który nie był w stanie zapewnić im samochodu; drugiego dnia zdenerwowali się, trzeciego zrozumieli, że Riazanow wodzi ich za nos. Czwartego dnia zażądali odstawienia na dworzec: zawieziono ich tam, podstemplowano delegacje, wręczono bilety pierwszej klasy i odesłano do Moskwy.

Operację tę Mark Aleksandrowicz przeprowadził bez wiedzy Łominadze. Stalin go nie lubi, udział Łominadze mógłby tylko zaszkodzić sprawie.

Po Siedemnastym Zjeździe stosunki Riazanowa i Łominadze uległy pewnym komplikacjom: Łominadze usunięto z KC, Riazanowa powołano, pod względem politycznym stał teraz wyżej. Mark Aleksandrowicz jest inżynierem, Łominadze przy wszystkich swoich zdolnościach nie zna się na technice. Poza tym on, dyrektor kombinatu, należy do partii od dawna, kierownicy większości wydziałów, odcinków, zmian — to też komuniści. Nie walczą na frontach wojny domowej, nie potrzebują komisarzy.

Błyskotliwe oracje, paralele historyczne — wspaniałe! Ale nie teraz, nie tutaj, innym razem! Mark Aleksandrowicz spędził trzy lata w Ameryce, zwiedził całą Europę, wie, jakie jest opóźnienie, trzeba pracować, nadrabiać, doganiać, cała reszta to czcza gadanina. Komunizm trzeba budować, a nie gadać o nim.

Wszystko miałoby sens, gdyby Łominadze posiadał jeszcze swoje dawniejsze wpływy. Teraz jednak w centrali, w obwodzie, tu, na miejscu, słowo Riazanowa znaczy więcej. Fakt, Łominadze to ulubieniec Ordżonikidze, ma nawet do niego bezpośrednią linię telefoniczną, ale to, co niezbędne dla kombinatu, Mark Aleksandrowicz załatwi u Ordżonikidze sam. Z każdym drobiazgiem i tak do Sergo nie polecisz, o wszystkim decyduje aparat, a aparat zna tylko Riazanowa. Kombinat — to on, Riazanow, jego życie, jego śmierć.

Swoją decyzję w sprawie komisji Mark Aleksandrowicz przemyślał bardzo dokładnie, rozumiał całe ryzyko. Ryzyko jest, ale w wypadku wygranej zysk będzie ogromny, na długo umocni jego pozycję. Liczył na poparcie Ordżonikidze — Piatakow wysłał komisję bez jego wiedzy. Sergo doceni też, że nie wmieszał w całą tę historię Łominadze. Mark Aleksandrowicz spodziewał się również poparcia ze strony Woroszyłowa. Miesiąc temu, wracając z Dalekiego Wschodu, Woroszyłow odwiedził kombinat, podobało mu się, poklepał Marka Aleksandrowicza po ramieniu.

— Mam bolszewicki węch, czuję zapach stali.

Riazanow miał nadzieję, że Stalin go zrozumie; Stalin na jego miejscu postąpiłby tak samo. Ta właśnie pewność kierowała poczynaniami Marka Aleksandrowicza. Był człowiekiem Stalina, jego hutą, jego Uralem. Stalin nie może tego nie cenić.

Sprawę badali w Moskwie: Stalin, Woroszyłow, Ordżonikidze i Jeżow — cichy, uprzejmy człowiek o fiołkowych oczach, nowy szef wydziału organizacyjnego KC.

Mark Aleksandrowicz złożył wyjaśnienia. Nikogo nie więzili. Członkowie komisji mogli chodzić gdzie im się żywnie podobało. Po prostu wstrzymał ich wizytę w kombinacie do czasu rozmowy z towarzyszem Ordżonikidze, chciał prosić towarzysza Ordżonikidze o odwołanie komisji, gdyż jej pobyt na terenie huty uważał za szkodliwy. Zadzwonił do Moskwy, powiedziano mu, że Sergo jest na Południu i wróci za kilka dni. Komisja mogła zaczekać te kilka dni, nie paliło się przecież. Co do pozaplanowych inwestycji, to mieszczą się one w granicach wyasygnowanych funduszów, a robotnicy pracują przy ich realizacji dobrowolnie. Do sprawdzenia tych faktów wystarczyłby jeden inspektor, a nie tak szacowna komisja.

Słuchano go w milczeniu, nie przerywano. Stalin przechadzał się po gabinecie z fajką w dłoni, Ordżonikidze boczył się, Jeżow siedział skromnie z boku i trzymał przed sobą duży, otwarty notatnik. Woroszyłow uśmiechał się krzepiąco, a gdy Mark Aleksandrowicz nazwał komisję „szacowną", roześmiał się.

Pierwszy też zabrał głos:

ANATOLIJ RYBAKOW **(16)**

Dzieci Arbatu

Sergiusz Kirow — do 1934 roku członek Biura Politycznego KC WKP(b)

— Niedawno byłem w kombinacie. Rozbudowuje się, daje stal, kolektyw jest zwarty, kierownictwo cieszy się dużym autorytetem. Po co wysłano tam profesora, który sprzeciwiał się budowie huty? Riazanow postąpił słusznie, w jego działaniu nie widzę niczego karygodnego. Czekał na towarzysza Sergo, i komisja też powinna poczekać. Nie chciała — no cóż, wolna wola. I w jeszcze jednym Riazanow ma rację: lubimy posyłać komisje tam, gdzie wystarczyłby jeden inspektor. Trzeba udzielić poparcia towarzyszowi Riazanowowi.

Wszyscy czekali na opinię Ordżonikidze. Powiedział oschle:

— Wszystko to prawda. Załóżmy, że tak było. Jednakże wy, towarzyszu Riazanow, pozbawiliście członków komisji nie tylko środków transportu, ale i łączności. Chcieliście ze mną rozmawiać — wasze prawo. Ale oni też chcieli połączyć się z Moskwą. I też mieli prawo.

— Niedokładnie was poinformowano, Grigorij Konstantinowiczu — nie zgodził się Riazanow. — Wiadomo, że łączność z Moskwą mamy kiepską. Połączenie normalnymi liniami jest praktycznie niemożliwe. A bezpośrednie linie do was, Grigorija Konstantinowiczu, mamy dwie — moją i towarzysza Łominadze. Do towarzysza Łominadze członkowie komisji nie zwracali się, on jest w ogóle poza sprawą, a swojego aparatu nie mogłem im udostępnić: połączyliby się z Piatakowem, a on potwierdziłby kompetencje komisji. Ja czekałem na was, liczyłem, że wy nie potwierdzicie uprawnień tej komisji, mówię uczciwie.

Kiedy Mark Aleksandrowicz wspomniał o bezpośredniej linii, łączącej Łominadze i Sergo, zauważył, że plecy Stalina drgnęły.

Stalin zaczął mówić od razu, powoli dobierając słowa. Mówił z silnym akcentem gruzińskim, w jego głosie wyczuwało się zdenerwowanie.

— Nie potrzebujemy na Uralu ludzi, którzy nie uznają Uralu. Ci, którzy nie uznają Uralu, niech siedzą w Moskwie, na swoich stołkach. Wysłanie takiej komisji to poważny błąd. Trzeba to wytknąć towarzyszowi Piatakowowi.

Przerwał. Jeżow szybko pisał coś w swoim notatniku.

— W rozsądnych granicach budownictwo mieszkaniowe i socjalne jest również niezbędne — kontynuował Stalin — szczególnie tam, gdzie z powodzeniem realizowane są zadania produkcyjne. Klasa robotnicza powinna widzieć realne osiągnięcia socjalizmu. Nie tylko zapłatę, kapitaliści też płacą za pracę. Klasa robotnicza powinna widzieć efekty socjalizmu w obiektach kultury i bytu, takich jak sanatoria, przedszkola dla jej dzieci, dla dzieci robotników. Robotnicy kombinatu wykonali plan, i mają do tego prawo. To właśnie jest troska o ludzi pracy. Realne? Realne. Widoczne? Widoczne. Przekonywające? Przekonywające.

Nabił fajkę, potem zapytał:

— Jaka była rola komitetu miejskiego partii w tym konflikcie? Nie widzę jego roli. Gdzie on w ogóle jest? Dlaczego dyrektor kombinatu nie powiadomił komitetu o sprawie komisji? Dlaczego się z nim nie liczył?

Riazanow chciał odpowiedzieć, ale Stalin powstrzymał go ruchem ręki i mówił dalej:

— Brak autorytetu? A dlaczego brak autorytetu? Jeżeli towarzysz Łominadze nie zajmuje się kombinatem, to powstaje pytanie — czym się on zajmuje? To aktywny człowiek, nie potrafi siedzieć bezczynnie. Zajmuje się problemami o światowym znaczeniu? A dlaczego nie spełnia swoich podstawowych obowiązków? Tam, gdzie instancje partyjne nie spełniają swoich podstawowych obowiązków, działacze gospodarczy zmuszeni są podejmować kroki, które w i n n y c h okolicznościach mogłyby ich skompromitować. Dlaczego sekretarz komitetu miejskiego dysponuje bezpośrednim połączeniem z komisarzem ludowym? Powinien mieć bezpośrednie połączenie z sekretarzem komitetu obwodowego.

— Co za sprawa — linia bezpośrednia — skrzywił się Ordżonikidze.

— Drobiazg — przytaknął Stalin i nagle uśmiechnął się dobrodusznie — ale, rozumiesz, odrywa od pracy. Inni sekretarze gorkomów nie mają bezpośrednich linii do ciebie, i nic, jakoś żyją. Po co stwarzać takie szczególne warunki naszemu drogiemu towarzyszowi Łominadze? To niepedagogiczne w stosunku do młodego działacza partyjnego, towarzysza Łominadze. Wywołuje to w nim fałszywe wyobrażenie o własnej osobie. Złą przysługę wyświadczamy w ten sposób towarzyszowi Łominadze.

Mark Aleksandrowicz nie zawiódł się na Stalinie. I Stalin nie zawiódł się na Marku Aleksandrowiczu. Stali się sobie duchowo bliscy, i to uskrzydliło Marka Aleksandrowicza. Dzielący ich obu ludzie, instytucje, papierki — wszystko to zniknęło, przepadło, straciło znaczenie. Teraz Markiem Aleksandrowiczem kierował tylko Stalin. To do Stalina zwracał się w myślach, to z nim się naradzał, to on był punktem odniesienia wszystkich jego poczynań.

Napełniało to Marka Aleksandrowicza dumnym poczuciem własnej siły i znaczenia. Władczy z natury, nie ukrywał już swej władczości. Nie zmienił trybu życia ani nawyków, jak dawniej przed wizytą u komisarza ludowego odwiedzał działy i sekcje, rozmawiał z szeregowymi pracownikami. Oni zaś jak dawniej chętnie zajmowali się jego sprawami i załatwiali je tak, jak wymagał tego interes kombinatu, czyli tak jak chciał Mark Aleksandrowicz. I nikt nie zauważył tego nowego, które pojawiło się w Riazanowie — zaakcentowanej władczości. Przedtem przysiadał się do biurka, teraz rozmawiał stojąc, wstawał więc także i urzędnik. Rozmowa była uprzejma i życzliwa, ale w p r z e l o c i e. Wydawało się to całkiem naturalne: rozmawiał nie tylko wielki dyrektor wielkiego kombinatu, nie tylko ulubieniec Stalina i Ordżonikidze, ale być może przyszły komisarz ludowy. A mimo to nadal zagląda do nich, zwykłych urzędników, nie zadziera nosa, nie udaje ważniaka.

Pewnej komplikacji uległy tylko stosunki Marka Aleksandrowicza z Ordżonikidze. Na naradzie Ordżonikidze nie dyskutował ze Stalinem i Woroszyłowem. Na sprawę komisji miał jednak własny pogląd: uważał, że Riazanow mógł zachować się bardziej dyplomatycznie i uniknąć skandalu, który w nie najlepszym świetle przedstawił pracę komisariatu ludowego.

Mark Aleksandrowicz widział niezadowolenie Sergo, martwił się tym, ale wiedział też, że Ordżonikidze nie jest mściwy i nie będzie mieć mu za złe, zwłaszcza że Mark Aleksandrowicz miał w istocie rację: poza tym to nie on ponosi przecież winę za rozdźwięki między Stalinem i Sergo w kwestii Łominadze.

Mark Aleksandrowicz nie szedł do Ordżonikidze, czekał aż tamten sam go wezwie, a póki co załatwiał swoje sprawy w aparacie, w Gospłanie i w Gosbanku. Każdemu wyjazdowi do Moskwy, nawet na pilne wezwanie władz, towarzyszyło mnóstwo problemów, które można było załatwić tylko w stolicy. Musiał też zajść do Budiagina, choć ten spędzał w narkomacie swoje ostatnie dni. Markowi Aleksandrowiczowi było go żal bardziej niż Łominadze; nie teoretyk, nie mówca, zawodowiec, i choć nie inżynier, zna się na rzeczy, w lot chwyta o co chodzi. Został jednak w tyle, czas go wyprzedził, czas — to Stalin, a Budiagin nie lubi Stalina, jest przeciwko niemu, a to znaczy, że przeciwko krajowi i partii.

Mark Aleksandrowicz rozmawiał z Budiaginem spokojnie i rzeczowo, tak jak rozmawia się z przełożonym, z zastępcą komisarza ludowego, choć nagle zastanowiła go pewna myśl: dlaczego zastępcami Sergo są Piatakow i Budiagin? W otoczeniu Sergo jest wielu ludzi, których wierność Stalinowi budzi wątpliwości. Czy Sergo sam dobrał sobie takich współpracowników, czy też wyznaczono mu ich? W jakim celu? Budiagin również rozmawiał z Riazanowem powściągliwie, nawet nie spytał o komisję. Podpisawszy papiery zadał natomiast inne pytanie:

— Co z siostrzeńcem?

Pytanie zaskoczyło Marka Aleksandrowicza. Wybierał się wieczorem do siostry, niestety tak się złożyło, że wieczorem musi wyjechać.

— Na razie siedzi...

Budiagin o nic więcej nie pytał, i Mark Aleksandrowicz wyszedł z gabinetu. Nieprzyjemny osad jednak pozostał. O tym, że Sasza jest aresztowany, Budiagin sam wie. Pytał o coś innego: czy Mark Aleksandrowicz nie skorzystał z okazji i nie poprosił Stalina o zwolnienie Saszy? Obraźliwe pytanie.

Czy ma prawo zajmować JEGO czas sprawą dzieciaka, którego najwidoczniej trzymają tam nie bez powodu? Narobił głupstw, to pewne. Interwencja u Bieriezina nie mogła przejść bez echa, a jednak Sasza nadal siedzi. To znaczy, że coś na niego mają.

Jak w tej sytuacji Mark Aleksandrowicz może zwracać się do Stalina? Stalin wprowadził go w skład KC, mimo że krewny Riazanowa siedzi w więzieniu. Stalin nie łączy go ze sprawą Saszy, pominął ten problem milczeniem. I teraz on sam miałby poruszać go w rozmowie ze Stalinem? Byłoby to wręcz nietaktowne! Tak samo pomyślałby Stalin. Ich wewnętrzna bliskość, ich wewnętrzne zrozumienie ległoby w gruzach. Tak właśnie to wygląda. A Budiagin myśli, że Riazanow po prostu bał się porozmawiać ze Stalinem o Saszy. „Prymitywny, politycznie skończony człowiek" — z rozdrażnieniem pomyślał Mark Aleksandrowicz o Budiaginie.

26.

Sawielij wytłumaczył Saszy jak porozumiewać się przez ścianę: alfabet podzielony jest na sześć rzędów, po pięć liter w każdym rzędzie. Pierwsze stuknięcia oznaczają rząd, następne — miejsce litery w rzędzie. Krótkie pauzy między stuknięciami sygnalizują rząd; nieco dłuższe oddzielają litery, a najdłuższe — słowa, skrobanie w ścianę oznacza „skończyłem!", „stop!" albo „powtórz!". Pauzy są krótciutkie, u doświadczonych więźniów trwają ułamki sekund. Pauzy to najtrudniejszy element alfabetu — jeżeli je przegapić, to stuknięcia zlewają się ze sobą, litery giną, korespondencja traci sens.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

LAUREACI FMR JAROCIN '87 W ŁODZI

Już na trzy tygodnie przed 20.IX. wszyscy sympatycy rocka w Łodzi wiedzieli (zasługa w tym „Głosu Robotniczego" oraz czytelnych i widocznych wszędzie plakatów), że tego dnia, w amfiteatrze Parku Kultury i Wypoczynku „Zdrowie" odbędzie się, zorganizowany przez sprawnie działające Centrum Kultury Młodych, koncert laureatów tegorocznego Jarocina.

Podobnie jak w Jarocinie, również w Łodzi aura nie dopisała. Ulewny deszcz, który padał od rana zrobił sobie przerwę tylko na czas trwania imprezy, natomiast zimny wiatr napotkał opór ze strony zespołów i publiczności (ok. 1.000). Koncert, który rozpoczął się z 45-minutowym opóźnieniem, otworzył krakowski zespół CHŁOPCY Z PLACU BRONI. Pierwsze takty utworu „Ty nie mów nic" i... zaskoczenie, ponieważ wszystko dobrze i wyraźnie słychać! Zaraz, zaraz, na plakatach widniała informacja, iż odpowiedzialnym za nagłośnienie jest PAWEŁ HAUS. Brawo! Po pierwszym rytmicznym kawałku, utrzymanym trochę w konwencji rock and rolla, następny „Aeroplan" miał podobny charakter. Zmiana tempa na spokojniejsze nastąpiła podczas wykonywania „Widziałem ją jeden raz". Zgrabny utworek, gdzie na plan pierwszy wysunęło się dobrze zagrane solo na gitarze (coś à la Richie Blackmore). Poprawna gra gitarzysty powtórzyła się również w następnych utworach (np. „Antarktyda"). Zespół zakończył występ rockowo-bluesowym hymnem „Wolę śpiewać, wolę grać".

Trochę o tekstach. W związku z tym, że najgłośnienie było bardzo dobre, a dykcja wokalisty (momentami dwóch) nienagannа, dotarły do mojej świadomości słowa pozbawione sztucznej filozofii, mówiące konkretnie o tym co tu i teraz. Podobne przesłania, chociaż bardziej infantylne, znalazły odzwierciedlenie w tekstach laureata głównej nagrody Jarocina — zespołu DETONATOR BN. Zaczęli od „Naszej edukacji". Fatalny początek (kłopoty ze zgraniem, zamiast śpiewu krzyk) dawał nadzieję na kiepski występ. Jednak w drugim utworze kapela „złapała" właściwy rytm. DETONATOR BN zagrał swoje najlepsze utwory („Wszystko wokoło", „Piosenka dla młodych matek", „Koty" — znakomicie zagrane, „Żyje się tylko raz"), w których pokazał dobry warsztat muzyczny. Do gustu publiczności przypadły szczególnie solówki na klarnecie wykonywane przez jedyną w tym dniu na estradzie dziewczynę. Ujawniła ona także swój talent wokalny podczas wykonywania na bis „Kujawiaczka". Na uwagę zasługiwała także gra basisty i perkusisty, którzy wiedzieli kiedy mocniej uderzyć, a kiedy grać spokojne klimaty. Przebojem „Małego Jarocina" został utwór pt. „Armia Czerwona" (również bisowany), którego refren „Nie byśmy dzisiaj nie mieli, gdyby nie Armia Czerwona, Nie byśmy dzisiaj nie mieli, gdyby nie wojsko Stalina" śpiewany był przez wszystkich. Po występie DETONATORA BN odniosłem jednak wrażenie, że wiele utworów brzmiało podobnie. A może się mylę?

Bardzo słabo zaprezentował się szczeciński zespół KOLABORANCI (w Jarocinie występowali pod nazwą Kolaboranci — Kolaborowo). Z jedenastu przedstawionych utworów, utrzymanych w konwencji post punkt rocka, podobały mi się jedynie „My urodzeni w latach 60" i „Pociąg do Hollywood" ze względu na: po pierwsze — wyjątkowo dobrą grę zespołu i po drugie — wyraźny śpiew wokalisty. Oj, laureacie szybko się popraw!

Nastrój wśród słuchaczy polepszył się podczas występu rzeszowskiej „AURORY", która pokazała jak należy grać z elektronicznym perkusistą. Po prostu, chłopaki dobrze wiedzą, że wybijanego przez automat rytmu nie należy używać do szpanowania i chwalenia się drogim sprzętem. Poprawny i zrozumiały wokal, dobra gra gitarzystów, wspaniałe klawiszowe nastroje, stawiają „Aurorę" wśród zespołów, w pełnym tego słowa znaczeniu, profesjonalnych (szkoda tylko, że spóźnili się z hotelu na występ). Z przyjemnością słuchało się utworów: „Na dnie", „Budujcie mur chiński", „Nasza wiosna", mówiących też o tym co tu i teraz, lecz zmuszających do głębszych refleksji. Mam tylko jedno pytanie: czy wokalista podczas grania intro musi ciągle krzyczeć o świniach? A tak poza tym — dobra zimnofalowa kapela.

Występ „AURORY" zakończył łódzką, małą edycję Jarocina. Tak więc z siedmiu laureatów zobaczyliśmy tylko czterech. Oczekiwany przez zwolenników heavy metal poznański „Wilczy Pająk" nie zameldował się na estradzie z powodu choroby wokalisty. Zespół „Wańka Wstańka and de Ludojades" na przysłane zaproszenie odpowiedział negatywnie, natomiast „Stan Zwezda" nie był w stanie zagrać w Łodzi, ponieważ dwóch członków zespołu powołano do odbycia służby wojskowej.

Na zakończenie mała refleksja. Niektórzy publicyści, zgodnie zresztą z obowiązującą modą, trąbią wszędzie o kryzysie polskiego rocka. Najśmieszniejsze jest to, że przynajmniej w muzyce rockowej kryzysu jeszcze nie ma i biorąc pod uwagę, że co roku w Jarocinie pojawia się świeży, dobry narybek, nieprędko do tego dojdzie, o czym powinien również pamiętać wspaniały przemysł fonograficzny.

DARIUSZ DREWNICZ

KTO NIE CHCE PIENIĘDZY?

Oczywiście — PKO. Nie mam zamiaru powtarzać argumentów z szeregu publikacji prasowych na temat stopy inflacji i oprocentowania wkładów. Szkoda miejsca. A co do faktów?

Otworzyłem dziecku w październiku 1986 roku książeczkę oszczędnościową na wkład terminowy, oprocentowany na 13 procent. Wpłata — 5 tysięcy złotych.

W tym roku dałem mu następne 5 tysięcy złotych i zaproponowałem uzupełnienie wkładu. Niestety — odszedł od okienka z niczym ponieważ oświadczono mu, że minimalna wpłata wynosi 10 tysięcy złotych.

To jak się ta instytucja nazywa — Powszechna Kasa Oszczędności?

W. AFELT

ZNIKAJĄCE POMNIKI

Z cokołu przed Halą Sportową w Łodzi usunięto model samolotu wojskowego. Jako przyczynę podano zły stan techniczny. I to zaledwie po blisko trzydziestu latach.

Zniknął jeszcze jeden charakterystyczny punkt miasta — nie pierwszy i nie ostatni. Tak jak co jakiś czas znikają stare kamienice, drewniane, parterowe domki a czasem całe fragmenty ulic. Tak jak znikają drzewa, powalone przez wiatr lub ścięte — „bo zawalają".

Znikają, bo muszą dać miejsce „nowemu". Los samolotu to nie pierwsze „zniknięcie" z cokołu. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w dzisiejszej alei ZMP znajdował się pomnik symbolizujący sojusz robotniczo-chłopski. Pomnik ten z powodu złego stanu technicznego po prostu rozpadł się w czasie wiosennej odwilży. A potem zbudowano tam fontannę z gołą panną pośrodku. A może na pozostałym cokole po samolocie ustawić jakiś oryginalny element sportowy np. dużą piłkę z nazwiskami najbardziej znanych piłkarzy polskich? Toż to i Hala Sportowa i Muzeum Sportu obok.

Swoją drogą, dziwne jest stawianie nietrwałych pomników. A i niektóre tablice pamiątkowe b. szybko „starzeją się". Np. tablica ku czci J. Tuwima na gmachu III LO im. Kościuszki wygląda jakby miała ponad sto lat. Trudno z niej odczytać cały tekst.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

„ŻYWE TORPEDY"

W nr 38 „Odgłosów" z dnia 19.9.87 r. Jan Wańkiewicz opublikował list pt. „Żywe torpedy", w którym m.in. pisze: „...Jedną z kandydatek na żywą torpedę była pani mgr Helena Salska, profesorka historii w Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi w Pabianicach. W listopadzie 1939 r. pani Helena Salska została aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym. Po pięciu latach obozu powróciła do Pabianic. Była w dalszym ciągu nauczycielką historii w jednej ze szkół średnich. Została wybrana do Miejskiej Rady Narodowej w Pabianicach...".

Postać mgr Heleny Salskiej jest za bardzo znana w Łodzi i Pabianicach, aby jej żywotną działalność społeczną skwitować zaledwie w pięciu zdaniach. Dlatego też historię jej życia opisałem w artykule „Druhna profesor", drukowanym w nr 1 pisma instruktorów harcerskich „Motywy" z dnia 7 stycznia 1987 r.

Instruktorka harcerska, profesorka żeńskiej szkoły średniej w Pabianicach istotnie w połowie 1939 r., zgłosiła się na tzw. „żywą torpedę", lecz zgłoszenie jej nie zostało wykorzystane z tego prostego względu, że takich aparatów w ogóle nie było, a ich nazwa służyła wyłącznie jako bluff wobec Niemców. Tego rodzaju „żywe torpedy" zastosowano dopiero w późniejszych okresach II wojny światowej przez marynarkę wojenną Włoch i Japonii, przy czym takie działania nie zawsze musiały kończyć się śmiercią osób kierujących tymi aparatami.

Natomiast imię Heleny Salskiej bardziej związane jest z jej ponad 5-letnim pobytem w niemieckim obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück, znajdującym się około 60 km na północ od Berlina. Obóz ten słynny był z tzw. „Królików doświadczalnych" tzn. kobiet, które poddawane były różnego rodzaju doświadczeniom lekarskim, na skutek których traciły one życie, a w najlepszym wypadku zdrowie stając się kalekami. Doświadczenia takie wykonywali lekarze niemieccy, m.in. prof. Gebhardt, dr Fischer, dr Schidlausky, Rosenthal i Oberhäuser.

Helena Salska stykając się z niektórymi kobietami przeznaczonymi na „króliki doświadczalne" zaczęła poznawać hitlerowską metodę „doświadczeń naukowych", stosowanych na tych dziewczętach. Zorganizowała dla nich pomoc polegającą na dożywianiu i dostarczaniu medykamentów. Pomoc ta została zwiększona w momencie, kiedy w listopadzie 1941 r. powstała w obozie tajna drużyna harcerek „Mury". Drużyna ta została zorganizowana z inicjatywy instruktorki harcerskiej Józefy Kantor ze Śląska Cieszyńskiego. Pomoc w żywności nie była też bagatelna, wiedząc jak nikłe przydziały żywnościowe otrzymywały więźniarki.

W roku 1968 zbierając materiały do publikowanego przez siebie w „Motywach" artykułu „Gdy pasiak był mundurem", przeprowadziłem rozmowę z Katarzyną Czajką-Rytwińską (nr obozowy 3141), członkinią drużyny „Mury", która m.in. przekazała mi normy obozowego „menu". Zanotowałem je w prowadzonym od lat notatniku (zeszyt 4 str. 70). Normy te wynosiły: 1/8 chleba (bochenek 1,5 kg), co równało się około 19 dkg dziennie, 3/4 litra wodnistej zupy „jarzynowej" z nielicznymi ziemniakami na obiad i zupa na kolację (przeważnie była to zupa pozostała z obiadu). Wydawano 30 dkg margaryny na tydzień. W sobotę wydawano dodatkowo 50 gram margaryny i 70 gram tzw. krwistej kiełbasy (zresztą bardzo podłej), zwanej „Wurstblutt". Na niedzielę więźniarki otrzymywały 25 gram sera i 25 gram margaryny.

W tak bardzo trudnych, głodowych warunkach Helena Salska nie upadała na duchu, a nawet starała się wpłynąć duchowo na młode Polki z centralnych dzielnic kraju, córki polskich wieśniaków z Lubelszczyzny, Kielecczyzny i innych regionów Polski. Organizowała dla nich pogadanki, które nie były niczym innym tylko tajnymi lekcjami historii i geografii. Z biegiem czasu tego rodzaju pogadanki stały się bardziej umasowione. Znalazły się polskie nauczycielki, które same zaangażowały się do takiej działalności. Zorganizowano coś w rodzaju tajnej szkoły polskiej w obozie koncentracyjnym.

Z końcem kwietnia 1945 roku na skutek starania hr. Folke Bernardotte, przewodniczącego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża kilka tysięcy Polek wyjechało do Szwecji. W grupie tej była Helena Salska.

Po kuracji i częściowym podreperowaniu zdrowia nadwerężonego pięcioletnim pobytem w hitlerowskim obozie koncentracyjnym powróciła w październiku 1945 roku do kraju. Obejmuje posadę profesora liceum w Pabianicach. Jest przez pewien okres dyrektorką miejscowego liceum.

Okres tzw. „wypaczeń" nie oszczędza jej osoby. Zostaje zdjęta z funkcji dyrektorki, ale nie załamuje się, pracując w wielu pabianickich organizacjach społecznych.

Choroba serca robi jednak postępy. Umiera. Na miejscowym cmentarzu żegnają ją tysiące ludzi. Jest to wielka manifestacja miejscowej ludności. Żegnają ją byli uczniowie, robotnicy i inteligencja pracująca miasta, jako osobę, która potrafiła wszczepić w serca swoich wychowanków i przyjaciół głęboki patriotyzm i umiłowanie ojczyzny.

MIECZYSŁAW KOZAK

„WIDZEW MA JUŻ 600 LAT"

W polemicznej wypowiedzi, zamieszczonej w 38 numerze „ODGŁOSÓW", dotyczącej mego szkicu pt. „Widzew ma już 600 lat", autor jej p. Tadeusz Kołaczyk zarzuca mi brak dostatecznych wiadomości o dziejach tej dzielnicy naszego miasta, radząc, abym na naukę udał się do Muzeum m. Łodzi. Dziękuję za radę, ale nie ujmując nic tej instytucji znam lepsze źródła wiedzy o naszym regionie. Posłużyły mi one do napisania kilku książek na wspomniany temat, w których jest też sporo o dawnym Widzewie.

Odnoszę wrażenie, że polemista mój nie odróżnia Widzewa, jako historycznie ukształtowanej miejscowości, od administracyjnej dzielnicy dzisiejszej Łodzi, o tej samej nazwie, w obręb której wchodzą oprócz właściwego Widzewa inne, niegdyś samodzielne osiedla, jak np. Zarzew, Stoki, Sikawa, Doły, których losy układały się odmiennie. Szkic mój obejmował wyłącznie dzieje samego Widzewa i to skrótowo z uwagi na określone ramy artykułu.

Nie ma racji p. Kołaczyk dowodząc, że zakłady scheiblerowskie powstały na Widzewie, chociaż obecnie znajdują się w administracyjnej dzielnicy Łodzi o tej nazwie. Założono je bowiem w 1855 roku na terenie ówczesnej Łodzi, w tzw. Nowej Dzielnicy. Widzew był wówczas niewielką wioską, położoną poza obszarem Łodzi.

Myli się też mój polemista pisząc, że zajścia obok domów Zindermana nastąpiły w 1929 roku, rozegrały się bowiem w 1933 roku i w nieco innych okolicznościach. Nawiasem mówiąc, byłem ich naocznym świadkiem. Rada więc za radę. Proszę nie zawierzać pamięci starszej pani, a raczej zajrzeć do przedwojennej prasy.

WACŁAW PAWLAK

GRUPA „CENTAURO"

W Waszym poczytnym Tygodniku Kulturalnym, każdorazowo czytam wiersze pisane przez grupę literacką „CENTAURO". Mimo chęci, przyznaję ze skruchą, że nie mogę zrozumieć o co poszczególnym autorom chodzi. Słowa tych wierszy nie przemawiają do mojej wyobraźni.

W dniu 18 września 1987 r. w „Głosie Robotniczym" przeczytałem rozmowę p. redaktor MAG. z poetą Tadeuszem Śliwiakiem, który podkreślił, że cyt. „poezja to sztuka elitarna". Teraz rozumiem dla kogo pisane są te wiersze. Autorzy tych wierszy muszą mi wybaczyć moją opinię, nie mam żadnych zastrzeżeń do ich twórczości, ale osobiście wolę czytać poezje Mickiewicza i Słowackiego.

W końcowym fragmencie rozmowy p. Tadeusz Śliwiak odpowiada p. MAG. cyt. „Dla mnie samego, cokolwiek służy za temat, to jest nim zawsze człowiek, staram się go poznać, zrozumieć jego postawy, ideały". Otóż to! Człowiek jako najważniejsza istota ludzka. Dla członków grupy literackiej CENTAURO „Odgłosy" poświęcają całą szpaltę swojego tygodnika. Mam propozycję — może i dla nie stowarzyszonych, dla tych którzy nie rozumieją elitarnej twórczości znalazłby się mały kącik, w którym czytelnicy „Odgłosów" proponowaliby swoje utwory lub wspomnienia minionych lat. Myślę, że chętnych nie zabraknie, trzeba ich tylko zmobilizować.

TADEUSZ KOŁACZYK

OD REDAKCJI: W „Odgłosach" wprawdzie nie ma specjalnego miejsca dla poetów nie stowarzyszonych. Ale każdy człowiek piszący wiersze może do nas z nimi przyjść. Kierownik literacki oceni je i jeżeli będą na odpowiednim poziomie, znajdą się na naszych łamach.

SPROSTOWANIA

W związku z publikacją kolumny poetyckiej grupy Centauro, uprzejmie proszę o podanie do wiadomości iż p. Kajetan M. Dutkiewicz nie jest aktualnie członkiem grupy. Ponadto proszę o sprostowanie pomyłki w nazwisku Zenona Wasielewskiego (podano: Wasilewski).

Z poważaniem

HENRYK ZASŁAWSKI

* * *

W tekście rozmowy z Witoldem Fillerem (Odgłosy nr 38 z dnia 19 września 1987 r.) znalazł się błąd: zamiast „PLAYTBOY" napisano „Playboy". Za pomyłkę Autora wypowiedzi i Czytelników serdecznie przepraszamy.

REDAKCJA

WIERSZE IWANOWSKICH PRZYJACIÓŁ

W związku ze wstępem Tadeusza Chróścielewskiego do kolumny wierszy poetów Iwanowa pod tytułem „Wiersze iwanowskich przyjaciół", opublikowanej w „Odgłosach" 26 września 1987 roku, jako współuczestnicy pracy nad książką, podajemy, że pierwsza w Polsce antologia wierszy poetów Iwanowa wydana była w roku 1980 przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Skierniewicach z inicjatywy i za staraniem ówczesnego sekretarza Zarządu Wojewódzkiego TPPR w Skierniewicach Władysława Strzeleckiego, który sprawował kierownictwo nad całością prac i wraz z Wasylem Kocznowem, autorem wyboru wierszy i not biograficznych i Tadeuszem Chróścielewskim, redaktorem wydania, opracował całość.

K.E. i S.W.
(Skierniewice)

REDAKCJA — CZYTELNICY

Niestety nie możemy pomóc panu **WŁADYSŁAWOWI ZAJDLOWI.** Nie wiem, czy będzie to dla Pana pocieszeniem, ale alergie są bardzo ciężkie do wyleczenia. Ponieważ istnieją setki przyczyn ich powstania, trudne jest trafienie na odpowiedni lek. Czasem trwa to długo i polega na eliminacji poszczególnych specyfików. Życzymy zdrowia.

Pani **EWIE MŁYNARCZYK** z Puław dziękujemy za cenne uwagi. Listu jednak opublikować nie możemy, brakuje Pani adresu.

Pani (lub Panu) **KOSTECKIEJ** (?) z ulicy Spornej nic nie możemy odpowiedzieć, ponieważ list jest zupełnie nieczytelny.

Panu **JÓZEFOWI JANKE** z Wrocławia dziękujemy za gotowość odstąpienia niektórych poszukiwanych numerów „Odgłosów". Skontaktuje się z Panem w tej sprawie Czytelnik ze Słupska.

Pożegnanie wakacji...

WITOLD WERNER

W dniach od 3 do 6 września, w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich „Nadwarciański Gród" w Załęczu Wielkim (woj. sieradzkie), z inicjatywy Wydziału Harcerskiego Głównej Komendy ZHP, odbył się Ogólnopolski Biwak Zastępów Nieobozowej Akcji Letniej „Lato Zdobywców '87". Uczestniczyło w nim ok. 600 harcerek i harcerzy reprezentujących 39 Chorągwi. Wśród tych, które nie zjawiły się na biwaku, była także i Chorągiew Ziemi Łódzkiej...

Uczestnikom zaproponowano bardzo bogaty program zajęć od gier terenowych poczynając, poprzez festyny gier, zabaw, quizów i konkursów, na projekcjach filmowych (m. in. wszystkie części „Pana Kleksa", „Seksmisja" i inne) kończąc.

Cztery dni biwaku — to cztery dni doskonałej zabawy. Wspólnym grom, zabawom, piosenkom, harcom i pląsom nie było końca, a każdy dzień obowiązkowo kończyło harcerskie ognisko, zapalane — jak każe tradycja — jedną zapałką i bez użycia papieru. Aż szkoda, że to już ostatni biwak tegorocznych wakacji...

Mit staje się rzeczywistością...

WASYL KOCZNOW (2)

Chodzimy z Tanyspajem po alejkach pieredielkińskiego parku. Dołączają do nas amatorzy pogadania o tym i owym — Baszkir Szamil Anak, drugi ałtajczyk Pasiej Samyk i Siergiej Paniuszkin z Lipiecka, Rosjanin.

— Człowieka, jak i małpę, stworzyły razem Ziemia i Słońce — peroruje Tanyspaj. — Dlaczegóż to mielibyśmy pochodzić od małp? Małpę rodzi małpa, człowieka — człowiek. Teoria ewolucji może jest i ciekawa, ale słabo udokumentowana. Wydaje mi się, że cała ta hipoteza o naszym zwierzęcym pochodzeniu sięga korzeniami do jakiegoś pramitu o jedności przyrody, o jednym źródle życia we wszechświecie. Bardzo nęcąca to myśl, tylko czy prawdziwa? Chrześcijańskie dogmaty religijne mówią, że zwierzęta i ludzi Bóg stworzył w tym samym dniu. Oczywiście, nie należy tego traktować dosłownie, ale boję się, że nigdy nie będziemy umieli dotrzeć do prawdziwego sensu metafor zawartych w tych mitach. Nie rozumiem na przykład myśli o Bogu-człowieku. Dla mnie Bóg-człowiek — to idea Guru, idea Nauczyciela. Dlaczego powiedział, że to, co małe jest Wielkie, a to, co wielkie — jest Nicość? Dlaczego powodzenie jest nieszczęściem, a niepowodzenie — szczęściem, z którego się trzeba cieszyć, bo doskonali duch ludzki? Dlaczego droga poznania — to droga ciernista, pełna łez i dramatów? Jeśli Bóg jest Rozumem świata, a Rozum ucieleśnił się w człowieku i poprzez cierpienie chce stworzyć na Ziemi...

— Ałtaj — wpadam mu w słowo — raj-Ałtaj...

— Ałtaj w przekładzie z turkijskiego rzeczywiście znaczy „cudowny kraj": ał — cudowny, taj — kraj. Wschód był niegdyś opanowany przez plemiona turkijskie. Nawet grecki Apollon — to Apa-Olan, słoneczne bóstwo, — wtrąca Anak, znawca Turkijczyków z Ufy.

— Pewnie Adam i Ewa też wywodzili się z plemion turkijskich — śmieję się, a Anak zupełnie poważnie twierdzi, że oba imiona faktycznie mają turkijskie pochodzenie.

— No dobrze, a skąd się wywodzi Paniuszkin?

— Nie wiem — powiada zmartwiony Anak.

— Paniuszkin — to pan Juszkin, czyli pan Krwawy. Polak, chociaż po polsku nic nie rozumie.

— Nic podobnego — złości się Siergiej. — Jestem rodowitym Rosjaninem.

— To wobec tego i Apollon, nie Apa-Olan, tylko Grek.

Anak chyba się rozgniewał na mnie za wyśmianie jego dociekań językowo-narodowościowych, gdyż wieczorem odniósł mi książkę, którą mu zadedykowałem i zażądał zwrotu swoich wierszy opublikowanych w baszkirskim miesięczniku. Rano, podczas śniadania pogodziliśmy się, ale zaraz potem zaatakował mnie:

— Nie wierzysz, że cały kontynent eurazjatycki był kiedyś turkijski? A wiesz, że wszystkie większe łańcuchy górskie, wiele rzek i jezior ma nazwy właśnie turkijskie? Alpy, Bałkany, Kaukaz, Ural, Pamir, Ałtaj, Bajkał, Aral — zaczął wyliczać Anak, dodając do każdej nazwy stosowne objaśnienia. Nie mogłem się z nim sprzeczać, wstąpił w niego bojowy duch, a ja byłem sam, Tanyspaj i Paniuszkin pojechali w ten dzień do Moskwy.

Zresztą, cóż mogłem mu przeciwstawić? To prawda, że Azja odkryła Europę. Aktywność słońca wzbudzała na azjatyckich stepach bujną roślinność. Na nich pasły się liczne konie. Koczownik wskakiwał w siodło i ruszał w ślad za słońcem. Wielkie przemieszczanie się ludów szło ciągle ze Wschodu na Zachód. Nie tylko ludzi. Roślinność i zwierzęta również „szły" za słońcem. Przypadek? Prawo przyrody? Może dlatego wszelki „Drang nach Osten" miał tragiczny koniec, że nie był zgodny z ruchem słońca na niebie?

Wszystko, co Anak z takim zapałem mówi o turkijskich ludach słyszę po raz pierwszy. Kiedyś czytałem jakieś podania o tym, jak Aryjczycy dostali się do niewoli turańskiej, pisze o tym także Firdousi w swym poemacie „Szachname". Aryjczycy zostali opanowani przez Węża Trójgłowego, który zabił ich przywódcę, wskutek czego uciekli na Zachód. W walce z Turkijczykami poległ jakoby Zaratustra, prorok mazdaizmu. Turkijczycy wyznawali zasadę, iż należy zabijać każdego, kto chciałby wiedzieć, co znajduje się nad niebem i pod powierzchnią ziemi, co było przed człowiekiem i co będzie po nim. Zabraniali kopać ziemię, gdyż pod jej powierzchnią znajduje się śmierć, ślady byłych bitew, pożarów, złogi wielowiekowych ludzkich nieszczęść.

Czytałem o niebieskich Turkijczykach w pracach Lwa Gumilowa, znanego historyka. Twierdzi on jednak, że Turkijczycy władali terenami, rozciągającymi się tylko do Dunaju. Niebieskimi lub niebiańskimi zwano ich dlatego, że jakoby przybyli z niebios — z gór Ałtaju — i rozpostarli się na wschód i zachód. Odznaczali się wysoką, jak na owe czasy, cywilizacją. Różne ich wyrazy, nazwy, pojęcia dotarły do Europy za pośrednictwem innych narodów. Ich „słaba płeć" była bardzo energiczna i wojownicza. Tym się czasami tłumaczy, że większość turkijskich nazw geograficznych była rodzaju żeńskiego. Najwyższy szczyt Ałtaju Bielucha, po ałtajsku Sumer Bielucha to dosłowny przekład tej nazwy, a rzeka Katuń — po ałtajsku znaczy kobieta. Bielucha — to siwa kobieta. Sumer — to kolebka niebieskich Turkijczyków. Sumer i Katuń symbolizują historię Ałtaju. Sumer, jako stara matka, jest zawsze w domu, strzeże ogniska rodzinnego, zaś Katuń, jej córka, żywa i kapryśna, uciekła z domu, pędzi przez góry i zwalnia biegu dopiero wtedy, gdy wydostaje się na syberyjską równinę, by razem ze swą siostrzycą Biją utworzyć Ob.

Ałtaj dzieli się na chiński i rosyjski, lecz praojczyzną Ałtajczyków jest Ałtaj mongolski ze swym lamaizmem i wiarą w reinkarnację. Dlatego pewnie moi ałtajscy przyjaciele bez końca męczyli mnie pytaniami, na które nie ma odpowiedzi: „Kim jest człowiek? Co wie o sobie? Nic!". Jednego są tylko pewni, że człowiek istniał przed swoimi narodzinami i istnieje po śmierci. Wiara w reinkarnację jest u Ałtajczyków niezachwiana.

— Czym jest w waszych wierzeniach życie i śmierć? — pytam Pasleja.

— To dwa momenty przeistoczenia.

— Materialiści twierdzą to samo.

Pasiej spogląda na mnie zdziwionym wzrokiem, a ja ciągnę:

— Życie, to przeistoczenie substancji w istotę, a śmierć — przeistoczenie istoty w substancję. A mówisz, że nam jest obca idea przeistoczenia. Nauka służy religii, a religia — nauce, która uwalnia od przesądów — próbuję żartować.

— Burzenie świątyń nie zniszczy wiary. Przemocą można tylko politykę kształtować. Nie ma na świecie takiej siły, która by potrafiła kształtować przekonania i sumienia.

— To jeszcze zależy, kto burzy, obcy czy swój. Swojemu czasami się taka sztuka z sumieniem udaje.

— Nie każde przesądy są a priori złem — Pasiej zaczyna się już złościć. — Wiara w naturę, jako Boga, przez długi czas chroniła ją od zniszczenia, a ty widzę podzielasz myśli turgieniewskiego Bazarowa-nihilisty, że przyroda to nie świątynia, lecz warsztat pracy człowieka. Skutki widzimy obaj — przyroda ginie.

Nie dostrzegamy, że wtargnęliśmy głęboko w przeszłość, że niezbyt uczciwie wykorzystujemy dla obrony swych poglądów zamierzchłe i trudne do udowodnienia wartości, a zarazem lekceważymy wszystkie znaki ostrzegawcze, iż podchodzimy do tematów „tabu".

Pasiej ma zacięty wyraz twarzy, przypomina w tej chwili swych groźnych scytyjskich przodków — długi garbaty nos, wysokie czoło, nad którym wznosi się grzywa prostych czarnych włosów, opadających aż na szyję. Rumak stepowy z wielkimi podłużnymi oczyma pod krechami upartych brwi.

— Pan mógłby pozować do portretu Sawmaka, wodza Scytów — powiedział mu syn znanego malarza Mikołaja Rericha, sam zresztą również malarz. Rerich niedawno przebywał w Moskwie podczas dni kultury indyjskiej. Pasiej Samyk podarował mu swoją książkę o Ałtaju.

— Widzę nawet jakieś podobieństwo imion: Samyk i Sawmak.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem Pasleja, myślałem, że mam przed sobą ałtajskiego szamana. Było to wczesnym rankiem, w pieredielkińskim parku. Pasiej rozmawiał wtedy z niebem, z kosmosem. Zdjął buty i bosymi stopami zagłębił się w mokrą od rosy trawę. Ręce, które przy jego niewysokim wzroście wydają się niezmiernie długie, wyciągnął do nieba, dłońmi ku górze i stał nieruchomo przez kilka chwil. Mógłby chyba unieść się i polecieć ku słońcu.

— Niestety, szamanów naszych dawno już nie ma — z żalem rzekł Tanyspaj, gdy o tym rozmawialiśmy. — Ostatni zginął w 1934 roku. Złapano go i przywiązano za nogi do wozu, zaprzężonego w trójkę koni. Konie pogalopowały po kamienistej górskiej drodze...

W nocy miałem straszny sen. Nie znajdowałem się w górach, ale stałem na takiej wysokości, że widziałem wokół siebie ogromną przestrzeń. Pagórki, płaskie wyżyny pokryte dziwną zielenią lasów, czarne, wijące się rzeki, a w górze niby niebo, szare, bez jednej chmurki. Tylko nad samą moją głową tkwiła jakaś biała elipsa, jak pierścień wokół Saturna. „Co to jest?". I ktoś odpowiedział mi moim własnym głosem: „To nowa orbita Ziemi". „Przecież umrzemy wszyscy, jeśli Ziemia zmieni swoją orbitę". I znów mój głos oderwany od mojego jestestwa rzekł: „Nie bój się, wszyscy przeistoczymy się w nowe, inne od ludzi, istoty". Cała przestrzeń dokoła pełna była mknących w moim kierunku jeźdźców. Na ich piersiach jak latarki świeciły gwiazdy. Gdy zbliżyli się, zobaczyłem, że to Turkijczycy. Nic mi się nie stało, byłem jak powietrze, popędzili przeze mnie w kierunku białej elipsy...

Baszkir Szamil Anak zna pięć turkijskich języków, w tym praturkijski, czyta również po arabsku. Siedzi nad swymi starymi księgami i tłumaczy mi je na rosyjski. Zadarty nosek i ironiczne usta czynią go podobnym do satyra i filozofa zarazem. Zbyt jestem ciekaw tych ksiąg, by mu oponować, gdy zapalczywie wygłasza niedorzeczności. Wiem, że obrazi się zaraz jak małe dziecko. Słucham więc jego tasiemcowych monologów bez protestu.

— Gdzie się podzieli twoi Turkijczycy, jeśli ich było tak dużo?

— Jak to gdzie? Żyją wokół nas, inaczej się tylko nazywają. Przypatrz się dobrze, czy wszyscy Rosjanie to Słowianie.

Pytania moje Anak tolerował, nie cierpiał tylko, gdy się cokolwiek z jego mądrości podawało w wątpliwość. Ciągle wracał do tego, że Europa jest cała turkijska, tylko nie chce się do tego przyznać. Tołstoja oskarżał na przykład o to, iż swoją filozofię niesprzeciwiania się złu zapożyczył od Tatarzyna Gajnana Wajsowa, ojca duchowego „Bożych Wojowników" — bractwa sufistów.

Nawet nie próbowałem przeczyć. W końcu akurat fatalizm Tołstoja, wynikający z teorii o niesprzeciwianiu się złu, najbardziej mnie u niego irytuje. Bractwo sufistów, niegdyś głoszące tolerancję, dawno już przeszło na pozycje walki o „swoją" prawdę. Mówi się, że w czasach Rewolucji Październikowej żyło ich w granicach Rosji około trzystu tysięcy. Podobno pomagali Armii Czerwonej w walce z Kołczakiem, służyli w lazaretach. Carat ich nie uznawał jako sekty religijnej, może mieli nadzieję, że rewolucja ich przygarnie? Ilu może ich teraz być w ZSRR? Przejrzeliśmy z Anakiem wszystkie encyklopedie, jakie były w pieredielkińskiej bibliotece, lecz „Bożych Wojowników" nie znaleźliśmy. Wszędzie były „boże krówki". Oczywiście brak sufistów w encyklopediach nie świadczy jeszcze, że ich wcale nie ma. Sufa — to włosiennica, sufiści byli ascetami. Jak podawał Igor Bielajew w swym artykule „Islam a polityka" (Litieraturnaja Gazieta nr 20—21/87) obecnie sporo się o sufistach pisze na Zachodzie. Czyżby uważano ideologię tego bractwa za tak atrakcyjną?

Zainteresowałem się Koranem. Dostrzegłem w nim zlepek z neoplatonizmu, panteizmu, mahometanizmu i chrześcijaństwa. Koran za Platonem dzieli wszechświat na siedem niebios, mówiąc prościej, jakby siedem pięter. Na siódmym niebie przebywa Allach. Sam Koran też pochodzi z siódmego nieba, skąd został doręczony Mahometowi. W niebiosach mieszkają skrzydlate mityczne hybrydy o twarzach ludzi, a ciałach — byków. Jest to zresztą wyraźnie zapożyczone od Asyryjczyków. Dopiero w siódmym niebie stwory te stają się całkowicie podobne do ludzi.

Anak unowocześnia Koran, wprowadza zamiast niebios spiralę o siedmiu zwojach. Zamienia skrzydlatych aniołów w gwiazdy. Gdy spirala się wyprostuje, a gwiazdy staną w jednym szeregu, nastąpi koniec świata. W czytelni Domu Pracy Twórczej Anak wystąpił z prelekcją o Wszechświecie według Koranu. Dyskusja była zażarta, ale nikt go nie przekonał, pozostał przy swoim.

Zadziwia popularność Koranu. Czym wytłumaczyć, że jego wyznawcami stały się byłe centra chrześcijaństwa, te tereny, gdzie właściwie chrześcijaństwo powstało, jako światopogląd? Można by mniemać, że głębia myślowa Koranu jest większa niż to, co przekazali nam myśliciele Indii, Grecji czy Rzymu. Że daje on wreszcie odpowiedź na pytanie o istotę życia, o prawa Natury i o przyszłość Świata. Nic takiego w nim nie ma. Dlatego Anak modernizuje Koran. Wydaje się, że sekret wpływu Koranu jest dość prosty. Gdy szła twarda walka z herezją w chrześcijaństwie Koran okazał się bardziej przystępny, jako pewien system logiczny. Uspokajał, obiecywał wieczne szczęście. Mahometanizm zaczął swój pochód z Półwyspu Arabskiego, gdy świat wokół był tylko chrześcijański lub pogański. Przyciągał zwolenników swą tolerancyjnością wobec innowierców, którzy uznali Allacha. Wielu chrześcijan miało już dosyć tyranii i dyktatu ortodoksyjnych dogmatyków. Dlatego też szybko zapanował na Półwyspie Arabskim i zaczął swój pochód na zachód.

W mokrą pogodę czuję się bardzo źle, nawet w Pieredielkinie. Tanyspaj poi mnie ałtajskim „złotym korzeniem" zaparzonym razem z herbatą. „Złoty korzeń", korzeń życia, ma ponoć większą moc niż żeń-szeń. Wracamy do stałego tematu naszych rozmów. Ekologia, kosmos, przyszłość planety, kosmiczna etyka. Jeszcze tego ostatniego hasła nie ma w encyklopediach, nie wyodrębnia tego pojęcia również filozofia. Tylko literatura dostrzegła już ten problem. W powieściach science fiction nie roztrząsa się zagadnień technicznych, główny ich wątek — to problemy moralne. Ekstrapolacja naszych niepokojów w świat fikcyjnej przyszłości, po to, by właśnie na nich zogniskować uwagę czytelnika. Niestety, ten „krzyk" literatury trafia w pustkę. Świat jakby ogłuchł. Dobro i Zło zdewaluowały się jako wartości. Gdy pada argument, że coś jest Dobrem dla człowieka, zaraz ze wszystkich stron słychać pytania: „Jakiego człowieka? Naszego czy obcego? Po tej czy po tamtej stronie granicy? Wierzącego w naszego Boga czy w innego?" Manicheizm ze swoim rozgraniczeniem Dobra i Zła został sprowadzony z wyżyn absolutu do poziomu naszego jednostkowego egoizmu, stając się naszą zgubą. Malthus uważał, że wojna między narodami jest zwykłym procesem selekcji naturalnej. Mahomet orzekł, że kluczem do raju jest miecz, którym trzeba zabijać wszystkich „niewiernych". Chrześcijaństwo też mówi o „wybrańcach Boga". Można do tego dodać jeszcze doktryny filozoficzne, ideologiczne... Jakby miejsca pod słońcem było za mało i brakowało powietrza...

Akropolu nie da się opisać, to trzeba zobaczyć

Grecja nie oszałamia bogactwem

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Było już późne popołudnie, gdy zatrzymaliśmy się przed granicznym szlabanem. Upał wciąż dokuczał. Wydawało się, że tego dnia spiekocie nie będzie końca. Dopiero zmierzch i lekki przedwieczorny wiatr, przyniosły nieco ulgi. Stoimy do wieczora.

Nie znoszę jazdy nocą, lecz przy tej temperaturze zaczyna mi być wszystko jedno. Najpierw jedynie drzemię, aż wreszcie zasypiam na siedząco.... Wczesnym rankiem zatrzymujemy się na parkingu przed kempingiem Apollo. Czekamy do siódmej aż otworzy się bramka. Na greckich kempingach, w przeciwieństwie do jugosłowiańskich czy włoskich, rygorystycznie przestrzega się godzin ciszy nocnej, tym bardziej jeśli zamierza się ją zakłócić głośnym autokarem.

Tuż po wschodzie słońca widoczność w kierunku Olimpu jest dość dobra. Za dnia jest znacznie gorzej. Chociaż dopiero od strony Zatoki Termajskiej, gdy odpłynie się nieco od brzegu, można w pełni podziwiać imponujący masyw.

Kemping pod Litohoro ma kilka osobliwości.

Klimat tutaj nieznośny. Czterdziestostopniowy upał towarzyszył nam w wędrówce przez całą Grecję, do niego w końcu zdołaliśmy się przyzwyczaić. Lecz bardzo duża wilgotność na Apollo była trudna do zniesienia. Prawie tropik. Wieczorem śpiwory, leżące przez cały dzień w namiocie wilgotne niczym w Bieszczadach. Ręczniki na sznurku pomimo słońca, nie schną. Podobnie nasze ciała, przez cały dzień lepkie, wilgotne.

Na Apollo, jak i w sąsiedztwie atmosfera bardzo swojska. Co drugi prawie to Polak. Rozmowy konkretne, o tym jak idzie interes a na przywitanie mała kłótnia. Bo gdzie jak gdzie, ale na wczasach w Grecji chciałoby się żyć przestrzennie, z wygodami, a tu tłok i ścisk, że trudno przejść między namiotami, aby o który nie zawadzić, szczególnie wieczorem. W końcu dochodzimy jednak do porozumienia. Okazuje się, że dróżki wyjazdowe dla aut nie są potrzebne, bo nikt się tu przez tydzień z miejsca nie rusza. A więc rozbijamy się.

Późnym popołudniem senna atmosfera kempingu zdecydowanie się ożywia i to niekoniecznie za przyczyną spadku temperatury. Na turystycznych stolikach i maskach polonezów czy fiatów rodacy wykładają, co tylko kto ma na zbyciu. Z pozoru wygląda to na przedwieczorne porządki w bagażniku samochodu lub namiocie. Po jakimś czasie pojawiają się Jugosłowianie, rzadziej Grecy....

— *Co to za handel, tyle co trochę tych drobiazgów człowiek upchnie... Po co wieźć to z powrotem. Każdy zielony się przyda, bo gdyby chcieć tu przyjechać za rok, to za co?* — tłumaczy sąsiad z prawej, ten, który przestrzegał przez prusakami wychodzącymi wieczorem z kanalika wodnego (nie zauważyłem).

Przytakuję mu ze zrozumieniem.

— *Nikt tu przecież nikogo nie okrada, uczciwy zarobek, nie ma się co wstydzić* — dodaje drugi sąsiad. — *A w przyszłym roku też chciałoby się pojechać tam, gdzie morze ciepłe i woda czysta, pogoda pewna, no nie. Kogo, panie, stać na drogie wczasy w kraju w deszczowy, lipiec albo zimny sierpień, i to w byle jakich warunkach?*

Od czasu do czasu zagląda na kemping policja. Zdarzają się awantury. Władze greckie nie przepadają za zarabiającymi na dziko. Właściciele kempingów chcą, aby wilk był syty i owca cała, no i interes kwitł. Bywa, że ostrzegają naszych, nalegają uprzejmie, aby handlować dyskretnie, nie narażając siebie i ich. Większość to rozumie...

W drodze powrotnej znów zawitaliśmy w okolice Litohoro. Dobiegała końca włóczęga; czas na jakieś zakupy. Pojechaliśmy do pobliskiej Katerini. Miasteczko ponad 30-tysięczne, ośrodek administracyjny. Zabudowa współczesna, ale bardzo ładna. Ulice nie za szerokie, kilka małych, przytulnych, trójkątnych placyków.

Przy głównej ulicy w każdym ze sklepów marmurowy próg, a przed nim wycieraczka. Wokół czysto, schludnie. W środku klimatyzacja i klientów jak na lekarstwo. Towaru tyle, że „Central" mógłby pozazdrościć. Szukamy sklepu, w którym sprzedano by nam za dolary (bank już nieczynny, a poczty długo nie możemy znaleźć). Żona targuje się dość długo i skutecznie. Mnie na tego rodzaju zakupy brakuje cierpliwości. Ale tak trzeba, taka tu kultura i tradycja. Gdy kupujemy nowoczesny aparat telefoniczny, biorą nas za Jugosłowian (tam one mają najlepsze „przebicie"). Prostujemy: — Polonia.

— *Aaa* — przeprasza uśmiechem właściciel, dodając jednym tchem — *Jaruzelski? Wałęsa?...*

Pomarańcze też kupujemy o 20 drachm taniej. Dziwne, że w tej Grecji wszystkim się opłaca targować, być uprzejmym, cierpliwym i uśmiechniętym, a u nas jakoś nikomu nic.

Podróż nocą, tym razem przez Tesalię, Grecję Środkową do Aten.

Przesypiam Termopile. Ktoś potem pociesza mnie, że nie ma czego żałować, że tamtych Termopil już nie ma, że podczas budowy nowej drogi wysadzono skały, poszerzono przesmyk między morzem a górami. Być może i co z tego?

Starożytnej Grecji też już nie ma. Zostały legendy, mity, historyczne przekazy i ruiny. I tam nas ciągnie.

Kiedyś ktoś zawołał z troską: co ocaleje, jeśli Rzym ginie? Czy pamiętał, że wcześniej podobny los spotkał Sumer i Egipt, a potem żałobą okryła się dumna Atena? Dopiero wiele setek lat później Roma capta ...i kolejne imperia. Tak było, jest, i tak już zapewne zostanie. A więc mimo wszystko, nawet dziś, żałuję tamtych Termopil.

Jeden z moich znajomych powiedział, że zwiedzanie starożytnych pamiątek, szczególnie w Grecji, przypomina mu błąkanie się po cmentarzach, tych najstarszych, o powalonych pomnikach i zatartych tabliczkach. Może coś w tym jest.

Otwieram zaspane, zmęczone niby-snem oczy. Cała noc spędzona w autosanie, przypomina drzemkę w dybach. To już przedmieścia Aten. Luźna zabudowa, dwu- i trzykondygnacyjne domy, tylko czasami wyższe. Na dole sklepy, warsztaty, salony samochodowe i biura, od czasu do czasu restauracje czy pizzerie z ogródkami. Na dachach wielkie, kolorowe reklamy. Prawie na każdym domu. Robi to na mnie niemałe wrażenie. Czytam jedną po drugiej, a potem już tylko co któraś. Dominują firmy amerykańskie, sporo też japońskich. Udało mi się także trafić na szyldy Łady i Skody.

Błąd w pilotowaniu kierowcy i pchamy się przez centrum miasta. Na niektórych ulicach niczym na Wschodzie, wydaje się, że cały towar wystawiono na chodniku. Mnóstwo sklepów i warsztatów, supermarketów raczej niewiele. Na Leoforos Amalias, po lewej, mijamy park Zapion, a dalej Łuk Hadriana, po prawej, przez moment, w dalekiej perspektywie mignął nam Akropol.

Jesteśmy już na drodze do Faleronu, jednego z trzech portów Aten. Teraz autostrada biegnie tuż przy Zatoce Sarońskiej aż do Voula. Port handlowy w Faleronie bardzo malowniczy, dalej ciągną się liczne przystanie żaglówek. Pomiędzy autostradą a plażą kilkukilometrowy bulwar, wysadzany palmami i platanami.

Grecja nie oszałamia bogactwem, nie jest to czołówka EWG, ale też nie widziałem, aby straszyła nędzą, raczej zadziwia schludnością (biorąc choćby pod uwagę klimat) i porządkiem. Tu nie trzeba, jak to bywa w Rumunii czy Bułgarii, obawiać się złodziei na ulicy czy kempingu. Nie widać też wielkich fabryk, czy kombinatów, dominują małe firmy, nawet warsztaty. Trochę drażni wszędobylska reklama, która przypomina natrętnie, że znaczna część kapitału współczesnej Hellady, to głównie amerykański biznes.

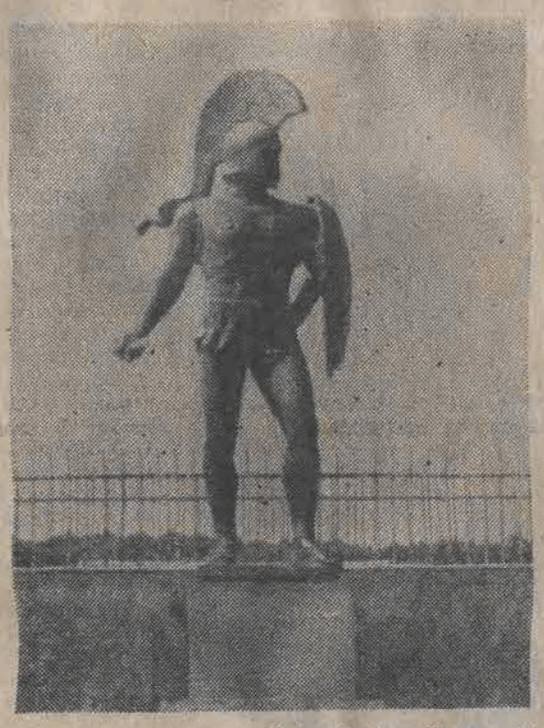

Foto: Dariusz Starzewski

Nazajutrz jedziemy do Aten.

Nasze spotkanie z tym miastem rozpoczynamy od długiego spaceru w okolicach parku Zapion. Wziął on nazwę od pałacu wystawowego. W alejce, tuż obok pałacu, dojrzewały na drzewach mandarynki. Choć to już pora sjesty, w sąsiadującym z Zapionem, dawnym Królewskim Ogrodzie sporo spacerujących i odpoczywających na ławkach, nawet z plecakami. Bez trudu odnajdujemy gmach parlamentu. To centrum Aten, naprzeciw Plac Konstytucji. Nie opodal jest ulica Leoforos Wasilisis Sofias, od której zaczyna się dzielnica ambasad. Nowoczesna architektura wspaniale komponuje się z południową roślinnością. Wracając, spotykamy żołnierzy idących na zmianę warty przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Wracamy prędko pod parlament. Zmiana warty to ceremonia jedyna w swoim rodzaju. Hołd poległym składają niezwykle rośli chłopcy, ubrani w stroje dawnych wojowników z gór Epiru. Białe spódnice, czerwone czapy, grube spodnie (wszystko nie pasuje do klimatu) i buty z pomponami podbite specjalnymi gwoździami. Nietypowy jest krok żołnierzy, a sam rytuał paradny oglądamy jak na zwolnionym filmie. Podobny ceremoniał odbywa się na sąsiedniej Irodu Atiku, przed dawnym pałacem królewskim.

Wcześniej byliśmy pod Łukiem Hadriana, wzniesionym w II w.n.e. Od strony zachodniej, w kieruku Akropolu napis na Łuku, głosi: *„Oto Ateny — starożytne miasto Tezeusza"*, a od wschodu, w stronę świątyni Zeusa, wyryto: *„Oto miasto Hadriana"*. On to właśnie, cesarz Hadrian, ukończył budowę świątyni Zeusa Olimpijskiego, które to dzieło rozpoczął był jeszcze Pizystrat w VI w. p.n.e. Dopiero gdy stanie się pod jedną z kilku ocalałych kolumn (pierwotnie było ich 104), podziwiać można w pełni ogrom i kunszt starożytnej sztuki budowlanej. Piękny stąd widok na Akropol i bardziej odległe wzgórze Likawitos, na którego szczyt prowadzi kolejka. Dla niektórych wstęp do Olimpionu kosztuje za drogo (200—300 drachm). Obfotografowują świątynię od strony Łuku Hadriana zza żelaznego parkanu...

Zmęczeni wracamy na kemping do Voula. Autobus miejski jedzie jakby szybciej niż zwykle. Jeszcze trwa sjesta. Ulice Aten prawie puste. Jeżdżą tylko autobusy i taksówki. Upłynie trochę czasu nim oswoję się z widokiem wyludnionego po południu miasta.. Prędko gotujemy coś ciepłego na obiado-kolację. Wracamy znów do Aten, tym razem na wzgórze Pnyks, w starożytności miejsce zgromadzeń ludowych. Tu stanowiono prawa za czasów tak sławnych trybunów, jak Arystydes, Temistokles, Perykles czy Demestenes. Dziś odbywają się tu imprezy pod nazwą światło-dźwięk.

Dochodzi godzina dwudziesta pierwsza, wszyscy już siedzą w rzędach drewnianych krzeseł. Powoli gasną lampy na wzgórzu. W dole coraz więcej świateł. Za nami, na wzgórzu Nimf, ginie w mroku prędko zapadającego wieczoru budynek obserwatorium astronomicznego. Gdzieś tam w pobliżu był barathron, skalista przepaść, do której strącano przestępców skazanych na śmierć. Zapalają się kolorowe reflektory oświetlające Akropol. Z głośnika, po angielsku, snuje się historia Aten ilustrowana fragmentami starożytnych dramatów...

Jest niedziela, od wczesnego rana w morzu. Woda jeszcze chłodna, ale przyjemna. Trochę pływamy, a potem dołączamy do Polaków grających w wodzie w piłkę.

— Jesteście z tego pekaesu, który przyjechał wczoraj wieczorem? — upewniamy się, przedstawiając się zrazu, że my z Łodzi.

— *Nie. Przyjechaliśmy z „Gromadą", pół roku temu* — wyjaśnia jeden z rodaków i kontynuuje: — *My z kolegą z Warszawy, emigracja. Czekamy na wyjazd do Kanady.*

— Dużo tu emigrantów, takich jak wy? — pytam z ciekawości.

— *W Atenach 5 tysięcy. Tworzymy katolicką kolonię. Polski ksiądz przyjechał już na stałe. Dziś niedziela, to możemy się wykąpać, normalnie to o tej porze pracujemy.*

— Ile?

— *Sześć, ale i dwanaście godzin dziennie. Jak się chce zarobić...*

— I co dalej?

— *Jedni czekają na Stany, inni na Kanadę czy Australię. To emigracja zarobkowa, politycznych tu nie ma. Ci wylatują stąd na greckich paszportach. Mało kto tak kombinuje. Nie opłaca się* — wyjaśnia drugi z rodaków.

Gramy dalej w piłkę, rozmawiamy. Przypadkowo spotkani rodacy opowiadają chętnie o sobie, o innych. Czas upływa im na czekaniu i pracy. Ci dwaj są malarzami pokojowymi. W kraju byli... Czy to ważne? Są wśród nich lekarze, weterynarze, docenci i urzędnicy, przeważnie ludzie wykształceni. Nasi znajomi wynajmują mieszkanie, innym żyje się gorzej. Bywa, że czasami rodzina prześle paczkę przez kogoś z wycieczki. Żyją tak sobie, w oczekiwaniu na bilet za wymarzony ocean.

Niewielką grupką jedziemy na Akropol.

W autobusie luźno. Nikt by nie poznał, że my z trampingu. Nasze panie w odświętnych, łódzkich ciuchach, prezentują się lepiej niż tutejsze. Wszystkie w szykownych, modnych, słomkowych kapeluszach. Dojeżdżamy do Zapionu, stamtąd dalej idziemy pieszo. Na Dionisiu Areopajitu, którą to ulicą wspinamy się od Łuku Hadriana na Akropol, jest sporo kawiarni i restauracji z ogródkami. Przed każdym z lokali kelnerzy uprzejmie zapraszają do środka, rozdając reklamowe ulotki typu: *„Achillion: restaurant-pizzeria-spagheteria-cafe-gallateria"*. A poniżej: *„To day Greek specialites"* w cenach od 110 do 500 drachm...

Szczegółowy opis miejsc zwiedzanych na Akropolu mija się z celem. Tam trzeba po prostu być. Trzeba się wspiąć na wzgórze szlakiem dawnej drogi świętej, przejść przez ocalałe fragmenty doryckiej bramy, zwanej Propylejami i wejść na obszerny dziedziniec, szczyt wzgórza, na którym nie ma już pomnika przesławnej Ateny z włócznią i tarczą. Ponad wielkim placem ruin dominuje monumentalna, wciąż jednakowo zachwycająca kolumnada Partenonu. Pomimo piekielnego słońca obchodzimy całe wzgórze prawie rytualnym krokiem. W dole, u podnóża wzgórza, od strony południowej — ruiny teatru Dionizosa. Na stokach, obok Odeonu kwitną agawy.

Daleko na horyzoncie widać morze. Gdy się tu stoi, nietrudno dać wiarę owej legendzie o Ajgeusie, który oczekując niecierpliwie powrotu syna, Tezeusza z Krety, ujrzawszy przez pomyłkę rozpięte czarne żagle, rzucił się ze skały. Od strony północnej, tam gdzie krużganek Erechtejonu podpiera zamiast kolumn sześć kariatyd (marmurowych dziewic), rozciąga się widok na Areopag oraz Agorę z Tezejonem. Gdzieś tutaj właśnie, głównie od północnej strony Akropolu, gdzie w dole słynna Plaka, stały kiedyś budowle prehistoryczne sprzed 2500 lat p.n.e, a potem wcześniejsze, archaiczne datowane na 750—480 p.n.e.

Jest więc Akropol, poza wszystkim, miejscem nie mającym sobie podobnego na starym kontynencie, w którym przez tysiąclecia następujące po sobie kultury i cywilizacje wznosiły pomniki swojej świetności i chwały. Nic więc dziwnego, że wciąż tak zachwyca i jednaki budzi podziw kolejnych generacji. Na tym pięknym, skalistym wzgórzu uświadamiamy sobie raz jeszcze nie tylko nieuchronne przemijanie czasu: lat, epok i tysiącleci, ale również i fakt, że nie wszystko przepada w mrokach zapomnienia, że każde wartości autentycznie cenne składają się na ogólnoludzkie dziedzictwo. Cząsteczka świata, który przeminął setki lat temu, obecna jest w naszej świadomości podobnie jak w chromosomach kryją się geny praprzodków z długiego łańcucha DNA.

Wracamy przez malowniczą Plakę. Wąskie, ocienione uliczki, miniplacyki, na których rozkładają swoje dzieła rękodzielnicy, małe ogródki restauracji, no i sklepy, wystawy, reklamy oraz pamiątki, obrazy i ciuchy, wszystko w niewiarygodnych ilościach na maleńkiej przestrzeni. Nie ma wielkiego gwaru i tłoku. Jest za to niepowtarzalna atmosfera, której nie sposób opisać, jak muzyki, to trzeba usłyszeć będąc wpatrzonym w cudowny pejzaż wąskich uliczek, gdzie od wieków tradycja sąsiaduje ze współczesnością. A urzeka jedno i drugie...

Zapada zmierzch. Nie drażni już ryk przelatujących w stronę lotniska samolotów. Tylko cykady wciąż koncertują niestrudzenie od wczesnego południa po późny wieczór. Morze uspokojone, ciche, bez fali.

Jedziemy na Peloponez.

Niewiele jest takich zakątków w Europie, skupiających na tak małej przestrzeni, tak wiele miejsc godnych zwiedzenia. Przepiękne są też peloponeskie pejzaże. Pierwsze miasto, które odwiedzamy to Korynt. Widziałem trzy Korynty. Najpierw ten przy kanale. To jedna, długa ulica, a przy moście: kilka kiosków z pamiątkami, straganów i ze trzy sklepy, dwa bary. Główna atrakcja to maleńki holownik przeprawiający przez kanał wielki, oceaniczny statek. To robi wrażenie. Kilka kilometrów dalej leży nowy Korynt. Proste, szerokie ulice, port i bulwary wysadzane palmami. Nowocześnie i schludnie. Stąd do starożytnego Koryntu jeszcze 5 kilometrów. Po sławnym niegdyś (nie tylko z cór) mieście niewiele ocalało: resztki murów, fragment największego niegdyś w Helladzie teatru, stadion i ruiny świątyni Eskulapa. Ponad ruinami i małym współczesnym osiedlem z dwoma tawernami przy trójkątnym placyku dominują, widoczne z daleka, ruiny Akrokoryntu z murami bizantyjskiej twierdzy.

Na Peloponezie swój niepowtarzalny urok mają także niziny i głębokie kotliny. Otaczają je góry, to o rzeźbie łagodnej, kopulaste, porośnięte zielenią po same szczyty, to nagie i białe, o porwanych stromych graniach i przepastnych ścianach. Na zboczach wzniesień rozsiadły się winnice i gaje oliwek przetykane smukłymi cyprysami, to znów sady czereśniowe lub pomarańczowe. Trawa złota i sucha, spękana, spalona słońcem ziemia uparcie zraszana jest wodą. Powietrze tak gorące, że pali w gardle jak spirytus.

Zdążamy do Argolidy, ojczyzny Achajów, po których pozostały pamiątki sięgające drugiej połowy II tys. p.n.e. Okres największego rozkwitu potęgi władców achajskich przypada na XVI do XII w. p.n.e.. Wówczas to najprawdopodobniej w Mykenach rządziła sławna dynastia Atrydów. To stąd, od Myken zaczyna się historia starożytnej Grecji po Karach i Pelezgach.

Najpierw zaglądamy pod kopułę Grobu Agamemnona czyli Skarbca Atreusa. Wspominamy poemat Słowackiego i tragedię legendarnego wodza spod Troi. Wreszcie jest czym oddychać, ale przecież nie będziemy tu nocowali. Na zewnątrz powietrze rozgrzane jak przy gardzieli hutniczego pieca. Wolno wspinamy się drogą wiodącą wzdłuż starożytnych murów. Pauzaniasz, pisarz i podróżnik z II w. n.e. sugerował, że pierwotny mur Myken, to dzieło cyklopów, jednookich olbrzymów, sądząc, że tych rozmiarów kamiennych bloków nie ułożyła ręka ludzka. Skręcamy i po przejściu kilkunastu metrów wzdłuż kamiennej rampy, przechodzimy pod słynną Lwią Bramą. Z wielkim trudem wspinamy się na szczyt wzgórza, na którego zboczach, tarasowo rozsiane są ruiny mykeńskiej akropoli. Na wysokości ruin pałacowego dziedzińca zaskakuje nas orzeźwiający poryw wiatru, stanowi on zachętę do dalszej wspinaczki. Ze szczytu, gdzie stoją ruiny doryckiej świątyni Ateny, widok wprost wspaniały. Wynagradza on wszystkie trudy. Pod nami Argolida, legendarna ojczyzna Atrydów. Ich zwycięstwo spod Troi było ostatnim dniem świetności Myken. Odtąd datuje się już schyłek tej starożytnej potęgi. Pozostały smutne ruiny, jak skorupy potłuczonego pucharu, z którego już nikt nie zdoła rozkoszować się smakiem wina, które pił waleczny Agamemnon.

Jeszcze o Epidauros, najsłynniejszym w starożytności uzdrowisku. Czczono tu boga Asklepiosa i co pięć lat urządzano święto na jego cześć. Leczono m.in. snem i ziołami. To stąd podczas epidemii w 293 roku p.n.e. sprowadzono do Rzymu węża poświęconego Asklepiosowi, wierząc w jego cudowną moc. Po tamtych czasach świetności pozostał jedynie dobrze zachowany teatr hellenistyczny. Warto zatrzymać się tu na dłuższą chwilę. Choć nikt już do Epidauros nie przyjeżdża na kurację, to atmosfera wciąż tu szczególna. Klimat łagodny, a okoliczne wzgórza tworzą pejzaż specyficznie piękny. Jest coś w powietrzu i otoczeniu, co uspokaja, dodaje sił. Może to tylko złudzenie, wpływ legendy, a może magia historii?

Tylko zachodnie brzegi Peloponezu posiadają piaszczyste plaże. Od strony Zatoki Sarońskiej brzeg jest skalisty, góry zdają się spadać wprost do morza, tworząc malownicze zatoczki. Wzgórza tu zielone, porośnięte gęstym lasem piniowym. Ziemia czerwona, spękana w grudach. Na przedmieściu miasteczka gaje oliwne i sady mandarynkowe. Pachnie rybami i jakby suszonymi figami.... Myślimy o jutrze, o podróży samolotem, o Łodzi. Tak to już jest, doświadczam tego za każdym razem, że od dnia kiedy zawracamy w podróży, chciałoby się już być w domu jak najprędzej.

Z rynku

Z zakupami towarów konsumpcyjnych nieżywnościowych ciągle mamy trudności. Gdy więc, po krótszych lub dłuższych, ale zawsze uciążliwych staraniach uda nam się zdobyć buty, telewizor czy maszynkę do mięsa — obchodzimy się z tym przedmiotem łagodnie i delikatnie, starając się, aby nam służył jak najdłużej. Tym większa więc ogarnia nas irytacja — gdy buciki, pozornie wyglądające całkiem nieźle, okazują się niezdatne do chodzenia, maszynka nie miele mięsa, a telewizor, mimo wysiłków mechaników, nijak nie daje się uregulować, albo nawet po miesiącu użytkowania kończy swój żywot efektowną eksplozją — czyli, gdy zamiast poszukiwanego towaru nabyliśmy po prostu bubel.

W zależności od własnej wytrzymałości nerwowej — a także od ceny towaru (można bowiem machnąć ręką na byle jakie domowe kapcie za 400 zł, ale nie można — na telewizor za kilkadziesiąt tysięcy), rozpoczynamy znowu wędrówki po rozmaitych instytucjach, w związku z reklamacjami. Niekiedy udaje się tę przykrą sprawę załatwić od razu, w sklepie, gdzie nabyliśmy wadliwy towar, ale nie zawsze tak się dzieje...

Niezależnie jednak od strat i kłopotów wynikających dla indywidualnego nabywcy z powodu nabycia towaru złej jakości — straty z tego tytułu ponosimy wszyscy, całe społeczeństwo, w tym także producent bubla. Przy trudnościach, z jakimi borykają się zakłady, ciągle występujących na rynku brakach rozmaitych towarów, sprawy związane z jakością nabierają szczególnej wagi. Wydawałoby się, że wszystkim powinno zależeć na tym, aby żadne surowce nie marnowały się — przekształcając się w kolejnych fazach obróbki w bubie. Tymczasem — dane z rozmaitych kontroli świadczą o zjawisku przeciwnym — ilość towarów złej jakości we wszystkich branżach stale rośnie i powoli dosłownie zalewa rynek. Nie straszą nas co prawda puste półki w sklepach, ale — bogactwo towaru jest pozorne. Wszelkie próby obrony przed tym zjawiskiem, podejmowane (chyba zbyt nieśmiało?) przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług, organizacje handlowe, instytucje kontrolujące i organizacje społeczne nie odnoszą oczekiwanych skutków.

O rozmiarach zjawiska najlepiej świadczą liczby — oto kilka z nich dla przykładu (wszystkie dane liczbowe podaję za Federacją Konsumentów).

W czasie kontroli prowadzonych w branży włókienniczej — kontrolowano zarówno producentów, jak i gotowe wyroby znajdujące się już w handlu — sytuacja przedstawiała się wstępnie nie najgorzej. Kontrola tzw. metodami organoleptycznymi wykazała, że tylko 3,5 proc. produktów z badanych partii nie odpowiada normom jakościowym. Gdy jednak towary trafiły do dokładniejszych, laboratoryjnych badań, odsetek złej jakości wzrósł do 61,4 proc.

W tak znanych i cieszących się doskonałą renomą zakładach jak „Uniontex" — na 15 przebadanych partii, 13 okazało się wadliwych. Ponadto okazało się, że zakład ten przekazał do handlu wiele wyrobów o jakości niższej niż deklarowana. Równie źle wypadły zakłady „Merinotex", gdzie kontrola objęła 100 proc. towarów — w jej wyniku 34 proc. produkcji przekwalifikowano do niższego gatunku.

Nie lepiej było w innych zakładach wełnianych, bawełnianych, konfekcyjnych i dziewiarskich. Okazało się, że 39,2 proc. wyrobów dziewiarskich i pończoszniczych oraz 46,8 proc. wyrobów odzieżowych — to towary o obniżonej jakości.

Najczęściej wykrywane wady to: mało staranne wykonanie operacji technicznych, niedoszycia, krzywe wykroje, dziury i zabrudzenia. A więc żaden „kolega" tu nie zawinił — błędy powstały w wyniku własnego brakoróbstwa — a na skutek braku kontroli buble trafiły na półki sklepowe.

Nie lepiej jest w branży obuwniczej. Lawinowo wzrasta ilość uznanych reklamacji klientowskich, czemu dziwić się trudno, skoro instytucje kontrolne stwierdzają, że 41 proc. badanego obuwia nie odpowiada normom. W takim gigancie przemysłowym, którego produkty nosi na nogach niemal „pół Polski" jak „Chełmek" — wadliwa produkcja to 46 proc. wyrobów ogółem! I znowu — trudno tłumaczyć się, że zakłady produkują złe obuwie, bowiem mają złe surowce, jeśli kontrole stwierdzają, że przyczyną obniżonej jakości jest przede wszystkim niestaranność wykonania.

Dalej — w chemii i kosmetykach aż 63 proc. wyrobów nie nadaje się do zakwalifikowania jako gatunek I, w meblach 38,6 itd.

Twierdzenie, że jakość wzrośnie, gdy podaż zrównoważy popyt, także okazało się nieprawdziwe. Nawet w przypadkach takich towarów, gdzie podaż zdecydowanie przewyższa popyt, sklepy pękają od nadmiaru, a ze sprzedażą są trudności — także niemałą część towarów stanowią buble.

Obecnie, w ramach walki z zalewem bubli, Federacja Konsumentów rzuciła nowe hasło: przez jakość do ilości. Powstało społeczne Forum Jakości, wkrótce rozpocznie działalność konsumencki (a więc społeczny i niezależny od pozostałych instytucji kontrolnych i czuwających nad jakością ze strony przemysłu i handlu) Ośrodek Badania Jakości Produkcji i Usług. Czy jego działalność przyniesie efekty? Jeśli tak, to z pewnością nieprędko, nie będzie bowiem dysponował odpowiednimi bodźcami. Obecnie nawet wszystkie preferencje, skłaniające zakłady do produkcji eksportowej nie są na tyle silne, aby zakłady chociaż na eksport produkowały dobre towary. W roku ubiegłym wartość zdyskwalifikowanej produkcji eksportowej wyniosła 6 mld zł, a zwroty z eksportu w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosły o 37,4 proc., przekraczając wartość 1 miliarda zł. Skoro więc nawet za granicę nie udaje się produkować dobrze — to co tu mówić o zdecydowanej poprawie na rynku krajowym?

AGATA

Fot.: Witold Werner

Święto Owoców, Warzyw i Kwiatów

WITOLD WERNER

19 i 20 września odbyło się doroczne, dziesiąte już z kolei, skierniewickie Święto Owoców, Warzyw i Kwiatów.

Kulminacyjnym momentem święta było corso kwiatowe, w którym przedefilowało ulicami miasta kilkaset osób, poprzebieranych w barwne kostiumy. Uświetniła je sama Monika Nowosadko, czyli miłościwie nam panująca Miss Polonia. Rozdawała autografy na prawo i lewo i gdyby nie zdecydowana postawa stróżów porządku publicznego, miałaby spore kłopoty, aby wydostać się z rozentuzjazmowanego tłumu.

Wspaniała zabawa trwała dwa dni. Na estradach występowały zespoły ludowe z NRD, Związku Radzieckiego i Polski, dla najmłodszych był zespół Tik-Taka ze swym stałym, niezmiennym programem i aktorzy Teatru Jaracza, którzy zaserwowali naszym milusińskim monolog Pietrzaka i „Kwiaciarkę" Tuwima. Dzieciarnia miała ubaw co się zowie, słuchając opowieści o tym, dlaczego i w którym momencie pan rzucił panią i co ta pani ma zamiar z owym panem zrobić.

Na licznych straganach można było zaopatrzyć się we wszystko: od cukrowej waty poczynając, poprzez — oczywiście — warzywa, owoce i kwiaty, gliniane doniczki, wiklinowe kosze i ludowe kilimy, na książkach kończąc.

Kto nie był na tym wielkim jarmarku — niech żałuje. Albo niech wybierze się do Skierniewic za rok.

Masz temat dla reportera?

Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

1 października — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16,

8 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16.

Znowu pośredniczymy w dialogu między klientami MPK a kierownictwem tejże firmy. **PANI BAZYLAK** z Konstantynowa prosi o wytłumaczenie ciekawego zjawiska, które ponoć narodziło się w „konspiracji" i rozkwita zbiorowym buntem pasażerów. Otóż po wiosennych ulewach, które zniszczyły torowisko, zawieszono linię tramwajową z Łodzi do Lutomierska. Teraz tramwaj dojeżdża jedynie do granic Konstantynowa, zaś ulicami miasta kursuje zastępcza komunikacja autobusowa. Dotychczas — poza oczywistymi niedogodnościami — przesiadka z tramwaju do autobusu nie wiązała się z dodatkowymi kosztami w postaci opłat za bilet. Ale od połowy września, bez należytej informacji i uzasadnienia, przejazd autobusem traktowany jest jak korzystanie z oddzielnej linii komunikacyjnej, czyli nakłada obowiązek kasowania drugiego biletu. Wygląda więc na to, że MPK sprytnie obróciło nieszczęście w całkiem dobry interes?

Pasażerowie korzystający z przystanku na krańcówce tramwajowej przy zbiegu ulic Strykowskiej i Inflanckiej proponują dziecinnie łatwe rozwiązanie swych codziennych problemów, zależne jednakże od decyzji MPK. Chodzi o to, że nigdy do końca nie wiadomo, który z tramwajów — nr 1, 15 czy 19 (a może autobus linii 517), pierwszy wyruszy na trasę. Brak tej informacji powoduje niebezpieczne „gonitwy" po torach. Niedawno miał tam miejsce śmiertelny wypadek. Ponieważ rzeczona krańcówka jest zradiofonizowana, pasażerowie nieśmiało postulują, by zobowiązać dyspozytora do korzystania z tego nieskomplikowanego przecież, a jakże przydatnego urządzenia.

Prosimy dyrekcję MPK o stosowne wyjaśnienia.

Pracownice „Harnama" wychodzące z fabryki po drugiej zmianie lękają się okolic Parku Staromiejskiego, gdyż są tam zaczepiane i nierzadko napastowane przez doskonale ukrytych w ciemnościach osobników wiadomego autoramentu. Zmęczone kobiety muszą wracać do domu okrężną drogą. Wielokrotnie prosiły już Zakład Energetyczny o zapalenie choćby kilku bezsensownie stojących w parku lamp. Na razie bezskutecznie.

PANI JADWIGA ŁASKĄ z Wolborza jest — podobnie jak inne młode matki — mocno zaniepokojona odejściem z miejscowego ośrodka zdrowia jedynego lekarza pediatry. Wspaniała pani doktor Renata Małuszyńska musi jednak gdzieś mieszkać, a w Wolborzu nie zapewniono jej dachu nad głową. Ponoć całkiem ładnymi mieszkaniami dysponuje tamtejszy urząd gminy, ale... (dostaliśmy już trzy, bynajmniej nie anonimowe doniesienia o budzących wątpliwości zasadach zajmowania owych lokali). Jesteśmy skłonni bliżej zainteresować się tą sprawą. Póki co, od naczelnika, pana Smugi, oczekujemy zdecydowanych działań.

Uwaga zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej w Brzezinach. Mimo administracyjnego zakazu, bloki przy ulicy Modrzewskiego 8 i 10 wykładane są rakotwórczym azbestem. Co gorsza, przy cięciu płyt (miejsce bez zabezpieczeń!) unoszą się tumany azbestowego pyłu i to dokładnie pod oknami i na terenie, gdzie bawią się dzieci.

Administrację osiedla urzędującą przy ulicy Trenknera pragnie za naszym pośrednictwem „obudzić" **PANI KRYSTYNA KOWALCZYK** z ul. Julianowskiej 1 m. 180. Kochana administracjo, idą chłody i tzw. sezon ogrzewczy, a u naszej czytelniczki ostał się do pilnej wymiany jeden tylko, ale za to dokumentnie skorodowany grzejnik panelowy. Ot, kilka godzin pracy. Lecz jeśli administracja raczy zapomnieć, wraz z pierwszą parą, czeka ją znacznie większa robota. Jak to mawiają w telewizji — „rachunek jest prosty".

Na zakończenie osobiście chcę pogratulować dobrego gustu panienkom z okienek Urzędu Pocztowego obok „Hermesa" (poniedziałek, 21 września, godz. 9.15—9.35). Istotnie, wnikliwie i zbiorowo oglądane przez panie świeżo nabyte botki, były piękne. Szczególnie te z paseczkami. Nie dziwi mnie przeto, że zaszła pilna potrzeba rzucenia nudnej roboty i ustawienia się w kolejce po to wytworne cudo.

ROMAN KUBIAK

UWAGA!

TOTALIZATOR SPORTOWY

- 5 ciągników Ursus C 330 M
- 10 samochodów osobowych Fiat 126 p 650 FL
- 3 samochody osobowe Wartburg Lux
- 5 samochodów osobowych Trabant

oraz

milionowe wygrane pieniężne czekają

w

ZAKŁADACH SPECJALNYCH TOTALIZATORA SPORTOWEGO

10 października 1987 r.

Każdy kupon bierze udział w losowaniu cennych wygranych rzeczowych

Nie potrzeba odwagi na podjęcie decyzji i cennej wygranej!! Wystarczy 125,— zł i odrobina szczęścia.

Wstąp bezzwłocznie do naszej kolektury.

2313 k

UWAGA kandydaci na wyższe uczelnie!

Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy ZSMP w Łodzi organizuje kursy przygotowawcze do egzaminów wstępnych na: Politechnikę, Uniwersytet, Akademię Medyczną.

Informacja i zapisy w Sekretariacie WUR ZSMP w Łodzi, ul. Piotrkowska 232, I piętro, w godz. 9—15 (informacja do 18) oprócz sobót — telefon: 36-14-54. 2114 k

„Kieszonkowe akwarium”

Mało jest pisarzy, którzy pod względem ilości krążących o ich życiu anegdotek mogliby się równać z Jarosławem Haszkiem. Wydaje się nawet, że życie tego czeskiego humorysty, obrosło tak mocno w legendę, iż w wielu miejscach odróżnienie prawdy od fantazji stało się właściwie niemożliwe. Można przeczytać o nim wiele opracowań i wspomnień, a obraz i tak pozostanie zamglony. Bo trzeba powiedzieć, że całe jego życie było jedną wielką mistyfikacją.

Lubił przesiadywać przy kuflu piwa bądź szklaneczce wina i opowiadać długie, wymyślane na poczekaniu historie. Był ponoć nie zastąpionym kompanem do włóczęgi w nieznane. Jako wielki prześmiewca co i rusz dawał o sobie znać jakimś niesamowitym dowcipem na łamach ówczesnej prasy. Gdy pracował, na przykład, w „Świecie Zwierząt” w swoich artykułach wymyślał zupełnie nowe gatunki zwierząt. I im więcej ludzi dało się na to nabrać, tym więcej radości miał sam autor. Ten wieczny dzieciak, wyśmiewający wszystko dookoła, płatający najprzeróżniejsze figle każdemu, kto tylko znalazł się pod bokiem, wymyka się wszelkim poważnym ocenom i do dziś na pewno jego duch śmieje się w kułak z tych, którzy próbują pisać o nim uczone elaboraty.

Pierwsze moje spotkanie z Jarosławem Haszkiem nastąpiło przed laty za sprawą, oczywiście, „Przygód dobrego wojaka Szwejka”. Ubawiłem się przy lekturze nie lada, a później, jak to nawet z najlepszą książką bywa, odłożyłem ją na półkę. I dopiero po pewnym czasie spotkałem człowieka, który odkrył przede mną jeszcze raz uroki owego dzieła. Pamiętam, że spotykaliśmy się często, by czytać niektóre sceny na głos. Co było przy tym śmiechu, trudno by mi było pisać. Miłośnik „Szwejka” powiedział mi wówczas, że książka ta ma jeszcze bardziej zagorzałych czytelników od niego. Otóż okazało się, że istnieje cały klan ludzi, którzy czytają „Przygody dobrego wojaka”, jak to się mówi „na okrągło”, to znaczy kończą i zaczynają od początku. Znają całe fragmenty na pamięć i twierdzą, że ta książka pomaga im w życiu.

Przeto ucieszyli się oni na pewno, gdy w tym roku ukazała się napisana przez Jarosława Haszka: „Historia Partii Umiarkowanego Postępu (W Granicach Prawa)”. Długo trzeba było na nią czekać. W Pradze wyszła po 40 latach od śmierci autora, w roku 1963. U nas w całości (fragmenty drukowane były w „Literaturze na świecie”) dopiero teraz. Ale nie narzekajmy, najważniejsze, że jest!

Pomysł założenia partii, której już sama nazwa stanowi niezły dowcip, powstał w jednej z praskich knajp. Do dziś nie wiadomo dokładnie w której, ponieważ wszystkie bary, szynki, knajpy w Pradze przypisują sobie zasługi w tym względzie. Wszystko wskazuje jednak na to, że to wielce historyczne wydarzenie nastąpiło w restauracji o wdzięcznej nazwie „Pod Złotym Litrem”, co potwierdza sam Haszek, choć niektórzy twierdzą, że mogło to się stać także „U Zwierzinów”, knajpie popularnie zwanej „Oborą”, gdzie Haszek wygłaszał swoje przemówienia, aby zyskać jak największą liczbę zwolenników. Cokolwiek na ten temat byśmy nie powiedzieli, nie ulega wątpliwości, że zebrania komitetu partii odbywały się w różnych restauracjach. Przypuszczam, że trudno w Pradze o lokal, w którym był wyszynk piwa i gdzie choć raz nie zawitaliby przedstawiciele umiarkowanego postępu. Podobno na kilku posiedzeniach był sam Franz Kafka. Wielce to możliwe, wszak i on na pewno czasem się śmiał.

Oczywiście, jak przystało na poważną partię, miała ona swój program. A był to program wyjątkowo atrakcyjny. Punkt pierwszy proponował ponowne wprowadzenie niewolnictwa, argumentacja była tu bardzo prosta: porządni ludzie będą mogli wtedy nic nie robić. Następne punkty były równie albo jeszcze ciekawsze. Oto kilka z nich: upaństwowienie dozorców (postulat obecnie zupełnie nieaktualny), rehabilitacja zwierząt, zorganizowanie sieci państwowych zakładów wychowawczych dla niedorozwiniętych psów, wprowadzenie inkwizycji i tak dalej. Ilość proponowanych postulatów zwiększała się bądź zmniejszała w zależności od wypitego alkoholu. Natomiast w knajpach, gdzie nie chciano im już nalewać piwa na kredyt, przedstawiciele organizacji likwidowali swój lokal.

Partia brała udział w wyborach i wystawiła kandydata, którym był Jarosław Haszek. Kampania wyborcza była przeprowadzana zupełnie poważnie — no! — na ile poważnie można podchodzić do całego tego przedsięwzięcia. Witryny niektórych restauracji zostały oplakatowane. Jeden z takich plakatów obiecywał w zamian za oddanie głosu na ich przedstawiciela kieszonkowe akwarium. I proszę sobie wyobrazić, że partia otrzymała kilkadziesiąt głosów. Tak naprawdę, to dokładnie nie wiadomo czy te głosy padły rzeczywiście na kandydata partii, Haszek po prostu na swoje konto zaliczył wszystkie tak zwane „głosy rozproszone” I jeszcze jedna zasługa tej szacownej organizacji, może nawet największa — pomysł napisania „Przygód dobrego wojaka Szwejka” powstał po jednym z całonocnych zebrań w którejś z uroczych praskich kawiarni. Gdyby choć 10 proc. wszystkich politycznych przedsięwzięć tym się kończyło, to nie moglibyśmy się opędzić od arcydzieł...

Nasuwa się tu pewna uwaga, a mianowicie taka, że jeśli coś złego usłyszymy czy przeczytamy o starej monarchii austro-węgierskiej, to należy pamiętać, że w jej granicach były możliwe takie inicjatywy, których celem przecież było ośmieszenie istniejącego stanu rzeczy, z czego z pewnością zdawali sobie sprawę ówcześni urzędnicy. Proszę wyobrazić sobie takie zabawy w niektórych krajach już po pierwszej wojnie światowej. A i współcześnie ewentualnym naśladowcom nie daję większych szans.

I jeszcze kilka końcowych słów. Jarosław Haszek napisał tę książkę na przełomie 1911 i 1912 roku. Większość, zdecydowana większość postaci występujących na jej kartkach jest autentyczna. Więcej lub mniej podkolorowane, ale również prawdziwe, są opisywane przez Haszka sytuacje. Bo właśnie tak bawiła się czeska cyganeria na początku naszego wieku. Samo dzieło nie jest równe, obok opowieści najwyższego lotu ma kilka słabszych, co nie przeszkadza jednak w znakomitej zabawie. Partia działała krótko, ale niezwykle intensywnie i pozostawiła po sobie wspomnianą książkę stanowiącą jej historię oraz pomysł na drugą, która Milan Kundera określił jako jedyną wielką komiczną powieść naszej epoki. Mowa tu oczywiście o „Przygodach dobrego wojaka Szwejka”.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Pod prąd

Czego Jaś...

Pomysłowi ludzie ci lamowie. Całymi dniami potrafią siedzieć w bezruchu w swych wysokogórskich klasztorach i kontemplować, a w tym czasie paciorki klepią za nich chorągiewki, młynki modlitewne tudzież inne poruszające się urządzenia. Wypisują otóż na takiej specjalnej chorągiewce ichnie „zdrowaśki”, wywieszają ją w oknie albo na dachu i wystarczy, że zawieje wiatr znad Lhotse, czy jakiejś innej Czomolungmy, a paciorek z chorągiewki ulatuje z nim wprost do nieba.

Pomysłowy ten i prosty sposób tak bardzo mi się spodobał, że postanowiłem przeszczepić go na nasz grunt, choć wcale nie mam pewności, czy jestem u nas w tej materii pionierem, czy też zupełnie niechcący robię to, co komuś już dużo wcześniej wpadło do głowy. Ale mniejsza o to. Nie zależy mi wcale na palmie pierwszeństwa — szczególnie, że palmy zajmują dużo miejsca, a ja mieszkanie mam raczej małe i na dodatek ciągle panuje w nim straszny bałagan. Oczywiście domownicy bez przerwy narzekają, że brudno, niewygodnie, niepraktycznie, nienowocześnie, ale gdy mówię im, iż zamiast narzekać, powinni zakasać rękawy i wspólnymi siłami zrobić wreszcie porządek, przyznają, że istotnie, trzeba by, już najwyższy czas, po czym oglądają się jedno na drugiego jakby chcieli powiedzieć: to nie ja nabałaganiłem, więc dlaczego mam teraz sprzątać po kimś.

— To nieważne, kto nabałaganił i nie będziemy do tego wracać — powtarzam im — najważniejsze, żeby był w domu porządek. Moje wysiłki spełzają jednak na niczym. Nie mam już dosłownie siły, by chodzić za każdym przez cały dzień i przypominać: zrób to, zrób tamto, wziąłeś — odłóż na miejsce, a tego lepiej w ogóle nie rusz, bo to nie twoja rzecz. Dlatego też wpadłem ostatnio na pomysł zaadaptowania do domowych warunków i potrzeb „wynalazku” pobożnych mnichów z Tybetu.

Pomyślałem tak: po co mam tracić czas, siły i nerwy, chodząc za każdym i pilnując, by zachowywał się jak należy? po co mam bez końca strzępić język? czyż jako głowa rodziny nie mam ważniejszych spraw? niech wyręczą mnie w tym — no, może nie chorągiewki, ale — malowidła i plansze z odpowiednimi napisami.

W kuchni nad zlewozmywakiem umieściłem hasło „Chcesz jeść z czystych naczyń, sam umyj brudne”. Przy piecu — „Nie jesteś w Kuwejcie, oszczędzaj gaz”. Obok okna — „zanieczyszczeniom atmosfery mówimy zdecydowane NIE”. A na lodówce — „Szanuj sprzęt gospodarstwa domowego, jak siebie samego”.

W pokoju stołowym wymalowałem na ścianach czarną farbą do butów: „Nasz dom, to wspólny zbiorowy obowiązek”, „Porządek przepustką do dobrobytu”, „Zgaś zbędną żarówkę” oraz „Nie ma miejsca przy stole, które zwalniałoby cię od myślenia”. Na suficie zaś dookoła żyrandola — „Nawet w dzień świeć przykładem dla innych”.

Pokój dziecinny udekorowałem wycinankami z kolorowego papieru i bibułki umieszczając wśród zajączków, wiewiórek i krasnoludków stosowne rymowanki, jak na przykład: „W każdej godzinie myślę o rodzinie”, „Wszystkie małolaty słuchają mamy i taty”, „Na dobry początek bądź miły dla zwierzątek”, czy też — „Jesienią, wiosną, zimą i w lato jesteśmy z tobą, tato”.

W łazience nie wykazałem, niestety, zbyt wielkiej oryginalności, opierając się na wypróbowanych wzorach. Nie chodzi jednak o formę, a przede wszystkim — o treść. Tej zaś nic zarzucić przecież nie można: „Czyste ręce świadczą o mnie”, „Mycie zębów nakazem chwili”, „Kulturalnych ludzi higiena osobista nie trudzi”. Za to w przedpokoju rozwiesiłem wielki transparent z hasłem przewodnim „Naszej rodzinie — serca, myśli, czyny”. Ładne, prawda?

Wykonanie tego trudnego i odpowiedzialnego zadania zajęło mi całe dwa tygodnie. Napracowałem się, że szkoda mówić. Ale teraz każdy, kto wejdzie do pokoju czy kuchni od razu wie, co i jak robić, aby w naszym domu zapanował wreszcie ład i porządek. Myślę, że to powinno poskutkować. Nikt też nie może mi już zarzucić, że sam nic nie robię.

Oczywiście nie zdradziłem domownikom, skąd zaczerpnąłem swój pomysł. Mogłoby to budzić niepotrzebne skojarzenia. Wyjaśniłem im również od razu, iż moja „akcja plakatowa” nie ma nic wspólnego w dawną tradycją wieszania na ścianach makatek z jeleniami i wyhaftowanymi porzekadłami w rodzaju: „Czysta woda zdrowia doda”, „Gość w dom, Bóg w dom”, itp., gdyż tradycja ta nie sprawdziła się, a same makatki zamiast pobudzać do myślenia, z czasem stały się obiektem niewybrednych żartów i drwin.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem

Pięć milionów ton

Ludność naszej ziemi osiągnęła liczbę pięciu miliardów. Pamiętam doskonale czas, kiedy liczono nas na dwa i pół miliarda.

„Posłuchaj, jest czterysta milionów Chińczyków,
to nie żarty, to dziesięć
Atlantyków krwi...”

— pisał Julian Tuwim w wierszu: „Poeto”. Dzisiaj Chińczyków jest ponad miliard i czytałem już gdzieś, że na przykład w Szanghaju trzeba uzyskać talon i czekać pół roku na prawo wejścia do parku miejskiego. Bez tego ludzie po prostu zadeptaliby ostatni metr kwadratowy trawnika.

Jest jeszcze inny aspekt całej tej historii: Zakład Oczyszczania Miasta w Łodzi przyjął jako normę półtora kilograma śmieci na mieszkańca dziennie. Oczywiście oprócz ścieków. Powiedzmy, że w większości krajów świata liczba śmieci na mieszkańca jest mniejsza, chociaż są kraje, gdzie jest ona kilkakrotnie większa. Przyjmijmy zatem ostrożnie kilogram śmieci na głowę, wiecie co to oznacza? To oznacza pięć milionów ton odpadków dziennie, masę, którą trzeba przede wszystkim wywieźć, przerobić, spalić, zakopać, utopić. Pięć milionów ton dziennie! Żadna powieść fantastyczno-naukowa nie dotyka tego problemu. Wielka szkoda, to jest temat sensacyjny godny mocnego pióra.

Można by pofantazjować sobie co zrobić, żeby śmieci było mniej.

Weźmy na przykład marchew: ogrodnik wiezie ją na rynek, powiązaną w pęczki wraz z wielkim pióropuszem zielonej naci. W momencie sprzedaży przy straganie nać urywa się i albo rzuca na stertę, która potem zostanie do sprzątnięcia służbom miejskim, albo ogrodnik zabierze ją z powrotem, żeby zużyć na paszę. Jeszcze gorzej kiedy marchew zostanie sprzedana gospodyniom domowym wraz z nacią. Wtedy w setkach czy tysiącach miejskich kuchni wyrzuca się nać, stanowiącą co najmniej połowę ciężaru, po prostu do śmietnika.

A ryby? Muszą być rozwożone po kraju specjalnymi samochodami, przetrzymywane w lodowniach, sprzedawane w sklepach wyposażonych w lady chłodnicze. Później po rozprzedaniu tej masy na gospodarstwa domowe gospodynie obcinają rybom łby, wyciągają ości i wszystko, co w rybie niejadalne wyrzucają do kubła. Zostaje może trzecia, może czwarta część masy jadalnej netto. Jedyną przyszłością wydaje się konieczność przerabiania ryb od razu po ich złowieniu na filety z maksymalnym wykorzystaniem części niejadalnych na nawóz, mączkę itd.

Myślę, że podobna przyszłość czeka handel drobiem — gdzie stosunek masy jadalnej do szkieletu, wnętrzności i upierzenia jest jeszcze mniej korzystny.

Można by znaleźć wiele podobnych przykładów. Na szczęście ani my, ani nasze dzieci, chyba także wnuki, nie doczekają czasów, kiedy wszystko będzie musiało być tak krańcowo zracjonalizowane, oszczędne, przemyślne. Póki co niech nasze żony rąbią tasakami łby karpi, niech odzierają zieleninę z mnóstwa niepotrzebnych liści, łodyg i głąbów. Jeszcze stać nas na odrobinę rozrzutności, ale czas mija i czekanie na wejście do parku będzie coraz dłuższe.

ĆWIEK

3 Przerwa śniadaniowa

Róg Bohuna i Petroniusza

Pan Dareczek oderwał wzrok od gazety: patrzcie państwo, osiedla Janów jeszcze nie ma i długo nie będzie a władze miasta się martwią jak je nazwać!

— I bardzo słusznie — pan Zenek pryncypialny jak zwykle — władze muszą być przewidujące i dobrze to o nich świadczy, że już pomyślały o nazwach dla nowych ulic. Chodzi o to, żeby to były nazwy poważne, godne, że tak powiem trudnych ale pięknych czasów, w jakich mamy żyć.

— Z tym przewidywaniem dajmy na to, różnie bywa. Czytałem, że grupa rzemieślników zaproponowała, że będzie produkować papier toaletowy. Ale pod takimi, dajmy na to, warunkami: państwowy handel zobowiąże się, że do roku 1990 będzie ten papier brał w takich ilościach, jakie dostarczą producenci, bez względu na cenę i jakość towaru.

— Zawsze mówiłem, że prywatna inicjatywa to wrzód na zdrowym ciele naszej gospodarki..

— Tylko skąd się ci rzemieślnicy nauczyli takiej dalekowzroczności, no skąd? — pan Henio aż uniósł się znad biurka.

— Przestańcie panowie — panna Kalinka rozejrzała się wokół z lękiem w oczach — niech lepiej pan Dareczek opowie o tych nowych nazwach ulic.

— Służę uprzejmie, droga pani. Otóż część osiedla Janów ma nosić imię Henryka Sienkiewicza. W związku z, dajmy na to, powyższym, poszczególne ulice zostaną nazwane tak jak bohaterowie Sienkiewicza. Myślę, że jednak nie wszystkie imiona bohaterów nadają się do tego. Weźmy takiego Nerona albo Urliha von Jungingen.

— Ale ulica Andrzeja Kmicica będzie? — panna Kalinka spłoniła się, nie wiadomo czemu.

— Możesz pani być spokojna. Będzie Kmicica, będzie Zagłoby, będzie Skrzetuskiego, będzie Wołodyjowskiego. Będzie też Juranda ze Spychowa.

— To chyba będzie ślepa ulica — wymsknęło się pani Lali.

— Dowcip jest, dajmy na to, niestosowny. Tym niemniej oddaję pani, nieprawdaż hołd. Wykazała się pani oczytaniem w literaturze ojczystej i pewnym poczuciem humoru, co stawia panią dość wysoko wśród egzemplarzy należących do damskiego gatunku.

Pani Lala odpięła kokieteryjnie guzik bluzki i poprawiła fryzurę. Ośmielona komplementem zapytała: — a imiona sienkiewiczowskich bohaterek? Oleńka Billewiczówna, Danusia, Ligia, Basia?

— Będą, będą, droga pani. Muszą być. Czy szanowna pani zamierzasz przeprowadzić się do tej dzielnicy, że tak żywo panią interesują nazwy ulic? — pan Zenek wpadł nagle w dobry humor — może pani łaskawie zamieszkasz na ulicy, prawda, Horpyny?

— Cham! — wrzasnęła pani Lala, zapięła odpięty poprzednio guziczek bluzki i wybiegła z pokoju.

— No, to mamy, dajmy na to, cały festiwal niebezpiecznych dowcipów. Bawmy się dalej: jeśli nasz stary zamieszka w nowym osiedlu to przy jakiej, dajmy na to, ulicy? Tuhaj-beja?

— Radziłbym ostrożniej, panie Dareczku. Sam pan pomyśl o ulicy dla siebie. Albo dla pana Henia... Ze względu na wzrost proponowałbym panie Heniu, ulicę, Wołodyjowskiego — pan Zenek znów był w dobrym humorze.

— Pan też nie jesteś taki Podbipięta. A panu Dareczkowi tylko się tak wydaje, że zasługuje na ulicę Petroniusza... Zmieńmy temat panowie, bo konflikt wisi w powietrzu.

— Jeszcze chwilę — pan Dareczek zwrócił się do panny Kalinki. — Dla pani nie widzę miejsca na Janowie, tylko, dajmy na to, w dzielnicy literatury francuskiej.

— A to dlaczego? — panna Kalinka znów się zaczerwieniła — w literaturze francuskiej jest tyle pięknych postaci kobiecych...

— Owszem, czy znasz pani twórczość Woltera? Jest tam postać w sam raz na patronkę ulicy dla pani...

— A swoją drogą — pan Zenek wrócił do zasadniczego tonu — to czyż zabrakło nam już bohaterów narodowych, pisarzy, uczonych? Weźmy takiego... no... tego...

— Sam pan widzisz. Istotnie, bohaterów zabrakło. Nawet na banknoty, a co dopiero na ulice!

KAROL H.

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

15

Już po ukazaniu się w „Odgłosach" pierwszego odcinka mego pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!", zasypano mnie pytaniami. Szczególnie interesowało Czytelników czy książkę napisałem zaraz po powrocie do kraju pod wpływem świeżych wrażeń, a może robiłem jakieś notatki na bieżąco, gdy przemierzałem szlaki europejskiej i azjatyckiej części Związku Radzieckiego?

Odpowiadam hurtem: wprawdzie zamysł utrwalenia przeżyć w ZSRR w latach wojny zaświtał mi po dramatycznej ucieczce przed hitlerowcami w listopadzie 1939, kiedy to jako 26-letni młodzian wyruszyłem na tułaczkę po świecie, to w określonej sytuacji politycznej moje zamiary literackie oddalały się coraz bardziej. Nie robiłem notatek, bo i po co? Po powrocie do kraju też nie zaprzątałem sobie głowy tą sprawą. Nie było szans na wydanie pamiętnika z tamtych lat, a do szuflady pisać nie lubię.

Niespełnione marzenia odżyły pamiętną wiosną br po znamiennych przeobrażeniach u sąsiadów Dopiero wówczas, gdy coraz głośniej poczęło rozbrzmiewać hasło „głasnost'" (jawność), gdy padły ważkie słowa o likwidacji białych plam w stosunkach polsko-radzieckich, gdy pieriestrojka w Kraju Rad nabrała realnych kształtów — dopadłem maszyny do pisania. Wysłużona „Erika" ledwo nadążała za natłokiem wspomnień. Rozwinęła się barwna taśma filmowa, z zakamarków pamięci wydobyłem minione dzieje, sylwetki ludzi, z którymi los mnie zetknął.

Książka powstała w tempie rekordowym: w ciągu maja i kilku dni bieżącego roku. Dałem jej fikuśny tytuł z podtekstem: „Raz, dwa, wzięli!" Tymi słowy ponaglał nas do zdwojenia wysiłków przy taskaniu spiłowanych drzew prorab w rybińskim obozie pracy przymusowej, a przedtem, we Lwowie, też raz, dwa, wzięli — nas, wielotysięczną rzeszę uchodźców — do miejsc odosobnienia.

Maszynopis zaniosłem do redakcji „Odgłosów" Przeczytali i — raz, dwa, wzięli!

A oto wydarzenia i przygody jakie mi się przypomniały już po oddaniu tekstu. Znajdą się one w pamiętniku, który — mam nadzieję — ukaże się na półkach księgarskich w przyszłym roku.

1.

Sympatyczny komandir z Kijowa, dokwaterowany do mieszkania Melmanów we Lwowie, miał lekkiego hopsa na punkcie kobiet.

— Adam, najdi kakuju nibud' baryszniu. Ja priamo umiraju! — zamęczał mnie (Znajdź jakąś dziewczynę, ja po prostu umieram!).

Wpadłem na szatański pomysł. Zegarynka! Na początku lat trzydziestych w Łodzi i w innych miastach wojewódzkich zainstalowano takie urządzenie. Panna Haeggberg, córka dyrektora szwajcarskiego koncernu telefonicznego, nauczyła się naszego języka i nagranym na płytę wdzięcznym głosikiem podawała dokładny czas. To ja cię, Casanovo dla ubogich, zaraz z nią połączę, umówcie się i róbcie co chcecie!

— Znam jedną, nawet bardzo ładna, zgrabna, cyc — wot! — wyciągnąłem ręce o pół metra do przodu, a oczy komandira rozbłysły niezdrowym blaskiem. — Ale ona sumaszedszaja, wariatka. Jak ktoś do niej dzwoni, żeby się umówić na randkę, w kółko, bez przerwy, powtarza która godzina...

— Nie biespokojsa, Adam, so mnoj budiet goworit' kak połagajetsa. No dzwoń! (Nic się nie martw, ze mną będzie rozmawiać jak się należy).

Wykręciłem numer zegarynki.

— Dzień dobry, pani Kaziu! To ja. Jakiś grażdanin chce z panią porozmawiać...

— Skaži, szto iz Kijewa — podpowiedział dygocący ze zniecierpliwienia komandir.

— On przyjechał z Kijowa, mówi po polsku... Tak, zaraz go poproszę

Komandir wyrwał mi słuchawkę z rąk, dmuchnął w sitko mikrofonu.

— Ałło! Zdrastwujtie, pani Kazimira. Oczen' prijatno poznakomitsa. Co? Osiemnasta pięć? Bardzo dzienkuje. Spasibo. Co? Osiemnasta pięć? Wy uże skazali, ja choczu usłowitsa s wami, randka, tancy. No ile razy można mówić która godzina?

Jeszcze kilka chwil usiłował porozumieć się z „panną Kazią", wreszcie wściekły, zawiedziony, cisnął słuchawkę na widełki

— Dura! Prawdziwa głupia! Tfu!

Następnego dnia była heca Ktoś mu powiedział z kim „rozmawiał". Obrugał mnie ile wlezie, potem roześmiał się.

— Mołodiec! Nabrałeś mnie, no i na zdrowie. A jakiejś prawdziwej panny Kazi nie znasz?

2.

Mój kuzyn Stefan, świeżo upieczony żonkoś, chyba tak całkiem nie zapomniał swojej byłej sympatii z Łodzi Przechodziliśmy ulicą Szaszkiewicza. Koło kina „Stylowy" stanął nagle jak wryty, chwycił mnie za rękę Jego wzrok spoczął na pożółkłym plakacie polskiej estrady... „Bodo, Fogg, Bocheński, Bogucki i... Wera Gran!"

Zespół popisywał się na deskach „Stylowego" we wrześniu 1939, kilka tygodni przed naszym przybyciem do Lwowa. Aranżerem był Feliks Konarski (Ref-ren), autor wielu przebojów, m.in „Pięciu chłopców z Albatrosa", co to przybyli na manewry do Saint-Marka...

...I ten pierwszy, co był chudy,
I ten drugi, co był rudy,
I ten trzeci, co tak wódę ciągle chlał,
I ten czwarty, ten obdarty,
Co miał w górę nos zadarty,
Ten, co w kości o swe życie z diabłem grał...
I ten piąty, ten najmłodszy,
Co w miłości był najsłodszy,
Co miał oczy czarne, jak diamenty dwa...

Po wybuchu wojny artyści rozjechali się. Konarski stworzył nowy zespół, przemierzył z nim znaczną połać Związku Radzieckiego. Później jako szef artystyczny Frontowej Czołówki Teatralnej II Korpusu, przebył szlak bojowy, a w maju 1944 napisał „Czerwone maki" Czerwone maki na Monte-Cassino... Jeszcze dziś, mimo upływu pół wieku, piosenka wyciska łzy z oczu słuchaczom...

Jakie były dalsze dzieje atrakcyjnej Wery, dokąd los ją zagnał — nie wiem. Stefan długo stał przed plakatem, widać odżyły w nim wspomnienia, ogródek „Europejskiej" przy ul. Piotrkowskiej 113, gdzie poznał śliczną dziewczynę...

3.

W osławionym pasażu Mikolascha we Lwowie pojawił się stary Ukrainiec z dwiema kobiałkami jaj. Miał na sobie wpuszczone do butów spodnie i długą, ozdobioną haftem, wykładaną rubaszkę. Dwaj kręcący się już dłuższą chwilę bez celu młodzi ludzie poszeptali ze sobą i podeszli do niego.

— Sprzedajecie jaja, dziadku?

— Prodaju.

— A ile tego jest? Weźmiemy wszystkie hurtem.

Uzgodniono cenę, tylko jak policzyć towar? Reflektanci nie mieli torby, ani koszyka, na ziemię jaj kłaść nie można, jeszcze się potłuką.

— Wyciągnijcie przed siebie poły koszuli, będziemy tu odkładać policzone sztuki — zaproponowali młodzieńcy.

No i zaczęło się liczenie. Ukrainiec, trzymając kurczowo zadartą rubachę, pilnie baczył, żeby kupujący go nie oszukali. A gdy ostatnia para jaj spoczęła na koszuli, batiar błyskawicznie schylił się i spuścił dziadkowi spodnie, jego towarzysz uczynił to samo z gaciami.

— Pany... pany... szczo wy robyte? — szczękał zębami unieruchomiony Ukrainiec. Nie puści przecież koszuli, w której leży jego skarb, ponad dwa mendle jaj!

Gawiedź rechotała, czyniąc głośne uwagi na temat obnażonych wdzięków staruszka.

— Pany... pomyłujte...

Jego błagania nie robiły żadnego wrażenia na prześladowcach.

— Żeby ci nie było smutno, dziadku, zaśpiewamy coś! — i wziąwszy się pod ręce zaintonowali na dwa głosy:

Usił tato na łopatu, mama na kociubu,
tato hajta, mama wiśta, jichały do ślubu.
Prijechały na wesile, ne chodyły piszki,
tato mami dał kołbasu, mama chocze kiszki!

4.

Gdy na dworze było poniżej czterdziestu stopni mrozu, nie wyprowadzano nas z obozu na roboty. Kilka razy szczęście uśmiechnęło się. Ale naczalstwo niechętnym okiem patrzyło na naszą bezczynność, zaproponowano więc ochotnicza wyprawę do lasu po chrust, kusząc dodatkowymi pajkami chleba.

Zgłosiło się kilkunastu dobrowolców. Jeden oddalił się za daleko, zawędrował do grupy rosyjskich więźniów. Ściągnęli z niego nową fufajkę, koszulę, spodnie i chromowe buty z cholewami, które przywiózł z Polski Szczękając zębami, w samych trusikach, krótkich majtkach, boso przebiegł parę kilometrów do obozu — i nawet kataru nie złapał!

5.

Znajomy, któremu opowiedziałem o warunkach pracy w obozie rybińskim, chwycił się za głowę.

— Człowieku, to wyście siedzieli w sanatorium! Myśmy dostawali po trzysta gramów chleba za całodzienną pracę w kopalni!

To prawda, tak było. Ale znajomy został aresztowany po zakończeniu wojny za przynależność do AK i mimo, iż walczył z hitlerowskim okupantem z bronią w ręku, przelewał krew skazano go na piętnaście lat, zesłano pod koło podbiegunowe do Workuty, skąd wrócił w r. 1956 po dziesięcioletniej odsiadce. Taki los spotkał wielu Polaków. Nas potraktowano ulgowo. chyba nie wiedziano pod jaki paragraf podciągnąć „nielegalne" przekroczenie granicy i stąd te „cieplarniane" warunki w obozie rybińskim.

6.

Mimo ciężkich przeżyć obozowych, humory nam dopisywały. Maszerując na liesopował, śpiewaliśmy sparafrazowaną przez lwowiaków piosenkę:

W dzień deszczowy i ponury
w portkach, w których świecą dziury,
szeregami dzieci Lwowa
idą znów na liesopował!
Hej, koledzy, piły w ręce,
może dadzą chleba więcej,
może da nam Bóg, że wrócimy znów
i ujrzymy miasto Lwów!

— Skorieje uwiditie swoju żopu biez zierkała! (prędzej zobaczycie swoją dupę bez lustra!) — zarechotał striełok. — A nu-ka — sposępniał — dawajtie szto drugoje!

Więc my:

Hop, siup, noga w nogę
i jajcami o podłogę!

— Wot, eto choroszo! — pochwalił i obiecał dodatkową pieriekurkę w następnym dniu.

7.

W przeddzień wyjścia na wolność z obozu w Rybińsku komendant wezwał mnie do siebie.

— Prorab dużo dobrego powiedział o tobie. Zostań z nami jako wolnonajomnyj. Dostaniesz urządzoną kwartirę, niklirowannuju krowat', miesiacznyj oklad, choroszyje pitanije i tufli na rezinowym chodu... (pensję co miesiąc, dobre jedzenie i pantofle na gumowej podeszwie).

— Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Chcę być razem z moimi towarzyszami A w Polsce też miałem własne mieszkanie, trzy pokoje, szafę pełną ubrań, kilka par pantofli na skórzanej podeszwie, a zamiast na niklowanym łóżku, spałem na wygodnym tapczanie! — oświadczyłem z nie ukrywaną satysfakcją.

Twarz komendanta zasępiła się.

— Opiat' naczinajesz. Wychwalasz życie w sanacyjnej Polsce? Mało ci było?!

Spokorniałem, swą decyzję opuszczenia obozu skwapliwie poparłem innymi argumentami. Wojna niebawem się skończy, armia radziecka odniesie walne zwycięstwo, wrócę do swojej ojczyzny, do rodziny, do swego zawodu.

— Twoja sprawa. Nu, proszczaj, bud' zdorow, rosti bolszoj!

Co mi się jeszcze przypomniało?

8.

Borys, magazynier w piekarni w Chanaka, aniegdotczik, zapytał:

— Jakich znasz sławnych Iwanów?

— Iwan Groźny, Iwan Miczurin... — zacukałem się.

— No, dalej...

— Iwan Mozżuchin, przedwojenny aktor filmowy...

— No?... I van Gogh — podpowiedział.

Zrewanżowałem się historyjką o mądrym cadyku, do którego przyszedł młody Żyd i w chwili szczerości wyznał, iż chce otruć swą żonę, bo na śmierć zakochał się w urodziwej gojce, pragnie z nią na stałe zamieszkać.

Na to cadyk:

— Nabożny Żyd nie może pozbawiać życia swojej żony. Pan Bóg nigdy by ci tego nie wybaczył.

— To co mam zrobić?

— Żyj z nią dwa razy dziennie, rano i w nocy, a zobaczysz, za tydzień ona sama ci umrze.

Po kilku dniach cadyk udał się do swego współwyznawcy, ciekawy, jak poskutkowała jego rada. Młody Żyd siedział na kanapce z obolałą miną, podkrążonymi oczyma, kompresem na brzuchu i na głowie, a jego żona krzątała się żwawo po pokoju kręcąc kuperkiem.

— No i co? — zapytał cadyk, gdy zostali sami.

— Rebe, serce mi się kraje, kiedy na nią patrzę. Ona biedna nic nie wie, że za dwa dni musi umrzeć!

Borys uraczył mnie podwójną racją chleba.

9.

Po rejteradzie Andersa, na kilka dni przed likwidacją naszej placówki w Stalinabadzie, przystąpiono do rozdzielnictwa remanentów magazynowych. Zgłosiłem się wraz z innymi, poprosiłem o coś z odzieży dla mnie i żony.

— Pan dostanie, żona nic nie otrzyma.

— Dlaczego?

— Bo ona ma paszport radziecki, a dary zagraniczne są przeznaczone wyłącznie dla obywateli polskich.

— Żona całe życie mieszkała w Polsce, jak ja była obywatelką polską, paszport radziecki przyjęła w warunkach przymusowych...

— To nie ma znaczenia.

Sięgnąłem po argument najcięższego kalibru.

— Żona jest w ciąży. Ze mną, polskim obywatelem!

— Niestety, na płód nic nie możemy wydać.

Nie pamiętam od kogo usłyszałem te znamienne słowa. Z ust samego szefa naszej likwidującej się placówki czy jego zastępcy...

10.

Jeden z naszych, rolnik z dziada pradziada, pracujący w Chanaka w Zagotzierno, wybrał się do kołchozu, leżącego w połowie drogi do Stalinabadu. Pociąg uciekł mu sprzed nosa, postanowił zatem ruszyć per pedes apostolorum. W tym samym kierunku zmierzał miejscowy kołchoźnik. Rozmowa jakoś nie kleiła się. Ale jak długo można kroczyć obok siebie nie odzywając się ani słowem? Nawet krowa odczuwa od czasu do czasu potrzebę wydobycia głosu i zaryczy do swych towarzyszek.

Właśnie z przeciwka podążał pastuch, prowadząc kołchozową krowę.

— A u was, w Polsze, byli sobstwiennyje (własne) korowy? — rozwiązał się język kołchoźnikowi.

— Byli, byli. Ja sam do wojny miałem własną krowę! — skwapliwie podjął rozmowę nasz chłopina.

— Ile mleka dawała twoja krowa?

— Do piętnastu litrów dziennie — oznajmił z dumą były gospodarz.

Kołchoźnik już o nic więcej nie pytał. Milczał całą drogę, mimo prób jego towarzysza podjęcia przerwanej konwersacji. Krowy w Tadżykistanie, zdane na wypaloną słońcem trawę, dawały gęstsze i tłuściejsze mleko niż nasze krasule, ale zaledwie po kilka litrów. A naszemu chłopinie dano trzy lata za „ochaiwanije żyzni w Sowietskom Sojuzie", za ośmieszanie życia w Związku Radzieckim.

11.

Po utworzeniu Związku Patriotów Polskich Wojenkomat w Chanaka znowu ogłosił zaciąg, tym razem ochotniczy do naszej I Dywizji, formującej się w Sielcach nad Oką. Otrzymaną instrukcję mylnie zinterpretowano: zawiadomiono nas, że zaciąg dotyczy Polaków, nie wspomniano nic o obywatelach polskich żydowskiego pochodzenia — i w związku z tym kazano nam opowiedzieć się do jakiej nacji kto należy.

Na tym tle rodziły się różne spekulacje, w zależności od warunków rodzinnych, planów na przyszłość, poczucia obywatelskiego, patriotyzmu. Jedni chcieli walczyć ze wspólnym wrogiem tych było najwięcej, innym zależało jedynie na przeniesieniu się z Azji do Europy, byli i tacy, co woleli zostać na miejscu. Dochodziło do kapitalnych sytuacji, które członek komisji wojskowej w Chanaka tak skomentował:

— Niczewo nie ponimaju! Szlama Rozenkranc — Poliak, Jan Kiejstut Kulewiecki — Jewriej! Sam czort nie rozbieriot w czom dieło!

12.

Do celi więziennej w Uljanowsku, gdzie mnie ulokowano po rozprawie sądowej, przyprowadzono znajomego chłopaka z nowostrojki na Zawołżu. Często go widywałem przy najcięższych robotach. I jego też wsadzili, tego nie*rozgarniętego, głupkowato uśmiechającego* się pacana, który do trzech nie umie zliczyć? — zdziwiłem się.

— A ty za co?

— Nie znaju.

— Jak to nie wiesz? Przecież stawałeś przed sądem!

— Da, no niczewo nie znaju...

— Ile ci wlepili?

— Tri goda.

— Ale za co?

Rozłożył ręce.

Słowo po słowie wyciągnąłem z niego co robił w przeddzień aresztowania.

— Usłowiłsa s diewuszkoj...

— No i co?

— Wieczorem przed wyjściem z baraku goliłem się. Nagle zgasło światło...

— No i co?!

— Togda ja skazał: „Czort pobieri takuju elektrostancjiu". Na sliedujuszczij dien' powieli mienia... (Powiedziałem, do czorta z taką elektrownią i nazajutrz zabrali mnie...).

Wszystko jasne: wpadł przez ciemność!

13.

Dziewczyny w ostatnim obozie pracy urozmaicały mi czas śpiewaniem piosenek.

— Bros'tie! Eto riepiertuar dla dietskowo sada! (Zostawcie! To repertuar dla przedszkola!) — zamachała rękoma fertyczna blondyna, zeskakując z pryczy. — Ja ci zaśpiewam coś innego!

Z kilkuzwrotkowej czastuszki zapamiętałem tylko jedną, kapitalną frazę:

Wietier dujet, wietwo'zka łomitsa,
paren' diewuszku jebiot,
chocziet poznakomitsa!

(wiatr wieje, gałązka łamie się, chłopak dziewczynę... no właśnie, chce się z nią zapoznać)

A ja nie chcąc, by dziewoja miała płonne nadzieje co do mojej osoby, szybko wyciągnąłem rękę

— Bud'my znakomyje. Mienia zowut Adamom.

— A mienia Kławoj... — bidula miała wyraźnie zawiedzioną minę. Wolałaby zapewne zawrzeć ze mną znajomość nie w konwencjonalny sposób...

Fragmenty przygotowanego do druku pamiętnika z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

KONIEC